48

Sz. 200.
4177
125

BIBLIOTEKA SEMINARJUM TEOLOGICZNEGO

C030126

Szyndzioły

Dodatek »Głosu Ludu« poświęcony kulturze i sztuce.

NR 1

CZESKI CIESZYN

NIEDZIELA 2 MARCA

1947

6037

Szyndziołom na drogę

— od Redakcji

Oto leży przed Wami dodatek literacko-społeczny do Głosu Ludu, jedynego pisma polskiego na terenie naszej kochanej ziemi cieszyńskiej. Dotychczas odczuwaliśmy dotkliwy brak podobnego dodatku, zastępującego samodzielne pismo literacko-społeczne, który by poruszał tematy związane z kulturą w pojęciu wszechstronnym naszej ziemi, z ojczystą kulturą polską i kulturą ogólnosłowiańską. Głos Ludu z powodu swych szczupłych rozmiarów nie zdoła pomieścić materiału z tej dziedziny, znów na samodzielne pismo poświęcone zagadnieniom kultury i literatury rodzimej z różnych przyczyn pozwolić sobie nie możemy, przede wszystkim z przyczyn natury materialnej. Rolę takiego pisma zastąpi nam więc periodyczny dodatek literacko-społeczny do Głosu Ludu. Jesteśmy przekonani, że dodatek zostanie przyjęty przez ogół Czytelników bardzo przychylnie, a stosunek ich do „Szyndziołów" nie będzie bierny. Zapraszamy wszystkich do współpracy. Będziemy uwzględniali tematy z zakresu całokształtu kultury i dorobku ducha ludzkiego. Na pierwszym jednak planie uwzględniać będziemy dorobek kultury rodzimej, śląskiej kultury ludowej. Będziemy starali się wydobyć z zapomnienia dotychczasowy dorobek ludu śląskiego, zwłaszcza wszelkie baśnie ludowe, które jeszcze żyją po naszych wioskach, lecz umierają razem ze starszym pokoleniem. Okazalibyśmy się marnotrawnymi synami naszej ziemi, gdybyśmy pozwolili na ich zaginięcie. Niech więc odżyją wiecznie żywe „bojki i pieśniczki" naszych przodków, które przechowujmy w sercach naszych jako najdroższe relikwie. Ażeby je jeszcze więcej pokochać, trzeba je odgrzebać w pamięci, trzeba je poznać.

Dodatek ten nazwaliśmy „Szyndzioły". Nie jest to nazwa przypadkowa. Wybraliśmy ją świadomie i celowo. Jest bowiem wyrazicielem naszych dążeń i celów. Chcemy ożywić ducha spod strzechy krytej „szyndziołem", najstarszych kościółków śląskich krytych szyndziołem-gontem. Otwórzmy więc ‚dokorząt' swe serca w nastrojowym półzmroku kościółka naszego ducha śląskiego i pozwólmy mu w blasku słońca od beskidzkich gróni po zadymione Zagłębie tworzyć swe własne wartości, pozwólmy mu wyśpiewać tam pieśń nieśmiertelną naszej ziemi.

Zrazu „Szyndzioły" będą wychodziły co miesiąc jako dodatek literacko-społeczny do Głosu Ludu w objętości 4 stron druku formatu Głosu Ludu złożonego na pół. W najbliższych jednak miesiącach będziemy się starali wydawać go dwa razy w miesiącu. Chcemy dostosować się do potrzeb i życzeń Czytelników. Prosimy więc o przesyłanie nam swych uwag, co Wam się podoba i co się nie podoba.

KOMITET REDAKCYJNY

Tkacz — poeta z Jabłonkowa

Kiedy wejdziemy pomiędzy nasz lud żyjący od Bogumina po Mosty p. Jabł., zasłyszymy niejednokrotnie piękną piosenkę. Śpiewał ją dziadek i pradziadek, śpiewa ją i wnuczek dzisiaj. Nikt nie wie, kto te pieśni napisał, nikt też o to się nie troszczy. Pieśni te są własnością ludu, a stworzyli je przeważnie nieznani pieśniarze ludowi. Jednym z najstarszych pieśniarzy naszego ludu jest nieuczony, pieśniarz-poeta z bożej łaski syn tej ziemi, którą uprawiał, tkacz z zawodu, Adam Sikora z Jabłonkowa.

Urodził się w Jabłonkowie 14 grudnia roku pańskiego 1819.

Jego ojciec również Adam, z zawodu był tkaczem. Matka z domu Lipowska, była niewiastą cichą i bogobojną, której łagodność i uprzejmość zjednywała sobie ogólny szacunek i przywiązanie licznej rzeszy dziatek. „Wychowanie dziatek po Bożemu było ich najważniejszym staraniem, a całe pożycie domowe było urządzone po chrześcijańsku" — pisze w życiorysie swego ojca syn, Ludwik Sikora, krawiec z Jabłonkowa.

Posiadali kawałek własnego pola i skromną chatkę, w której mieszkali. Dziwny spokój od wczesnego ranka aż do późnej nocy panował w tej chatce, a życie płynęło tu jak Pan Bóg przykazał. Nabożna pieśń prawie nie schodziła z ust. Była pokarmem dla duszy.

Rodzice małego Adama byli bardzo czuli na nędzę swych bliźnich. Choć sami biedni, potrafili się wszystkim z biedniejszym jeszcze od siebie podzielić. Zwłaszcza w święta godowe, w wigilię Bożego Narodzenia corocznie zapraszali jakiegoś biedaka do stołu. A ciężkie wtedy były czasy. Ziemia Śląska dotknięta została kilkakrotnie w tym czasie klęską nieurodzaju. Głód niejednokrotnie nękał ubogich Jabłonkowian, zaraźliwe choroby przyłączyły się do wieńca niepowodzeń, ludzie marli dziesiątkami. Wiele sierót zostało bezradnych, ale Sikorowie byli zawsze pierwszymi, którzy przygarniali je do siebie.

Nasz Adam był najstarszym dzieckiem Sikorów. W ósmym roku życia zaczął chodzić do szkoły. Była to szkółka parafialna posiadająca dwie klasy. Nauczyciel Konert był równocześnie organistą przy kościele.

Adam chętnie chodził do szkoły, gdzie zwracał na siebie uwagę swoją przykładną pilnością i wybitnymi zdolnościami. Co roku otrzymywał nagrodę za pilną naukę. Pierwszą książką, którą otrzymał była „Książka modlitewna dla katolickiej młodzieży od pewnego księdza świeckiego dyecezyi Wrocławskiej austr. cesarskiego królewskiego Ślońska w Cieszynie roku 1823". Autor podpisany J. K. Ksiądz świecki w przemowie do niej pisze: „Wydałem dla was kochane dziatki młodzieniaszkowie i panienki tę książkę, a to we waszym polszczyźnie bliższym języku". I tak każdy rok otrzy-

SZYNDZIOŁY

Szyndzioły... Chyba każdy z nas wie, co to słowo oznacza. Gonty, deszczułki smrekowe lub jodłowe długości 80 cm a grubości cala, z jednej strony fugowane, wyżłobione a z drugiej przystrugane tak, by przybijając je do łaty na dachu można było wpuszczać bok jednego w wyżłobiony bok drugiego i tak zakładając rzędy jeden za drugim szczelnie pokryć dach domostwa.

Znamy w historii starosłowiańszczyzny gontyny, świątynie pogańskie pokryte gontami, szyndziołami. Nazwa szyndzioł ma pono swoje źródło w języku greckim — schindalesis, schindalmus — oznacza to samo a przywędrowała do nas drogą okrężną.

Dzisiaj drewniane kościoły w Gutach, na Praszywie i gdzie indziej są jeszcze kryte szyndziołem. Chałupy rzadko dziś już można spotkać, gdzie szyndzioł nie byłby pokryty papą. Pozatem dachówka, eternit — wyparły szyndzioł mozolnie strugany dawniej przez cierpliwych chłopów-górali.

Rozmawiam o szyndziołach z góralem w Rzece, człowiekiem starej daty, żyjącym jeszcze wspomnieniami dawnych czasów.

— „... rzezali na gnotki — objaśnia mnie — łupało sie, strugało, fugowało, układała do grani aż wyschły... W Tyrze strugali Wiślanie panóm szyndzioły na pański budunki. Chłop se strugoł sóm. Mało było piniędzy. Dziesięć ryńskich płacili od stówki a zogón ku tymu.

Jaa piyyrwyj było inaczy. Tata kupił meter drzewa na szyndzioł to zapłacił zóń trzy ryński. Siedymnoście kóp szyndziołu sie z niego zrobiło. To sie szczypało tak, że nie było trzeba wiela strugać. Ale dzisio. Z tego drzewa ani siedym nie zrobi. Łupać sie bedzie łupoł, jyny kręty.

Ile kosztował szyndziol?

— Ryński dwadzieścia, lebo trzydzieści ... chlyb kosztowoł trzy szóstki...

Długo wytrzymał dach ze szyndziołów?

— ... colowy szyndzioł ... nie ciynki, nie hruby wydzierżoł trzydzieści lot jak był dach przykry. Płaski namoknył i rychli gnił. Drzewo zaś nie było taki jako dzisio. Było twierdszy, rosło pomału.

Szyndzioły ... Szyndzioły to symbol dawnego twardego życia ludu. Ludu, który twardo, ramię przy ramieniu walczył o swoje prawa. Tak jak szyndzioły osłaniają dom od niepogody tak światły lud śląski osłania i strzeże skarbu narodowego, skarbu naszej kultury i języka.

mywał jakąś książkę za pilność w nauce. Ówczesny dziekan jabłonkowski ks. Piontek, spostrzegłszy u Adama niezwykły talent, radził rodzicom, by do szkół go posłali. Lecz Adam dla biednych rodziców wyrastał na jedyną podporę, więc pozostać musiał w domu rodzicielskim, ucząc się rzemiosła tkackiego.

Młodzieńcze lata spędza wśród rówieśników na zabawach i uciechach w wolnych od zajęć chwilach. Pracy było bardzo dużo w domu Sikorów. Pracowano od świtu do zmierzchu, a nawet wieczory często przeznaczane były na różne prace, jako to „poprawa narzędzi i różnych sprzętów domowych, dalej łupanie szczyp i lanie łojowych świec do oświetlania domostwa, topienie siarki, maczanie w niej drzazg, które zastępowały dzisiejsze zapałki i t. p. prace, wszystko to miała młodzież na swojej starości i jeden od drugiego się tego nauczył".

W niedzielę znów i święta po nieszporach w lecie bawiono się na pobliskiej polance Skotni, czasem ktoś na skrzypkach zagrał lub zapiskał na piszczałce, więc potańczono sobie i zaśpiewano.

Młodzież bierze udział przy uroczystościach kościelnych, a więc w Wielki tydzień, w Boże Ciało, towarzyszy w procesjach. Nigdzie nie brak Adama Sikory, a jego zdanie i słowo wypowiedziane pomiędzy współtowarzyszami ma decydujące znaczenie. W razie nieporozumień łagodzi spory, a wszyscy go słuchają. On zaś na uciechę zawsze umie coś wesołego opowiedzieć, lub jakąś stosowną według okoliczności pieśń zaśpiewać.

W tym czasie z Jabłonkowa i okolicy, gdzie zamieszkali przeważnie katolicy, odbywano pielgrzymki do Kalwarii i Częstochowy. Pielgrzymki te miały wielkie znaczenie, ponieważ tą drogą wędrowały na Śląsk książki, które były jedyną strawą duchową. Nasz Adam również niejednokrotnie odbywał takie pielgrzymki.

Kiedy naszemu Adamowi było 22 lat, umarł mu ojciec. Było to w roku 1841. Na Adama spadł wtedy obowiązek starania się o matkę i rodzeństwo. W roku 1845 ożenił się z Anną Płoszkówną. Życie ich było wzorem bogobojności, pracowitości i uczciwości.

W następnych latach zwaliło się na Jabłonkowian kilka nieszczęść. A więc pożar 9 czerwca 1847 roku, nieurodzaj i powódź, po czym nastąpił głód i mór. Rok 1848 był rokiem dalszego niepokoju dla Jabłonkowian. Przez Jabłonków przechodzi pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy ciągnących przeciw powstańcom węgierskim. Według rozporządzenia cesarskiego stworzono gardę nacjonalną, która uczyła się władania bronią i pełniła służbę jako straż obywatelska w liczbie 80-ciu, w której pełnił służbę również Adam Sikora. Z tych czasów pochodzi jego pierwszy napisany w całości utwór okolicznościowy do gardzistów, który miał kilkanaście zwrotek. Pieśń ta z innymi urywkami pieśni świeckich, które w tym czasie napisał, spaliła się podczas pożaru domu rodzinnego Sikorów w roku 1890.

Adam Sikora odziedziczył po ojcu imię, zawód i ciężkie życie. Liczna jego rodzina nie zawsze miała się czego najeść do syta, zwłaszcza kiedy powiększała się rodzina a rzemiosło tkackie upadało coraz bardziej i coraz mniejsze przynosiło dochody. Wszystkie więc dzieci, skoro tylko węzełek nici zrobić potrafiło, pomagało w pracy. Adam Sikora jednak nigdy nie narzekał na swój los. Zawsze wesoło patrzył na świat i obserwował bacznie wszystko, co wokoło się działo.

Wynikiem jego obserwacyj i zainteresowań były krótkie okolicznościowe wierszyki — pieśni, które tworzył przy każdej okazji. Wszystko to, co zaprzątnęło jego umysł znalazło swój wyraz w nowej pieśni. A więc kiedy córka arcyksięcia Albrechta Klotylda spaliła się w Wiedniu, on układa pieśń, w której boleje nad jej tragiczną śmiercią, kiedy budowano pierwszą fabrykę przędzalną w przysiółku miasta w Sigle, on w pieśni dziękuje przedsiębiorcy za nowe źródło dochodu dla ubogiego ludu górskiego, gdy zaś otwarto gdzieś w pobliżu nową szkołę, w pieśni wyraża swoją radość z powodu tego, że znów przybywa nowe ognisko oświaty, kiedy przyjeżdża do Jabłonkowa jaki dostojnik kościelny czy świecki znajduje okazję, by nową pieśń napisać. Pisze i oddaje do śpiewania. Pieśni jego szybko rozpowszechniają się pomiędzy ludem. Często przychodzą do niego z prośbą, by coś napisał, czy to na jakąś uroczystość publiczną, czy rodzinną, on nigdy nie odmawia. Tak powstały: Kolęda Pastuszków, Przychód św. Trzech króli, pieśń o św. Dorocie i inne. Jedna z najpiękniejszych pieśni, którą zatytułował „Dzieci" powstała na prośbę swej córki, by i dla niej pieśń napisał. W pieśni tej ustami Róży śpiewa o swym ubóstwie i każe nieść kwiatki w darze Jezuskowi.

W najbliższym sąsiedztwie Sikory mieszkał przeszło osiemdziesięcioletni staruszek J. Paduch u swego syna na wymowie. Pomimo różnicy wieku byli dobrymi przyjaciółmi. Staruszek ten żywił szczególną cześć i zamiłowanie do św. Krzyża w Górnej Łomnej. To też pomimo swego podeszłego wieku co niedziela przy możliwie sprzyjającej pogodzie tam podróżował. Na jego prośby i życzenia ułożył piękne pieśni o św. Krzyżu w Górnej Łomnej, które wyszły drukiem nakładem tego staruszka.

Drugim dobrym przyjacielem Sikory był A. Poloczek, mieszczanin, mąż przyjacielski i życzliwy. Ponieważ był pierwszym śpiewakiem przy kościele, więc pieśni Sikory śpiewał przy każdej sposobności, w drodze idąc na odpusty czy w kościele śpiewał, sprawiając poecie uciechę i radość i dodając mu nowej zachęty.

Nie zaniedbuje jednak swego rzemiosła. Jest również wielkim miłownikiem sadu i tu pracuje wydatnie świecąc wzorem i przykładem.

Stan zdrowia Sikory ostatnimi czasami pogarszał się. Pomimo jednak choroby, kiedy kaszel nie pozwalał mu zmrużyć oczu, wstawał z łóżka, zapalał światło i pisał rozpoczęte już dawniej pieśni.

W listopadzie 1871 choroba powaliła go zupełnie na łoże cierpień. Cierpi fizycznie i duchowo. Chce jeszcze żyć i pracować dla swych dzieci. „Pięćdziesiąt lat mam, ale jeszcze i teraz chciałbym żyć i pracować dla tych moich dziatek, które po mojej śmierci zostaną sierotami, dla nich radbym przeciągnąć swój żywot, a także i tego doczekać, ażebym te moje pieśni widział drukowane" — powiedział do dr. Tarnawskiego, który nie rokował mu już długiego życia. Zmarł nie długo po tym w rocznicę swych urodzin 14 grudnia 1871.

***Adam Sikora** z Jabłonkowa*
** 1819 † 1871*
poeta śląski
autor pieśni o krzyżu św. w Salajce
Rys. J. Wałach

Adam Sikora

Do leniwej

Nadeszedł mięsopust, dziewczyno kochana,
Trzeba sobie szukać jakiego galana.

Potrzeba ochoty i kuraży przydać,
Ażebyś się mogła w ten mięsopust wydać.

Trzeba podnieść rękę i rozruszać pleca,
Bo nikt cię nie będzie namawiał u pieca.

Trzeba sobie dobrze nasmarować nogi,
Boć teraz parobek każdy bardzo drogi.

Teraz nie potrzeba pieniędzy, ni chaty,
Gdy tylko będzie miał na sobie galaty.

Choćby się okrywał płóciennym żupanem,
To przecie obierze sobie ładną żonę.

Napominam ciebie, ile tylko mogę,
Jak będziesz leniwa, zostaniesz przyłogiem.

Pisane między rokiem 1850—1860.

Mówiąc o pieśniach Adama Sikory, trzeba pominąć świadomie ich wartość literacką. Adam Sikora, który ukończył zaledwie miejscową szkółkę, nie znał literatury pięknej, a to co pisał, dyktowało mu uczucie, miłość do tej ziemi i do tych ludzi, z którymi na tej ziemi żył razem. Pieśni jego są obrazem duszy ludu śląskiego pierwszej połowy 19 wieku, są dokumentem jego życia, jego myśli, dążeń, wiary i języka.

Nie doczekał się wydrukowania swych pieśni, które światło dzienne w formie książki ujrzały dopiero w roku 1887 w Krakowie. Śpiewał je jednak lud, syn i córka, uczyli się ich od ojca i matki, uważając je za własne pieśni, bo z niego one wyszły i jego oblicze nosiły. Dlatego też te pieśni i ich autor warci są tego, by o nich wspomnieć. (pg)

Ze starych kronik

Wieś Trzycież, jej poddani i ich powinności

(na podstawie urbarza z r. 1691)

Rolnicy: Biedrawa, Twardy, Ciahotny, wdowa po Urbanie Twardym, Bentsch Oszelda, Klimasz, razem 7. Ci siedlacy wykonują wszelkie roboty, które się im nakaże, na folwarku, tak konie jak i piesze, opatrują budynki, rąbią w lesie drzewo na opał i zwożą je, wywożą nawóz na folwark, jeżdżą za sprawunkami pańskimi, gdzie się im każe, przy sianie i żniwie pracują w dwie osoby, przy żniwie lub koszeniu dostają na śniadanie polewkę z chlebem, na obiad 3 potrawy, na swaczynę mleko lub kiszkę z chlebem, na wieczerze 2 potrawy i co dzień dostają po kawałku chleba.

Prócz tego płacą po 1 tal. 20 gr., dają owsa po 4 ćwierci, po 4 kury, kopę jaj i przędą 1 sztukę.

Zagrodnicy: Biedrawa, Janek Twardy, Boczek Bulwa, Oszelda, Pytel, Cińciała, razem 7. Ci płacą po 18 gr. czynszu (jeden zt), dają po 2 kury, 30 jaj i 1 sztukę przędzy, wykonują wszelkie roboty pieszo w jednej osobie, chodzą z posyłkami, przy czym dostają z łaski pańskiej chleb, młócą wszystko zboże, za co dostają co piętnastą ćwierć zboża; jedzenie dostają tylko w żniwa przy kośbie.

Chałupnicy: Zoń, Klimasz, Buchta, Twardy, Ślęnczka, Paweł Bartkow płacą razem 8 t. i 33 gr., dają 7 ćwierci chmielu i 6 kminu, 4 gęsi i przędą 84 łokci, za to wolno im paść po 2 krowy na folwarku i pracują 2 dni w tygodniu. Od młócenia dostają czternastą miarę.

Wolni chałupnicy i młynarze: Kuba Niemczów płaci 4 t., żnie 2 dni, jeden siecze, 2 dni grabie. Huczała, młynarz płaci 12 t., daje 15 kurcząt na kapłonienie, robi w żniwa 4 dni przy grabieniu dwa. Koch, szewc, płaci 2 t. i 18 gr., przędzie 1 sztukę, daje 2 gęsi, pracuje 2 dni w żniwa, 1 przy kośbie, 2 dni przy grabieniu, Polak, tkacz, który nie jest poddanym, tylko najemnikiem, płaci 6 t. Ciahotny, który stracił wzrok, nie płaci nic od chałupy, Kondziołka, Huczala muzykant Jan i Pietrek, który nie jest poddanym, Gaura Kozieł, Ciahotny mają mniej więcej takie same obowiązki.

Komornicy ci nie płacą nic, nie mają gruntu- lecz robociznę wykonują, jeden ma mieć staranie nad owocami i suszeniem ich, za co dostaje co szesnastą ćwierć suchych lub świeżych owoców, drugi jest stróżem na folwarku, inny woźnicą, w czasie wolnym młóci lub pełni inne czynności we dworze.

Komornice pełnią służbę we dworze, same lub z dziećmi, jeżeli je mają, lub robią na pańskim, wtedy dostają jedzenie 2 razy dziennie. W czasie żniw zabija się niekiedy starą krowę na mięso dla żniwiarzy lub piecze „buchty" z łaski pańskiej i daje się pół ósemki piwa lub gorzałki „na lepszą ochotę żeńców". Wszyscy siedlacy, zagrodnicy, chałupnicy i komornicy są obowiązani iść z panem na polowanie ze sieciami, siedlacy w dwie osoby.

Gmina zaś cała daje proboszczowi trzycieskiemu dziesięcinę w zbożu, po 6 ćwierci żyta i owsa, pan dziedziczny tylko 2 ćwierci.

INWENTARZ GOSPODARSTWA DWORSKIEGO W TRZYCIEŻU Z R. 1691:

Siedziba, dwór pański dosyć obszerny, w nim świetlice wielkie i małe, z nich jedna murowana, przy której jest sklep i inne potrzebne komory, kuchynie, piwnice razem pod dwoma dachami, sporo innych budynków; czeladnik z komorami, masztala, dojnik, owczarnia, wolarnia, chlewy dla jałówek, świń i drobiu, piwowar, przy nim słodownia i palarnia, sąsieki na zboże, 3 stodoły, suszarnia owoców, na folwarczku też budynki, 3 chlewy i 1 stodółka.

Do inwentarza należy 38 krów, 16 jałówek, 13 wołów roboczych, 20 świń, owiec 300, gęsi 30, indyków 10, kur 30, kaczek 10. Są także sady owocowe i ogrody warzywne.

Na polach od Gnojnika po Ropicę są łąki, z których się zbiera około 200 fur siana.

Las jest bukowy i jodłowy, którego się bardzo szanuje i do budowy kupuje się drzewo z sąsiednich lasów. Rybniki są 4, z których można dobyć 27 kop ryb, z- jednym razem. W Ropiczce i Czernej są pstrągi, w Czernej łowią właściciele Ropicy i Gnojnika.

Franciszek Popiołek.

Adam Sikora

Do młoduchy

Kochana młoducho, stan ci się przemienia,
Teraz z ciebie będzie ładna gospodynia,

Teraz będziesz miała klucze w swojej mocy,
Będziesz się musiała starać we dnie, w nocy.

Ale co ci powiem, słuchaj mojej rady,
Nie będzie na tobie nigdy żadnej wady.

Najprzód kochaj wiernie małżonka swojego,
I na włos wypełniaj dobry rozkaz jego.

Strofuj i nauczaj uprzejmie czeladkę,
By cię poważano, jako dobrą matkę.

Skoro się przebudzisz rano, prędko wstawaj.
Wszystkim domownikom dobry przykład dawaj.

Chwyć się zaraz z rana zręcznie swojej sprawy,
I nie gotuj nigdy na śniadanie kawy —

Boć to nie należy sprostym gospodarzom,
Ale tylko dworskim i pańskim kucharzom.

Nagotuj wodzionki z chleba razowego —
Czym cię Bóg pożegna, bądź kontentna z tego.

Nie sprzedawaj nigdy podaremnie zęby,
Jak się zechcesz wadzić, wlej wody do gęby.

Nie czyń sobie nigdy dostatniej wygody,
Nie noś wieszotorów podług każdej mody.

Nie kochaj pochlebcy, bądź oszczędna wszędzie.
Każdy z domowników wychwalać cię będzie.

Ubogie dziateczki przytulaj do siebie,
A to będzie dobra gospodyni z ciebie.

*

Krakowiak dla ochotników

Kurażni chłopacy! na wojnę pójdziemy,
Za ojczyznę naszą wojować będziemy.

Na to mamy zdrowie, na to mamy siły,
Byśmy za ojczyznę z ochotą walczyli.

Próżno się namyślać, próżno ściskać pleca,
O zwycięstwie mówić, a siedzieć u pieca.

Trzeba się na nogi postawić z kurażą,
Wziąć do ręki pałasz, karabin pod pażą.

Postawić się śmiele z jaśniejącym czołem
I mężnie zwyciężać nad nieprzyjaciołem.

Kto takiej odwagi mężnej mieć nie będzie,
Niech raczej u pieca w domu kądziel przędzie.

My pójdziemy śmiele, choćby i krew wylać,
A niebieski hetman będzie nas posilać.

Pisane między rokiem 1850—1860.

ONDRA ŁYSOHORSKY

Na łamach naszego pisma wspominaliśmy swego czasu o poecie Ondrze Łysohorskim (pseudonim — właściwe nazwisko: Erwin Goj), który przed drugą wojną światową wydał dwa zbiorki poezji w tak zwanej gwarze laskiej. Autor, który pochodzi z Dobrej przy Frydku, zbiorki swe wydał w praskim wydawnictwie „Družstevni Práce" z przedmową wybitnego a dziś już nieżyjącego krytyka czeskiego — Szaldy. Szalda nie znając dostatecznie dialektów śląskich, zbiorami „poezyj laskich" formalnie się entuzjazmował i właśnie dzięki tej przedmowie, twórczość Łysohorskiego została uznana jako nieprzeciętna, wielka i sławna, choć posiada raczej tendencję ograniczonego talentu. Sam Łysohorski nazwał siebie następcą innego poety czeskiego, Petra Bezruča z tą tylko różnicą, że wypisał na swym sztandarze seperatyzm laski i niedwuznacznie opowiadał się za stworzeniem jakiegoś utopijnego państwa laskiego w którego granice weszłyby wszystkie te tereny czeskosłowackie, polskie i niemieckie, gdzie ludność laska żyje. Erwin Goj miał tutaj na myśli raczej wszystkie tereny śląskie z czasu przed drugą wojną światową. Jeszcze przed wybuchem drugiej wojny światowej, liczni przyjaciele Ondry Łysohorskiego, jak czeskosłowacki literat lewicowy, narodowości niemieckiej. — Wieskopf, przyczynili się, aby niektóre utwory Erwina Goja zostały przetłumaczone na język niemiecki czy nawet angielski. Tymczasem wybuchła nowa wojna. Ondra Łysohorski zmuszony był opuścić Bratysławę, gdzie zarobkował jako profesor języków. Z Bratysławy „poeta laski" uchodzi do Polski, gdzie przez pewien czas stara się o posadę w Polsce, bierze żywy udział w życiu kulturalnym Katowic — lecz wojewoda Grażyński nie godzi się, aby autor „Hłosu hrudy", został profesorem w jednym z gimnazjów polskich, bodaj chodziło wtedy o gimnazjum w Cieszynie. W Katowicach, Ondra pozostawia swym polskim przyjaciołom rękopis trzeciego zbiorku swych poezyj, napisanych w gwarze polskiej i w pierwszych dniach napadu niemieckiego na Polskę . . . gdzieś znika. Przez cały okres okupacji nie było wiadome, co się właściwie stało z tym twórcą „legendy laskiej". Dopiero w kilka miesięcy po klęsce niemieckiej, bo jakoś z końcem 1945 roku do prasy czeskiej przedostały się wiadomości, iż Ondra Łysohorski przebywa w Związku Radzieckim, gdzie prawie wydał w nakładzie dziesięciu tysięcy egzemplarzy swe dwa zbiorki poezyj w jednym wydaniu książkowym. Były to przekłady jego poezyj laskich na język rosyjski. I znowu nastąpiła grobowa cisza . . .

W tym czasie jednak nie zapomniano o politycznych koncepcjach laskich, czego dowodem było przeciwstawienie się tym koncepcjom niektórych mówców, biorących udział na zjeździe pracowników kulturalnych w Mor. Ostrawie w roku 1945, gdzie ostro zaatakowano koncepcję literackiego regionalizmu laskie-

go ze stanowiska państwowości czeskosłowackiej.

Tymczasem, jak dowiadujemy się z praskiej „Panoramy" nr. 14—15 z grudnia 1946 roku, poeta laski — niespodzianie zjawił się w kancelarii wielkiej spółdzielni wydawniczej w Pradze, wspomnianej już „Druzstevni Prace", której redaktor tak opisuje w miesięczniku „Panorama", wydawanym tylko dla członków D. P. — ową wizytę:

„O kilka dni później pojawiła się w drzwiach gabinetu dyrekcyjnego młoda, roześmiana twarz z bogatą czupryną na swej głowie", nim się zorientowałem, kto to właśnie jest — już wyciągnięto do mnie rękę na powitanie, stale śmiejące się usta mówią: Łysohorski, Ondra Łysohorski. Pierona, to była niespodzianka, nasz kochany, śląski poeta, autor DP znowu między nami. Jego książki w czasie okupacji spały twardym snem pod pieczęcią policji — podczas, gdy cały szereg innych książek cieszyły serca czytelników, to na „Hłos hrudy" i „Piaść" opadał pył — a teraz ich autor jest ze swą żoną wśród nas, taki sam jaki był nam znany przed wojną, tylko liczne doświadczenia odbijają się w jego twarzy. Nie było końca pytaniom, odpowiedziom i opowiadaniom — ani nie spostrzegliśmy, kiedy upłynęły cztery godziny naszej rozmowy.

Co nam opowiedział nasz autor o sobie, zapewne będzie ciekawiło naszych czytelników, gdyż bardzo prędko spotkają się z jego nowym dziełem. Powitaliśmy autora w imieniu wszystkich czytelników i żywimy nadzieję, że jego nowa książka zostanie radośnie przyjęta jak tylko podamy termin jej wydania. Ondra Łysohorski opowiada i opowiada, co można przelać na papier, notujemy — a z tego wszystkiego jest spory wycinek dramatycznego życiorysu naszego autora, przeżytego w wielkiej słowiańskiej ziemi:

Dwa tygodnie przed wybuchnięciem wojny — a więc w sierpniu 1939 — odjeżdżałem ze swojego dawniejszego miejsca pobytu w Bratysławie — do emigracji. Kiedy wybuchła wojna dnia 1 września 1939 r., udało się grupie czeskosłowackich emigrantów w Katowicach wymknąć się na wschód. Droga do Warszawy była bardzo trudna — trwała kilka dni. Pociąg był bombardowany — a poeta Łysohorski ocalał jedynie w ten sposób, że wyskoczył z pociągu. Internowany później wraz z czeskosłowacką jednostką przez Armię czerwoną, przeżył on 9 miesięcy w sowieckich obozach.

Później zwolniono go jako profesora języków — zaś w grudniu 1940 roku zaczął pracować w wyższej szkole obcych języków w Moskwie (Moskowskij gosudarstwennyj pedagogiczeskij institut innostrannych jazykow), gdzie zaczął z nauczaniem obcych języków. W sierpniu wystąpił Łysohorski na pierwszym meetingu Wszechsłowiańskiego Komitetu, którego jest członkiem. Przemawiał w różnych językach w radio i z łamów prasy. Wojenna sytuacja się ciągle zaostrza tak, że w październiku 1941 roku jest on jako członek Związku pisarzy sowieckich ewakuowany do Taszkientu gdzie się zatrzymuje aż do początku 1943 roku. Taszkient staje się miastem uciekinierów w którym zwyszyła się ilość obywateli kilkakrotnie, tam się także znajdowała większość ewakuowanych z Moskwy członków Związku pisarzy sowieckich. Był to okres bardzo ciężki — ale zarazem szczęśliwy — szczęśliwy dlatego, że poeta mógł dużo pracować. Współpracował przy redakcji licznych almanachów, wydawnictw, brał udział w organizowaniu wieczorów i t. d. Tutaj został napisany zbiór sonetów i książka lirycznych i wojennych wierszy — obydwie w języku laskim. Wiele z tych utworów było później przełożone na język rosyjski i na inne języki. „Piseń o matierzi", którą napisał jeszcze w Moskwie w czasie kilku nocy podczas bombardowania, wyszła w moskiewskim wydawnictwie „Prawdy" w nakładzie 50.000 egzemplarzy. W Taszkiencie wyszła druga książka wierszy „Zemlja moja". W roku 1945 wyszedł w Moskwie zbiór 100 wierszy — „Piesni o solnce i zemlje", a w roku 1946 przygotowywana jest do druku dalsza książka „Stichotworenja".

Twórczość Łysohorskiego była przyjęta przez krytykę bardzo przychylnie. Również i w Taszkiencie działał poeta na wyższej szkole pedagogicznej. Jako członek Związku sowieckich pisarzy, otrzymał on w Taszkiencie „tworczeskuju komandyrowku" — to znaczy pozwolenie na odbycie podróży do któregoś miasta, gdzieby się mógł poświęcić swej literackiej twórczości. Tymi miastami były Buchara i Samarkand. W Moskwie, dokąd powrócił w styczniu 1943, znowu oddał się w zupełności twórczości literackiej. Jest współpracownikiem licznych sowieckich czasopism jak (Internacjonalnaja literatura" w języku rosyjskim, angielskim, francuskim, hiszpańskim, niemieckim), „Nowyj mir", „Ogonick", „Oktiabr", „Slawianie" i sowieckich gazet „Literaturnaja Gazieta", „Krasnaja zwiezda". Kiedy Armia czerwona zbliżała się do granic czeskosłowackich, został poeta powołany, aby prowadził czeskie kursy językowe na wysokiej szkole wojskowej (Wojennij institut innostrannych jazykow Krasnoj armii). Wtedy udało mu się w przeciągu sześciu miesięcy nauczyć czeskiego języka pierwszą swą grupę tak doskonale, że pierwsi uczniowie zostali tłumaczami w sowieckiej armii.

W zeszłym roku Łysohorski miał tą możliwość daną mu przez Wojskowy Instytut i pobył cztery tygodnie na południu w sanatorium wprost nad brzegami Czarnego morza — koło Soczy. Po skończonej kuracji cały miesiąc podróżował po Gruzii i Armenii. W czasie tej podróży — bogatej w przygody, poświęcił poeta więcej uwagi kulturalnym pamiątkom i przyrodzie Kaukazu. Wszystkie książki pisał Łysohorski w swym języku laskim; przekładowcami tych książek na język rosyjski byli sowieccy poeci (Pasternak, Marszak, Tichonow — przewodniczący Związku pisarzy sowieckich —, Kazin, Surkow, Selwinskij, Asiejew, Ługowskij i wielu innych). Przekładanie, było owszem trudne — poeta musiał najpierw swym tłumaczom przygotować: oryginał, dalej fonetyczną transkrypcję, dosłowny przekład do języka rosyjskiego (a więc słowo za słowem) a także musiał swe utwory recytować kilkakrotnie wobec nich.

W Związku sowieckim zostały urządzone literackie wieczory Ondry Łysohorskiego. Na przykład w roku 1944 w Moskwie, gdzie prócz odczytu o wierszach Łysohorskiego wygłaszali jego wiersze poeci gruzińscy Leonidze, Czikowani, Maszaszwili i t. d. Przygotowywane jest wydanie zbioru wierszy Łysohorskiego w języku gruzińskim. Prócz tego były wiersze Łysohorskiego przetłumaczone na język uzbecki.

W czasie wojny wyszły angielskie przekłady Łysohorskiego w różnych antologiach w Ameryce i w Anglii.

Dla DP ma poeta Łysohorski przygotowany wybór około 112 utworów, napisanych w czasie pobytu na emigracji. Cały ten zbiór będzie rozdzielony na 6 cyklów: 1. Wiersze intymne, 2. przyroda, 3. na obczyźnie, 4. wojna, 5. wschód, 6. medytacje. Niektóre z tych utworów — zupełnie nowych — były już opublikowane w języku rosyjskim, angielskim, i francuskim „— J. C.".

Tyle „Panorama". Jak widać z powyższego, Ondra Łysohorski przybył do kraju i zamierza po tak burzliwej sławie i tak obfitych przygodach pozostać w kraju. W swych przekładach zdołał pobić... aż wszystkich poetów czeskich. Nikt i żaden z nich nie może się chlubić takim rozgłosem, choć niejeden z nich stoi artystycznie o całe niebo wyżej niż poeta sztucznej legendy laskiej i sztucznego języka laskiego, zachwaszczonego w wielu miejscach przez samego autora „inteligetyzmami".

Poeta laski nie zrzekł się dalszego boju o „laską utopiję"; zapowiada wydanie nowej książki w Pradze...

Tymczasem działacze komunistyczni opowiadają się przeciwko tym poczynaniom coraz energiczniej...

Minister Kopecky w czasie swego pobytu na Śląsku czeskim w dniu 24 listopada 1946 roku — jak doniosła prasa — wyraźnie upominał Ślązaków, aby nie byli seperatystami, że na zjawiska dnia dzisiejszego nie należy patrzeć tylko z punktu widzenia regionalnego, że byłoby niebezpieczeństwem wytworzenie jakiejś „laskiej" narodowej świadomości.

Do tych słów możemy dorzucić jedynie tyle, że próbę tej świadomości stara się uskuteczniać ciągle Łysohorski wraz ze swą grupą, która przed drugą wojną światową bardzo często zabierała głos i publikowała swe utwory w miesięczniku praskim wydawanym przez dr. Kohoutka pod nazwą „U". Kielsz.

* *

GÓRALU CZY CI NIE ŻAL

Improwizacja do znanej pieśni wykonana przez art. malarza Franciszka Świdra z Karwiny, jako fragment dekoracji na balu P. T. T. S. „Beskidu Śląskiego" w Karwinie.

OD REDAKCJI. Następny numer „Szyndziołów" zawierał będzie ogólny przegląd literatury polskiej na Śląsku, fragment walki partyzantów śląskich z gestapem cieszyńskim na ulicach miasta Cieszyna, Podania i baśnie śląskie i t. p.

Szyndzioły
Dodatek »Głosu Ludu« poświęcony kulturze i sztuce.
NR 2
CZESKI CIESZYN
NIEDZIELA 6 KWIETNIA
1947

JAN BRODA

Śląsk w literaturze polskiej

Byłem w pewnym kłopocie przy wyborze dzisiejszego tematu czy przedstawić autorów autochtonów czy ogół literatów czystej wody czy też może poprzestać na regionalistach. Obrałem temat trzeci: Śląsk w literaturze polskiej z wyszczególnieniem naszych regionalistów.

I.

Powiedział kiedyś Żeromski, że za najsmutniejszy okres w literaturze polskiej uważa brak zainteresowania się Śląskiem mimo, że temat jest bardzo wielostronny i godny niejednej epopei. Słowa tego proroczego ducha nie pozostały bez echa. Śląsk, kraj 600 lat będący w obcej niewoli zapomniany i nieznany, jak o własnych siłach odrodził się narodowo przed 100 laty, tak przed 20 laty zaczął dobijać się usilnie na zawarte drzwi ogólnopolskiej umysłowości. Zasługa to głównie naszego **Gustawa Morcinka.** Piękna i wzruszająca (na owe czasy) jego książka „Serce za tamą" była dla reszty polski rewelacją, nie dla swej formy czy artystycznych walorów, ale dla swej treści. W swych piętnastu nowelach pokazuje nam „roztomiły Gustlik" szarą robotniczą brać zagłębia karwińskiego (skąd sam jest rodem) przy swej pracy w kopalni, na jej powierzchni, daje rzewno-bohaterskie obrazki zmagań z r. 1919. Daje też obrazki obyczajowe wsi naszej i ukochania ziemi. Przez swe autobiograficzne obrazki „ woła ku rodakom utęsknionym głosem jak mówi we wstępie Kossak-Szczucka, niesie swe serce szczere, ofiarne, płonące, serce, co do niedawna jeszcze pozostawało za tamą. Skłonność do idealizowania i koloryzowania wydarzeń, jaka rzuca się w oczy w tej pierwszej książce, pozostanie stałą cechą wszystkich jego utworów i staje się nieraz aż przesadną. Niekoniecznie dodatnia to cecha! W opisywaniu i przedstawianiu życia górniczego okazał się mistrzem nielada. W morzu całej literatury europejskiej nie znajdziemy tyle słoneczności w opisie życia górniczego ile dał nam jej Morcinek w swych książkach o „hawiyrzach". Wyżynę twórczości osiągnął w **„Wyrąbanym chodniku".** Dwubiegunowa — (i trzytomowa) ta epopea pokazuje się w r. 1932 (Serce za tamą w 1927 r.) Przedstawia w niej autor dwa światy i trzy kategorie ludzi: świat podziemi i nawierzchni pod Beskidem czy w Zagłębiu, świat polski i niemiecki w okresie niewoli i w czasie niepodległości, — i ludzi, oddanych gorąco sprawie narodowej, ludzi jej wrogich i typ najgorszy: zdrajców, szpiegów i donosicieli, których przedstawicielem jest Sojka. Czasokres, w którym akcja się odgrywa jest zbyt przestronny, kilkunastoletni, bo obejmuje 20-lecie od wojny światowej do niepodległościowych walk powstańczych. Co do formy i literackiego ujęcia przeważa żywa epika w opisach z życia kopalni, liryzm w krajobrazie, zdrowy humor i tężyzna ducha w opisie walk frontowych. Książka ta ma też wartość dokumentarną, bo stara się uchwycić na gorąco momenty powstań śląskich. W dalszych powieściach świat zainteresowań Morcinka rozrasta się do ulubionego tematu górniczego przybiera' życie szkolne. Wszak jest nauczycielem i psychika dziecka jest mu też najbliższą. Z luźnych szkiców powstają cykle obrazów o skoczowskich dzieciach: Miasteczka nad rzeką, Gołębie na dachu, W najmłodszym lesie. I powieści: Po kamienistej drodze, Gwiazdy w studni, Narodziny serca są bardzo miłą i popularną a niefrasobliwą i niemoralizatorską lekturą dla tych milusinskich szkolnych. Nauczyciele zaś mają wobec Morcinka dług wdzięczności za niedawno wyszłe „Wyorane kamienie", jedyną bodaj powieść w Polsce, która bez osłonek przedstawia społeczeństwu tę ciężką dolę nauczyciela, a nie znajduje zrozumienia należytego ani u swych przełożonych władz. Całokształt twórczości 52-letniego Morcinka należy uzupełnić, że w okresie niewoli skrobał ziemniaki w obozie koncentracyjnym, będąc naocznym świadkiem wielu wyczynów niemieckich „nadludzi."

Dziewczyna w cudnym stroju śląskim

Wspomnienia tych koszmarnych miesięcy i lat przekazał nam w „Listach spod morwy", po których pokazały się w papieskiej stolicy pseudoświętobliwe „Listy z mojego Rzymu" za które część społeczeństwa odczuwa do niego żal za jego stanowisko religijne. Z całego dorobku Morcinkowego ustalić dziś można, że należy on do pisarzy o szerszym oddechu. Jego surogatem tworzywa jest nie tylko najlepiej uchwycone życie górnika, ale i szereg dobrze ujętych scen z życia ludu śląskiego, (problemowi polsko-czeskiemu poświęcona jest książka „Maszerować"), z okresu powstań śląskich („Wyrąbany chodnik"), obrazki i powieści z życia szkolnego, gdzie podkreślona jest sprawa bezrobocia, listy i nowele z życia obozowego „Listy spod morwy", „Dziewczyna z pól Elizejskich" i przecudne opisy z naszego Beskidu, zwłaszcza w monografii „Śląsk". Dorobek jak na jednego autora wcale bogaty. Za dużo jednak sentymentu i lokalnego patriotyzmu, za dużo słoneczka i miodu w sercach bohaterów.

II.

Przeciwieństwem Morcinka jest przedstawiciel śląskiej literatury, **Paweł Kubisz z Końskiej** (ur. 1908.) dalszy krewny barda śląskiego — Jana. Debiutował przed niespełna 10 laty książką „Przednówek". Nieduży ten tomik gwarowych wierszy śląskich wywołał duże zainteresowanie w krytyce literackiej polskiej i zagranicznej. W ciągu dwóch lat przedwojennych pokazało się około 150 recenzyj w kilku językach. I teraz w związku z nowym wydaniem „Przednówka" pokazało się ich kilkanaście. Ogólna ich treść stawia Kubisza na stanowisko artysty regionalnego, który w gwarze cieszyńskiej chce i umie wypowiedzieć swój region z okresu minionego i współczesnego. Treścią Przednówka są jędrne, surowe, buntownicze czasem żałosne wiersze o książęcych grofach, góralskich rebeliach. O różnych Bartkach i Maćkach spod Żywca co dla za-

robku wyrzekają się swej narodowości, są wiersze o rozbójnikach i wykorzystywanym przez szowinistów ludzie polskim. — Okres Ostatniej wojny zamyka w żywych, a jakże trupich słowach: „Gdzieś jęk się błąka z pruskich szubienic" (I wydanie str. 85. A do reszty Polaków zwraca się z bolesnym wyrzutem w wierszu: „Nie chcę, nie mogę umrzeć i konać tutaj za Olzą! Chcę wstać — czy wstanę?" Wiersze Kubisza to rozpaczliwy lament Ślązaka, co przywalony głazem poniewierki i prześladowań surowym wierszem i zaciśniętymi pięściami zamyka w sobie tragizm losów swej ziemi.

III.

Górny Śląsk był przed wojną światową dzielnicą dość ugorną. Po okresie Lompy, Miarki, Bończyka czy Jaronia nastąpiły tam lata chude. Jedynym przedstawicielem czasów powojennych był Ludwik Łakomy, próbujący sił w regionalnych opowiadaniach gwarowych z okresu powstań. Tom ten nie wnosi zasadniczo nic trwałego do literatury, Słaba jest też jego próba ujęcia historycznego literatury Śląskiej. Drugim acz niewykorzystanym talentem jest **Emanuel Imiela,** rasowy humorysta, autor tomu wierszy bajkowo-satyrycznych o treści społeczno-politycznej i regionalno-górniczej. Autor nie dbał a może i nie chciał zyskać sobie poczesniejszego miejsca w literaturze śląskiej i — przeminął.

Pokolenie powojenne, współczesne ma dość bogatą listę wybijających się poetów na terenie Górnego Śląska, zgrupowanych zwłaszcza wokół „Odry". Głównym przedstawicielem jest bodaj **Edmund Osmańczyk** ur. 1912. Urodzony w niewoli, tym mocniej ukochał wolność i Polskę, o której długie lata marzył tylko. Jak Kubisz jest piewcą Śląska Cieszyńskiego, tak Osmańczyk jest piewcą Opolszczyzny i całych ziem zachodnich. Debiutował też w roku 1937 tomikiem wierszy „Wolność jest słoneczna".

Sam już tytuł zbiorku ma posmak wolności, a treść wierszy głęboko jest zrośnięta z tęsknotą ludu do wyzwolenia. Przylgnęła do Osmańczyka nazwa poety, pojętego słońcem. Jest on raczej pijany miłością Polski. Nie żeby ją gloryfikował i wynosił pod niebiosy, ale był to chwilowy stan jego duszy w okresie pisania tych wierszy. Wydostał się z niemieckich kleszczy i przebywał w takich ośrodkach polskości jak Kraków czy Warszawa. Nic przeto dziwnego, że urzeczony został tą swobodą i wolnością i w swych patriotycznych wierszach akcentuje tę polskość i wskazuje zarazem resztę ziem nad Odrą i poza nią, które aktem sprawiedliwości dziejowej Polsce się należą. Obecnie Osmańczyk przerzucił się do prozy i pisze świetne reportaże z terenów oswobodzonych. Jest wnikliwym obserwatorem zamierzeń i poczynań Polaków, a po sędziowsku i lekarsku wytyka ich błędy. Proszę przeczytać ostatnią jego książkę „Sprawy Polaków", które zadziwiają wprost głęboką obserwacją duszy polskiej i wiekową tradycją. Równie bystrym obserwatorem zachodzących przemian jest redaktor „Odry" — **Wilhelm Szewczyk,** syn górnika z Czerwionki. W swym poemacie „Hanys" pokazuje nam tragiczną dolę bezrobotnego górnika, „W nocy" zaś opisuje w bardziej lirycznej formie walkę konspiracyjną z hitleryzmem. Ton wierszy jest na ogół buntowniczy, ale nie w tym stopniu i trwałości co u Kubisza. Jest wiele uczucia religijnego. To uczucie przebija głównie z sonetów, pisanych w więzieniu i na wygnaniu, a poświęconych całej Słowiańszczyźnie, zwłaszcza Łużycom, gnębionym dotąd przez obcego najeźdźcę. Przewodnia myśl tych wierszy: Dlaczego Bóg dopuszcza zło? — Każe nam szukać łączności duchowej, z Kasprowiczem, Wojciechem Bąkiem czy szesnastowiecznym Kochanowskim. Szewczyk jest nadto bardzo płodnym publicystą, krytykiem i autorem kilkunastu pomniejszych prac z dziedziny historii, literatury czy zagadnień społecznych. Prócz „Hanysa" wydał Szewczyk także zbiorek wierszy p. t. „Posągi".

IV.

Koło tych wymienionych czołowych przedstawicieli literatury śląskiej: Morcinka, Kubisza, Osmańczyka i Szewczyka grupuje się mnóstwo pisarzy i poetów o mniej wyrobionej „marce", których utwory noszą charakter więcej odtwórczy, albo którzy zacieśniają się do zbyt wąskiego własnego świata. Ale i wśród nich nie brak talentów oryginalnych. Na Śląsku Cieszyńskim znany jest od lat gawędziarz i pisarz ludowy, **Walenty Krząszcz,** b. kierownik szkoły góreckiej. Wydał jeszcze przed Morcinkiem sporo książek powieściowych z życia obyczajowego naszej wsi podgórskiej (Szkoła na pustkowiu, Z cieszyńsko-śląskiej wsi, Janek, W złotym Cieszynie, Przed maturą, Mamidło cygańskie, Ludek spod Witalusza). Dla folklorysty są one bogatą kopalnią zwyczajów ludowych, ale czytelnikowi o pewnym smaku literackim nie przynoszą już korzyści duchowych. Są za płytkie, szablonowe, ciasne. Pomniejsze nowele są ciekawsze, bo ożywia je zdrowe tętno humoru chłopskiego i potoczystości akcji. Próbował też Krząszcz szczęścia w sztukach scenicznych, z których „Wesele cieszyńskie" ukazało się drukiem. A szkoda, bo przedstawia bardzo mierną wartość. Znacznie większe walory treściowo-ideowo-sceniczne posiada „Pani wójtowa" **Szuścika** oraz sztuki **K. Bergera** „Nawrócony", spokrewniony myślą przewodnią z „Panią wójtową", „Wiosna ludów — rok 1848" przedstawiający rewolucję w Końskiej pod wpływem wiosny ludów, oraz komedie: „Panna Halka mężatka", „Baboska rewolucja" czy „Syn marnotrawny". Tuż przed samą wojną pojawił się krzepki talent regionalno-sceniczny. Oto **Jerzy Proboszcz** z Istebnej dał nam obrzędowe widowisko „Wesele górali istebniańskich" w czterech odsłonach, bez obcych dodatków i niesmacznych dowcipów, od których się roi w wielu naszych amatorskich przedstawieniach. Sztuka Proboszcza jest pisana czystą gwarą góralską, a uroku nadają jej przede wszystkim powaga w chwilach obrzędowych i zdrowy humor w całej potoczystej i żywej akcji przeplatanej bardzo licznymi pieśniami. — I **Paweł Myrdacz** z Żukowa dał nam w obecnym czasie „Wesele Śląskie", przedstawiając w nim rzekomo autentyczne wesele sprzed 40 lat w okolicach Cieszyna. Poza kilku uchwyconymi a dziś zapomnianymi zwyczajami obrzędowymi, widowisko to jest słabsze od Proboszczowego.

Na terenie G. Śląska opracował „Wesele górno śląskie" Imiela i Kubiczek. W obecnym czasie popularne jest widowisko **Golby** „Lompa" przedstawiające w formie scenicznej epokę przebudzenia narodowego na G. Śląsku w okresie Lompy. Gołba nie wyolbrzymia swego bohatera, ale stara się go pokazać w najnaturalniejszy sposób, jego własne słowa wkłada mu w usta, a bohater występuje w scenach zbiorowych w otoczeniu ludu. Przepraszając za ten odskok (dygresję) na korzyść sceny, przechodzę do wcześnie zmarłego, a duchem swych pierwszych utworów z Morcinkiem spokrewnionego **Ludwika Kobieli** (zm. 1945 roku) z Zarzecza. Czytając jego „Żabi kraj" złożony z 5-ciu nowel, od razu poznaje się inteligenta, który z umiłowaniem patrzy na swój region Strumieński, umie uchwycić opisem jego charakterystyczne cechy, ale brak mu łatwości wypowiedzenia się w typie człowieka. Sceny przedstawiane są anemiczne jeśli zgoła nie martwe. Z Beskidem i Nadolziem zapoznaje nas **Ksiądz Em. Grimm.** Jest on poetą. Chociaż jego poezja jest raczej osobista, znajdujemy w niej sporo pięknych opisów ziemi beskidzkiej i śląskiej, sporo patriotycznych wierszy, które świadczą że całym sercem oddany jest ten sługa Boży sprawie śląskiej. Jest to typ starego Kubisza. Tak jak tamten rozkochany był w ludzie wieśniaczym, tak ten zagrzebał się w baśniowy świat góralszczyzny, ubrał zasłyszane od ludu opowieści w wierszowaną szatę i wydał jako miłe a pożyteczne „Baśnie z Podbeskidzia" i „Ondraszka". Szczerze i niewymuszenie w tonie patriotyczno-religijnym wypowiada się też w dwóch tomach wierszy „Z nad źródeł Olzy" i „Z nad brzegów Olzy". W sztuce dramatycznej i w ogóle scenicznej okazuje się niezaradnym. Tak „Jasełka śląskie" jak i „Wanda" są utworami b. słabymi jak Morcinków „Ojcze nasz". Teren Śląska Cieszyńskiego ma też nieco do powiedzenia. Oprócz Kubisza, Bergera i Myrdacza wspomnieć należy **Adolfa Fierlę,** naśladowcę Kubisza w wierszach gwarowych, autora ckliwych kolęd i nieco lepszych wierszy górniczych w zbiorze „Słoneczna kopalnia". „W dziwach na groniach" jest parę lepszych beskidzkich wierszy, z których wyróżnia się zwłasz-

Przeczek Gustaw.

WIOSNA

Domy kolonii okna odchyliły wiośnie,
Prosta ławka pod płotem czeka gwiazd radośnie —
Szept budzących się krzewów schyla się we wietrze,
— Przyjdą gwiazdy i księżyc, by źrenice przetrzeć.

Nie zamąć ciszy słowem — w hucie wre robota —
Na grządce pierwiosnek wznosi główkę złotą . .
Twoje palce je zerwą — bukiecikiem życzeń
Staniesz drżąca przede mną porannym obliczem . . .

Pierś twoja — bzów bukiecik w pachnącym ogrodzie
Stary emeryt w progu powie: — i my młodzi
Kiedyś byliśmy. Cisza miłość uprzędła na krosnach . . .
Dziś w jasnych oczach twoich przyszła do mnie wiosna.

za „Czantoryj" i „Spanymbogiem" — w prozaicznych nowelach górniczych (Cienie i blaski, Hałdy, Kamień w polu) jest zaprzeczeniem Morcinka, czyniąc z górnika tragiczną ofiarę losu, dla którego kopalnia jest przekleństwem a praca — karą. Dojrzalszymi i zwartszymi w treści i budowie są wiersze zapowiadającego się poety, a nauczyciela z Trzyńca **Gustawa Przeczka.** Materiał czerpie albo z przeżyć obozowych albo z okresów przełomowych w naszych dziejach i czasów współczesnych. Jego „Słoneczna wolność" przedstawia w rewiowych obrazach ciężkie czasy niewoli, kiedy smutek i ból wędrując światem, zbierają plony łez i krwi. Dyszy przed zwątpieniem bronią trzy siostrzyce: Wiara, nadzieja i miłość. One dozwalają przetrwać najcięższe chwile i doczekać się czasów swobody, aby w niej rozpocząć pracę nad nową odbudową. G. Przeczek jest nadto tłumaczem poezji czeskiej.

V.

Duchowo i cieleśnie związany był ze Śląskiem, zwłaszcza z Cieszyńskim zmarły **P. Hulka-Laskowski.** Od czasu przyjazdu na Śląsk w r. 1934 pokochał tę ziemię nade wszystko i po sześcioletniej katordze pośpieszył w nasze, zdrowe okolice. Chcąc w części spłacić dług swój wobec Śląska, napisał swój „Śląsk za Olzą". Wiosną tego roku wydał swą opowieść, raczej wojenny pamiętnik „Księżyc nad Cieszynem", bardzo luźno ze Śląskiem związany dający ale zato najlepszą charakterystykę duszy niemieskiej. Duchowo był też ze Śląskiem związany zmarły w okresie okupacji (um. 1941 r.) **Emil Zegadłowicz,** autor kolędniczo-lirycznych wierszy o druciarzach i szklarzach beskidzkich i frasobliwym Chrystusie oraz przepięknej „Pieśni o Śląsku". Na tematy Śląskie pisała też **Pola Gojawiczyńska,** przebywająca niedawno w Pradze. Dwie powieści „Ziemię Elżbiety" i „Górnoślązaczkę" poświęciła okręgowi przemysłowemu, zaś „Święta rzeka" omawia problem Śląska w okresie przedwojennym. Nowsze jej powieści dotyczą wspomnień obozowych i z gruzów powstającej stolicy. Na terenie G. Śląska wybija się w obecnym sezonie kilka nowych talentów poetyckich. Są nimi poza Szewczykiem i Osmańczykiem głównie przybysze z krajów wschodnich. Najbardziej w swych religijnych założeniach zbliża się do poezji Szewczyka **Al. Widera.** Bezlitosna walka z najeźdźcą jest głównym tematem jego dramatycznego poematu „Agaton". Chociaż Bóg zda się być nielitościwym dla nieszczęsnych Polaków, młody poeta nie traci nadziei w lepsze czasy. — Krakowianin **Józef Baranowicz** (ur. 1906 r.) jest poetą na wskroś chłopskim, silniej już ze Śląskiem zrośniętym. Swymi rzeźwymi jak wiosenna skiba wierszami mocno tkwi w krajobrazie wiejskim i w chłopskim świecie. Jego przeciwnikiem jest lwowianin **Aleks. Baumgardten** (ur. 1908 r.), poeta miasta, który swe architektoniczne doznania ubiera w szatę historycznej przeszłości. Pisze też sporo artykułów z dziedziny zagadnień filmu, teatru czy nauk społecznych. Aby obraz był zupełny należałoby wspomnieć i **Przybosia,** chociaż ten w wierszach swych sięga raczej sfery podniebnej, kędy trudno ludzkiej myśli dotrzeć (Ostatni wiersz pisze już dwujęzycznie, jakimś polsko-czeskim kalamburem), dalej **Zyg. Lubertowicza** autora szeregu wierszy i sonetów beskidzkich, **Żelechowskiego i Zabierzewską** za żywe opisy krajobrazu śląskiego, **Bednorza** za gllosy śląskie, i **Szkaradkówną, Jasiczka** i wielu jeszcze pretendentów do odznaki „Z bobkowych liści".

VI.

Kończąc tych parę myśli o literaturze śląskiej od chwili jej usamodzielnienia się i wyrąbania sobie własnymi siłami chodnika do literatury polskiej stwierdzić musimy, że Śląsk jest terenem bardzo bogatym i różnorodnym tak pod względem krajobrazu, bogactw ziemnych, życia regionalnego i różnorodności charakterystycznych typów ludzkich. Śląsk jest bogatym w splot zagadnień politycznych, religijnych i społecznych. Przeto każdy tak swój jak i obcy, czerpać może pełnymi garściami materiał do myślowej przeróbki i literackiego czy naukowego opracowania. Tylko talentów potrzeba! Jeden, trzy, dwa nie wydolą. Obecnie mamy tylko rodzimego Morcinka o ustalonej już sławie w dziedzinie powieści regionalnej, i Kubisza, regionalnego artystę poetę. I raczej jakość, nie ilość powinna być miarodajnikiem. W tej jakości „przyszłych rzeczy" winno znaleźć się spełnienie słów St. Papego: „Teraz czekamy na hymny powitalne zmartwychwstałych prawd, na radosną pochwałę urody tych ziem, na żywoty sławnych śląskich mężów, którzy dopomogli przetrwać i zwyciężyć. W tych słowach będą i opisy krzyżowych dróg wygnańców i pielgrzymów ze wschodu, czy zachodu, bez pominięcia aspołecznego elementu szabrowniczego, będzie i współżycie z obcymi Niemcami i życie Polaków na Śląsku Cieszyńskim.

Od kiedy są na świecie cyganie

Kiedyś hań bardzo dawno cyganów na świecie nie było. Skąd się wzięli i od kiedy po świecie wędrują — o tym nam opowiada stara opowieść ludowa:

Chodził Pan Jezus po Ziemi Świętej, ludzi koło siebie zgromadzał i nauczał ich o tym, jak mają żyć, ażeby Pan Bóg był zawsze z nich zadowolony. Garnęli się ludzie do Niego, na twarz przed Nim upadali, a on wszystkim błogosławił, słabych krzepił na duchu, małowiernych w wierze utwierdzał, grzeszników napominał i do pokuty wzywał, a chorych i ułomnych leczył i uzdrawiał. Lud szedł za Nim i wysławiał Go pod niebiosy. Kochał Go i ubóstwiał.

Ale znaleźli się jednak i tacy wśród Żydów, którzy Jezusa znienawidzieli. Faryzeusze chodzili za Nim krok w krok, ludzi i urzędy podburzali przeciwko Niemu, o różne przestępstwa Go oskarżali i tak długo przeciw Panu Jezusowi bruździli, aż spowodowali Jego pojmanie. Chociaż był niewinnym, chociaż nikomu zła żadnego ani krzywdy nie wyrządził, to jednak wlekli Go po różnych urzędach, aż w końcu zasądzili na śmierć przez ukrzyżowanie.

Święci Apostołowie i lud, który w Pana Jezusa uwierzył, bardzo się smucili, chcieliby w jakiś sposób zapobiec okrutnej śmierci, jaka ich Pana oczekiwała, niestety jednak na darmo, bo wojsko i wrogowie Jezusa byli w ogromnej przewadze.

Żydzi z ukrzyżowaniem nie zwlekali. Dali zrobić duży krzyż, nałożyli go skatowanemu Jezusowi na ramiona, rozdzielili między ludzi potrzebne narzędzia i drabiny, i ruszyli na Golgotę.

Gwoździe kazali nieść jakiemuś oberwańcowi, który również stał między ludźmi i przypatrywał się Jezusowi i zgrai. Cztery były te gwoździe.

Pan Jezus co chwila upadał pod ciężarem niesionego krzyża, ale żydzi, nie tylko że nie pozwolili Mu wypocząć, ale Go jeszcze bili, plwali po Nim i naśmiewali się z Niego.

Oberwańcowi żal się zrobiło Jezusa. Ciągle myślał o Nim i o winach, które Mu kapłani żydowscy i faryzeusze przysądzili, aż w końcu doszedł do przekonania, że ani odrobinki prawdy w nich nie ma, że ten Człowiek jest zupełnie niewinnym.

Postanowił Panu Jezusowi pomóc.

Długo rozmyślał i łamał sobie głowę nad tym, jak to zrobić, żeby Jezusa nie urzyżowano. Usądził, że kiedy nie będzie gwoździ, to nie będzie ani krzyżowania. Postanowił naumyślnie gwoździe pogubić. Wziął też zaraz jeden z nich i ostrożnie upuścił na drogę do prochu.

— Chwała Panu Bogu, udało mi się — powiedział sam do siebie oberwaniec i cieszył się w duchu, że Żydzi nie będą mieli czym ukrzyżować niewinnego Jezusa.

Po chwili następny gwóźdź upuścił na drogę, ale teraz się już oberwańcowi nie udało. Gwóźdź ten zauważył na ziemi jakiś brodaty żyd, który szedł za oberwańcem, więc go podniósł i podał z powrotem andrusowi, grożąc mu, że mu kości policzy, jeżeli go jeszcze raz zgubi.

Gwoździ pogubić nie szło, bo na pewno by je zaraz ten brodaty żyd lub ktoś z ludzi zauważył i podniósł.

Andrus postanowił więc zrobić coś innego. Ukryje jeden gwóźdź za pazuchą, a potem żydom powie, że go zgubił i zbyte. Jak będą mieli tylko dwa gwoździe, to muszą zrezygnować z ukrzyżowania i Jezus będzie uratowany.

Jak umyślił, tak zrobił.

Pochód ludzi zatrzymał się na szczycie Golgoty.

Żołnierze i żydzi zasadzili krzyż w ziemi, oparli oń drabiny i rzekli do oberwańca:

— Dej ty gwoździe, kierę niós!

— Oto sóm — odparł oberwaniec i podał żołnierzom dwa gwoździe.

— A kaj mosz ostatek?

— Jo... jo ich po chodniku stracił — odrzekł andrus.

Żydzi popatrzyli na siebie, jak gryby jeden drugiego chciał spytać, co teraz robić, kiedy Pan Jezus się obejrzał, zatrzymał swe smutne oczy na oberwańcu i powiedział:

— Nie cygóń, cygónie. Jedyn żeś naschwol stracił, aleś drugi schowoł za niadra. Zaroz go dowej, cygónie.

Andrus się rozpłakał, wydobył trzeci gwóźdź zza pazuchy i podał żydom. Potem już na nic nie patrzył, tylko spuścił głowę i powoli schodził z Golgoty, na której żydzi z żołnierzami krzyżowali Pana Jezusa trzema gwoździami.

Oberwaniec nigdzie nie mógł znaleźć spokoju. Wiecznie było mu żal niewinnie ukrzyżowanego Jezusa, wiecznie się smucił i kiedy tylko spojrzał na Golgotę, zaraz płakał. Aby nie musiał ciągle patrzyć na Golgotę, na której jego bracia tego niewinnego Galilejczyka w tak okrutny sposób umęczyli, opuścił wszystko i ruszył w świat. —

Od tego czasu są na świecie cyganie i od tego czasu wędrują oni z miejsca na miejsce, jak gdyby ciągle szukali kiedyś utraconego spokoju.. Józef Ondrusz

„S GRYFEM ZAKRYNCUNEGO GWINTA"

W berneńskich „Svobodných Novinach" w numerze 55 z dnia 21 marca b. r., jakiś nowy, nieznany dotąd „filolog" czeski Vojmír Šimonek, zamieścił wybitnie antypolski artykuł pod znamiennym tytułem „Pomozte si sami", w którym posługuje się (patrz tytuł!) pewnymi perełkami językowymi, wyłuskanymi bardzo skwapliwie z obrzydliwego żargonu (nazywa się to po czesku: hantyrka!) ostrawskiego. Ale czcigodny Vojmír bez jakiegokolwiek zająknięcia stara się bredzić, iż właśnie ten przykład zaczerpnięty jest z tak zwanej gwary cieszyńskiej. Dlatego też zdanie Vojmíra Šimonka należy gwarę cieszyńską zwalczać na każdym kroku i to wszelkimi środkami, aby ją zlikwidować, wykorzenić, uśmiercić. Autor wprawdzie pisze o gwarze cieszyńskiej, ale myśli na pewno o ludziach posługujących się w swej mowie gwarą cieszyńską. A wiadomo, że u nas czy to robotnik, czy to chłop, czy to inteligent, jakoś mimo licznych prób i zakusów nie wyrzekł się dotąd mowy swych ojców. Nie jest to żadną wstecznością, żadnym konserwatyzmem, jakby mniemali nieraz różni „niedowarzeni" krytycy, lecz w naszych warunkach śląskich, jest to wspaniałym nawiązaniem do tradycji, którą cechował dużo wcześniejszy postęp niż w Polsce względnie w Czechach.

Ale posłuchajmy bajarza Vojmíra: „jeśli filologowie uznawają narzecze hanackie (morawskie — przyp nasz), słowackie, chodskie czy nawet ostrawskie, to dlatego, że są to zdrowe odgałęzienia czeskiego języka." Inaczej wedle Šimonka przedstawia się „sprawa z gwarą cieszyńską", która nie może posiadać takiego przywileju" — gdyż — „słownik tej gwary przesycony jest germańskimi i polskimi formami". O tak zwanych „czechizmach" drogi p. Vojmír nic już nie wspomina, bo przecie „na Těšínsku všechno je ryzí české". Jeśli autor chce mówić o garmanizmach w gwarze cieszyńskiej, to owszem takie były i są — w szczególności uwidacznia się to w centrach przemysłowych. Ale ich eliminacja nie przedstawiałaby większej trudności. Natomiast jeśli Šimonek paple o jakimś przesyceniu gwary cieszyńskiej formami germańskimi — to chyba zdaje sobie sprawę z świadomego fałszerstwa podobnej tezy. Dlatego trzeba rozróżniać co to jest forma językowa a co to jest naleciałość — dlatego jeśli mowa o gwarze śląskiej, to możemy klasyfikować jedynie naleciałości obce: niemieckie i czeskie. Do roku 1919 Śląsk był germanizowany ... ale Polacy na Śląsku Cieszyńskim mieli w każdej prawie miejscowości polską szkołę — pod tym względem nie prześladowano ludności polskiej w sposób drastyczny. Po roku 1919 gwara cieszyńska w okręgach przemysłowych była zachwaszczana nowymi, obcymi naleciałościami językowymi. Myli się każdy ten, kto myśli, że gwarą cieszyńską posługuje się tylko ludność mieszkająca w okręgu cieszyńskim — tak ani i w pierwszej republice nie było. Spotykamy się z tą gwarą ludową i na obszarze Śląska Hluczyńskiego i Opawskiego. Nawet tak uprzedzony do Polaków poeta czeski Piotr Bezruč bardzo mocno zaatakował centralizm praski, kiedy pisał o nowych słynnych „panach z Czech", którzy pod Radhoszczą chcieliby zniszczyć jedwabne narzecze beskidzkie i o tym, jak to na przedpolu Morawy (hanackie narzecze?? — przyp. nasz) gniewa tamtejszych nauczycieli polski akcent, jakim posługują się tamtejsze dzieci w szkołach. Moglibyśmy zacytować tuzin czeskich językoznawców, którzy wyraźnie mówią o polskości gwary cieszyńskiej (to samo odnosi się do gwary laskiej — w wielkiej mierze także do gwary frydeckiej!). Różne szufladkowania, stwarzanie nowoczesnych legend w rodzaju takich jak dyrdymałki o Morawcach, Lachach, Wasserpolakach, Wałachach i t. p. — to tylko kręte ścieżki dla zacierania śladów. Z tego gustu przejął coś i Vojmír Šimonek, zamieniający „hantyrkę ostrawską" na gwarę cieszyńską. I hajże na Soplicowo! I żali się autor, że nawet przeniesienie czeskiego teatru na stałe do Cz. Cieszyna nie dało oczekiwanych rezultatów. I woła dalej „trzeba postępować konsekwentnie (krok za krokiem), bo aby doczekać się wyniku, nie wystarcza pomoc centralnych kół urzędowych, działaczy politycznych, nauczycieli, aktorów, artystów-malarzy, pisarzy, dziennikarzy, bibliotekarzy i wszystkich uświadomionych obywateli, którzy pracują na Cieszyńskim. Trzeba rozpocząć od pogłębienia akcji oczyszczania języka z obcych pierwiastków (prvků)." Tak się nazywa w języku Vojmíra Šimonka wołanie o gwałtowną czechizację na terenie Śląska Cieszyńskiego.

Do sprawy tej powrócimy w obszernym artykule w najbliższym numerze „Szyndziołów!"

Cier.

Z OPOWIADAŃ ŚLĄSKICH

CYGÓN W HAREŚCIE

Roz był jedyn cygón w hareście. Prziszeł ku nimu dozorca i prawi:

— Cygónie, idź tam do kancnaryje i pozbiyrej ze ziymie wszystki czyka!

— Dobre! — prawił cygón i szeł.

Na drugi dziyń zaś przriszeł dozorca i prawi:

— Cygónie, idź teraz do kuchynie i wyszkrobej tam kocieł od obiadu!

— Dobre! — i zaś cygón szeł.

Na trzeci dziyń zaś przriszeł dozorca do cygóna i prawi: — Cygónie, idź teraz do szopy i narómbej tam troche drzewa!

A cygón mu na to:

— To przeca nie pasuje, panie dozorca, żebych jo sóm wszyndzi chodził, niech sie też zgłosi gdo inszy! (*)

O WYSZCZEKANYM KOWOLU

Roz w niedziele mioł ksiądz na kozaniu o tym, jak Pónjezus nakormił pięć tysiyncy ludzi pięcióma chlebami i dwiyma rybami. Ale musioł prowie o czymsik inszym rozmyślać, bo sie mu to pomyliło i w kozaniu powiedzioł tak:

— Tak widzicie, moji mili parafijanie, Pónjezus zrobił wielki cudo: pięć tysiyncy chlebów było, a ón nakormił tym chlebym pięć ludzi.

Zaroz przi samej kazatelnicy siedzioł strasznie wyszczekany kowol. Tyn, jak zmiarkowoł pómyłke księdza, wychylił się z ławki i powiedzioł księdzu cicho:

— To jo bych też poradził!

I nic.

W prziszłym roku o tym samym czasie zaś mioł ksiądz to samo kozani. Ale teraz już piernicko sie dzierżoł za język, aby sie nie pómylić, bo wyszczekany kowol zaś był w kościele.

Kiedy powiedzioł: „tak widzicie, moji mili parafijanie, Pónjezus zrobił wielki cudo: pięć tysiyncy ludzi było, a ón ich nakormił pięcióma chlebami", odezwoł sie do kowola po cichu:

— A teraz poradziłbyś?

— To sie wiy, żebych poradził, dyć mi jeszcze zustało od przeszłego roku!

Tak wyszczekany kowol odpowiedzioł księdzu. (*)

Najpierw „Kamień w polu" a teraz „Chleb na dłoni"

Szereg literatów śląskich powróciło już z zagranicy do kraju — nie uczynił tak dotąd — z nieznanych nam bliżej przyczyn — jedynie Adolf Fierla, o którym docierają do nas różne, sprzeczne wiadomości. Jeszcze w zeszłym roku opowiadał nam jeden z przybyłych repatriantów, iż Adolf Fierla przebywał w Italii, skąd przesyłał swe dorywcze korespondencje do „Posła Ewangelickiego", który wychodził w Jerozolimie. Tam w Italii pracował autor „Kamienia w polu" jako polski nauczyciel. Tymczasem inny czytelnik „Szyndziołów", który w tych dniach powrócił z Anglii przesłał nam list z załączonym wycinkiem z polskiego tygodnika literackiego, wychodzącego w Londynie p. t. „Wiadomości", gdzie zamieszczona jest dłuższa opowieść Fierli p. t. „Chleb na dłoni", osnuta na tle przeżyć w niemieckim obozie koncentracyjnym. Opowieść ta jest dużą niespodzianką dla tych wszystkich, którzy z pewnym zainteresowaniem śledzili przedwojenną twórczość literacką Adolfa Fierli. I tutaj możemy tylko powiedzieć, że jeśli wszystkie nowe prozaiczne utwory Fierli będzie cechował ten sam umiar, pełna dojrzałość, sugestywny styl i zdyscyplinowanie pisarskie — można będzie mówić o „odrodzeniu" twórczości prozaicznej autora „Chleba na dłoni".

-dwż.

Wydawnictwo książkowe Oddziału Chłopskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich

Swego czasu omawialiśmy już szerzej żywą działalność na polu wydawniczym i literackim Oddziału Wiejskiego Zawodowego Związku Literatów Polskich. Jak się obecnie okazuje jest to prawie jedyny Oddział ZZLP, który z pełnym rozmachem prowadzi dalej swe wydawnictwo książkowe. W stosunkowo bardzo krótkim czasie wyszły już w tym wydawnictwie następujące książki: Paweł Kubisz: „Przednówek" wydanie drugie (na wyczerpaniu), Józef Andrzej Frasik: „Urodzony w źdźble" (na wyczerpaniu), dalej Stanisława Piętaka „Dom rodzinny" oraz Edwarda Marca „Wnuczek orze". W druku znajduje się nowy tom poezyj J. Bolesława Ożega, gwarowy poemat góralski znanego poety podhalańskiego St. Nędzy-Kubińca p. t. „Janosik" oraz reprezentacyjna i wspaniała praca zbiorowa pisarzy chłopskich p. t. „Almanach literatury chłopskiej". Wydawnictwa powyższe można zamawiać wprost pod następującym adresem: Dział Wydawniczy Oddziału Chłopskiego ZZLP Kraków-Rakowice, ul. Główna 64 lub też w Łodzi, ul. Andrzeja 12.

ik.

Tatrzański problem

Wykonał art. malarz Fr. Świder z Karwiny (fragment dekoracji na balu P. T. T. S. „Beskidu Śląskiego" w Karwinie.)

Szyndzioły
Dodatek »Głosu Ludu« poświęcony kulturze i sztuce.
NR 3
CZESKI CIESZYN
NIEDZIELA 4 MAJA
1947

PAWEŁ KUBISZ

O FRANCISZKU ŚWIDRZE

herbu pędzel i dłuto

W szkicu o Franciszku Świdrze, dobrze będzie nawiązać do pewnej niekompromisowej wypowiedzi, brzmiącej jako zarzut pod adresem tych wszystkich urabiaczy opini społecznej, którzy krzewiąc swe protekcyjne „widzi mi się" — wcale „nie rozumieją" t. zw. kultury śląsko-cieszyńskiej w jej szerokim zakresie. Jesteśmy ciągle jeszcze świadkami fałszywych wydźwięków i sądów, wygłaszanych z pełnym tupetem i beznadziejną ignorancją tak na odcinku literatury jak i malarstwa, związanego w swej inspiracji twórczej z ziemią cieszyńską.

Warszawski tygodnik „Bluszcz", zamieszczając przed laty (nr. 5 z dnia 2. 2. 1937) artykuł informacyjny o bujnym talencie malarza i rzeźbiarza Franciszka Świdra, m. i. podał do wiadomości:

„Jakoś dziwnie, rzec można po macoszemu, traktuje się u nas w Polsce tę dziedzinę regionalistów śląskich, pracujących po drugiej stronie Olzy na Śląsku Cieszyńskim. A przecież stwierdzić należy, że i w tej dziedzinie regionalna twórczość Śląska dojrzewa coraz bardziej, stając się zagadnieniem już nie regionalnym, ale ogólnopolskim."

Od chwili wypowiedzenia tego zarzutu minęło już przeszło dziesięć lat... a sprawy potoczyły się raczej krokiem wstecznym dawnej pogardy.

Ale nie chodzi nam już dzisiaj o to, co pisze poeta Przybość o wybitnym malarzu Eibiszu czy Pronaszce, jakimi sposobami posługuje się uczennica Przybosia, Janina Pregierówna w swych recenzjach o poecie Bąku czy poetach śląskich, niewiele nas interesuje jakich to „wag i miar" używa w polskiej krytyce literackiej pudłujący od czasu do czasu, znakomity krytyk Stefan Lichański, czy uznający jedynie krakowski rynek literacki i „korkowe wkładki do trzewików" Kazimierz Wyka... albo w dziedzinie malarstwa a także ludzkich pomyłek... sam dr. Dobrowolski.

Przeżywamy jeszcze dotąd ten okres, kiedy poważni krytycy w literaturze polskiej ma miarę zmarłego Karola Irzykowskiego, czy żyjącego K. Zawodzińskiego jakby dopiero przygotowywali się do skoku. Tę samą scenę widzimy na ekranie sztuk plastycznych: malarstwa, grafiki czy rzeźby. Stąd jeszcze wiele przedwczesnych „papierowych uświęceń" o geniuszach i sławie, czeka jakby na późniejszą aprobatę, czy też skreślenie z konta sukcesów.

Dlatego nie jest moim zamierzeniem, aby pisząc o malarzu śląskim, piać dytyramby sławy, wyszukiwać owe, finezje różnych izmów, czy też z marsową twarzą wszechwiedzącego, orzekać i narzucać prawdę o wielkim talencie.

Franciszek Świder jest talentem nieprzeciętnym, wybiegającym daleko poza przyjęte ogólne ramy i szablony. Trudno go zmieścić w jakiejś szufladzie z ustaloną etykietą — jest to talent w ciągłym, coraz ciekawszym rozwoju... Jeszcze jego młodzieńcza twórczość — w domniemaniu krytyka — przypominała Wyspiańskiego, ale nie Wyspiańskiego jako malarza, lecz jako poetę, psychologa, całe tamto tło społeczne pozamalarskie. Ten malarski rozmach wieszczenia, ta ćma ponurych konspiracyj w kopalni — to tak, jakby naoczne podpatrywanie przez śląskiego malarza dramatycznych napięć osobniczych dwóch innych wielkich malarzy: Wyspiańskiego i Grottgera. Nie wiem ... ale być może, że każdy nieprzeciętny talent, przegryzający w sobie napięcie całej męki swego społeczeństwa, mimo odrębności swej techniki i środków ekspresji — tak a nie inaczej musi malować, aby wewnętrzną mękę przelać pędzlem na płótno czy ołówkiem na papier. Być może, że u Franciszka Świdra odegrał rolę w jego młodzieńczej twórczości podobny układ stosunków społecznych, choć przeżytych na inny sposób — zaklinowanych w ziemię i w tragizm śląski. W tragizm, którego droga wydeptana została na wiele stron świata.

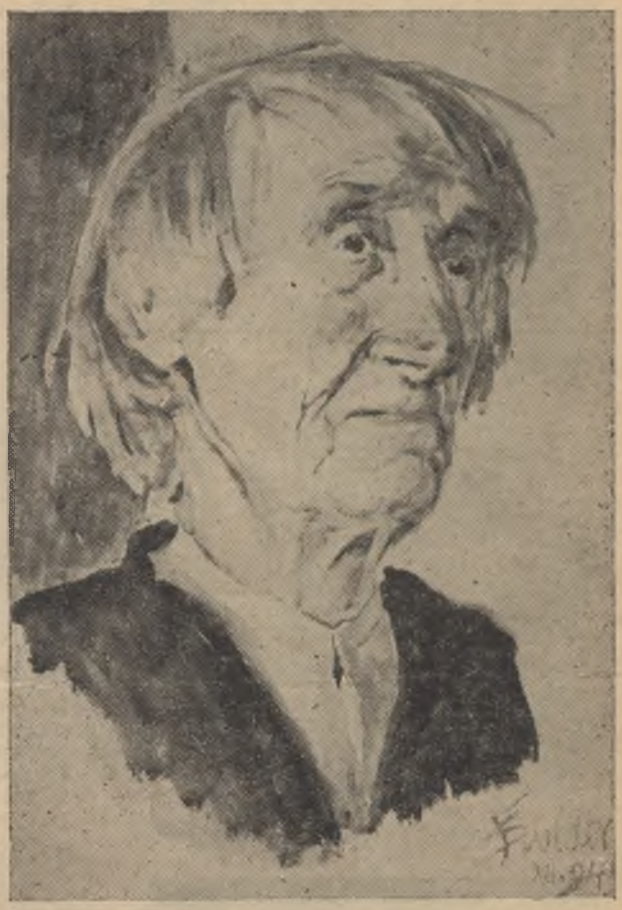

Fr. Świder, artysta malarz: Akwarela — „Portret górala z Koszarzysk" — góral starej generacji strzyżony według garnca.

Franciszek Świder urodził się dnia 27 stycznia 1911 roku w Karwinie. Najpierw ukończył szkołę Przemysłu Artystycznego w Krakowie, gdzie studiował malarstwo dekoracyjno-kościelne oraz kompozycję witraży. Z Krakowa przeniósł się następnie do Pragi, skąd po zakończeniu studiów powrócił w roku 1938 z dyplomami Akademii Sztuk Pięknych na Śląsk. Przed ostatnią wojną zdążył wziąć udział zaledwie w dwu wystawach retrospektywnych malarzy śląskich. Druga z tych wystaw, urządzona staraniem Śląskiego Związku Literacko-Artystycznego w Cz. Cieszynie, cieszyła się wielkim zainteresowaniem całego społeczeństwa śląskiego — zwiedziło ją wtedy kilka tysięcy ludzi. Wtedy Świder wystawił kilkadziesiąt swych prac na pokaz publiczny — m. i. swoje głośne płótna „Konspirację", „Narady Ondraszka", „Hałdy", wspaniałą rzeźbę w drzewie „Rebelianci", mnóstwo doskonałych akwarel („Szewc", „Łuskanie fasoli") cykl 12 miedziorytów, będących ilustracjami do książki „Przednówek", projekt trzech witraży oraz imponującą pracę, bo czternaście dużych rzeźb w drzewie t. zw. „Drogi krzyżowej", która zdobi do dziś dnia wnętrze kościółka „na Kościelcu" w Cierlicku.

Ten świetny dorobek młodego malarza, rzeźbiarza a zarazem grafika, wzbudził, mimo specyficznych warunków śląskich, dalekie echo — za rok od chwili drugiej wystawy, po wielkim zajeździe literatów polskich na Śląsk Cieszyński..; zaczęto się „rozbijać" za Świdrem, wszczęto za nim poszukiwania, proszono o zdjęcia jego dzieł dla poważnych stołecznych, tygodników literackich... lecz wtedy Franta (takim mianem częstują go koledzy po piórze i pędzlu) zalazł gdzieś w mysią dziurę i nawet nie pisnął niczego o sobie; później dopiero okazało się, że był w Łomnej... malował tam swe cudowne pejzaże i akwarele.

W gorących dniach września 1939 roku, Franta, tak jak wielu jego kolegów opuszcza Śląsk, lecz w tej włóczędze pełnej przygód wojennych, gnębi go troska

Fr. Świder przy pracy w latach studenckich.

o los jego starych rodziców w Karwinie — o ojca sędziwego górnika i matkę — staruszkę, którą tak często uwieczniał w swych akwarelach czy na płótnach. Mimo grożącego niebezpieczeństwa, Świder postanawia wrócić do Karwiny... i wraca, ale pozostaje zawsze takim jakim go dawniej znano: Polakiem za każdą cenę! Odmawia podpisania Volkslisty, zacina się w sobie — szykanowany jako „Polnische Viehkraft" otrzymuje „przekaz" do najcięższej pracy. Wtedy z artysty śląskiego, staje się ciężko pracujący robotnik magazynowy w firmie Faber w Orłowej. Swój pędzel musi zamienić na stukilogramowe worki przenoszone na grzbiecie od świtu do nocy, każdy dzień, kilka lat. Płacono mu za to wspaniale ... 100 marek niemieckich miesięcznie ... a z tego było trzeba utrzymać i starych rodziców. I ten robotnik firmy Faber... mieszka wspaniale ze swymi

Fr. Świder, artysta malarz: Olej — „Szałas w Łomnej" — przy którym staczali walki partyzanci z niemcami.

rodzicami w jakimś starym górniczym baraku w Karwinie; było to lokum jak dla malarza obszerne: jedna mała kuchenka i jedna mała izdebka z jednym oknem... a w niej pułap grożący lada chwila zawaleniem. I to tak, jakby na dobitkę, jeszcze jedna ze ścian w tej izdebce malarza, przepołowiona była potężną szramą w popękanym murze,... prawie żadnego trudu nie wymagałby taki zabieg, by ręką włożyć w brózdę pękniętego muru, aby z pokoiku można było na przylegającej drodze wyzbierać tuż leżące kamienie.

Tak było w czasie okupacji... co jednak powiedzieć na to, że jeszcze długo po wojnie — w tych samych apartamentach zamieszkiwał rzeźbiarz Franciszek Świder, nie było dla niego innego pomieszczenia. Ale i w tym pokoiku powstał w czasie okupacji, w tę czy inną wolną niedzielę, ten czy inny obraz... choć i światła niewiele w takiej pracowni i ciągle ponawiało się uprzykrzone zapalenie oczu twórcy.

Silny organizmy artysty, jak i jego zadziwiająca siła witalna, przezwyciężała jednak wszystko. Niedługo po wojnie, znowu w okropnych warunkach mieszkaniowych, zastajemy go znowu przy pracy... znowu powstają nowe płótna a zarazem Franta „wyrzeźbia" dla kościoła parafialnego w Olbrachcicach duży ołtarz dochodzący do 8 metrów wysokości. I jakaś tam nowa grafika powstała — nowe „Strącenie aniołów".

Cóż tu więcej powiedzieć o Franciszku Świdrze, górniczym synu czarnej Karwiny? Jak scharakteryzować jego twórczość, tak typowo śląską, tak dziwnie ludową a zarazem o tak wysokiej klasie artyzmu? Jak streszczać fachowo tę wielką sferę jego zainteresowań artystycznych i uskutecznień technicznych jego dzieła i jego sztuki? Linia... forma... kolor, skoordynowanie rytmiczne i zrównoważona całość... tak jakoś określają te sprawy malarze.

Z płócien, rzeźb czy rysunków Świdra przemawia do widza jeszcze inna sugestywność: dopasowana ekspresja. Aby ją podkreślić, czy przyznać prawo pierwszeństwa, Świder często maluje czy też rysuje karykatury. Namnożyło się tych karykatur u niego już kilka zeszytów. Duży nacisk kładzie on także — jak sam się wyraża — na kompozycję i rytm — stąd chyba wywodzi się jego zachwyt nad egipską, grecką czy średniowieczną sztuką kompozycji. Klasycyzm? Ba nawet i tak nie można powiedzieć, gdyż ten artysta śląski nie odrzuca nowoczesnych wysiłków malarskich, choć często nazywa wysiłki te domieszką spekulacji i perwersji artystycznej. Wysoko jednak autor „Drogi Krzyżowej" ceni osiągnięte zdobycze francuskiego malacza Cézanne i francuskich impresjonistów. Ale jak sam powiada, dobry artysta nikogo nie naśladuje, nie może być niczyim dziedzicem, musi być zawsze sobą, bo żyje w odmiennych warunkach i w innym klimacie. Ta swoista odrębność powinna być generalną cechą twórczości.

— „A ja nigdy nie będą chorował na modę, bo moda jest zbyt płochliwa i koniunkturalna i niestety z rzadką wygrą loteryjną. Jeśli jakakolwiek sztuka przestaje być procesem twórczym a staje się tylko procesem doświadczalnym, to rzecz oczywista, że taka sztuka musi wołać o swe „miejsce na ziemi"... zaś z tym kto tak woła i krzyczy, to tak jak w powiedzeniu o tej krowie, która dużo ryczy a mało mleka daje".

Fr. Świder, artysta malarz: „Projekt witrażu" — wykonany w latach studenckich w Krakowie.

Zwiedzamy muzeum miasta Cieszyna

MURY, KTÓRE KRYJĄ PRZESZŁOŚĆ ZIEMI CIESZYŃSKIEJ

Muzeum cieszyńskie jest jednym z najlepiej zachowanych instytucyj tego typu na Śląsku. Komu, czy też jakiej okoliczności zawdzięczać należy ten fakt? Otóż Niemcy po zajęciu miasta uważali, że zbiory muzeum cieszyńskiego stanowią obraz „niemieckości" tych ziem — tak im to bowiem tłumaczono. Nie wnikając przeto głębiej w ślady, które by zaprowadziły ich do wysnucia zgoła innych wniosków, w lwiej części oszczędzili zabytki muzeum cieszyńskiego, ba nawet pokusili o rozszerzenie go, lokując w nowootwartej części bibliotekę, utworzoną z książek przeważnie pochodzących z byłych polskich księgozbiorów z Górnego Śląska.

Muzeum cieszyńskie zajmowało w okresie przedwojennym drugie miejsce w rzędzie muzeów śląskich. Siedzibą jego była i jest po dziś dzień, stara zabytkowa kamienica, stanowiąca dawniej własność szlachty śląskiej — Laryszów. Właściwe zbiory muzealne, związane ściśle z miastem są dziełem zbieracza kapitana Weissmanna, który w pierwszych latach bieżącego stulecia ofiarował je miastu, dając tym samym początek muzeum miejskiemu. Były to różnego typu zabytki historyczne, obrazujące dawność nadolziańskiego grodu. A więc przede wszystkim różnego typu dzieła przemysłu rękodzielniczego, zabytki sztuki, dewocjonalia itp. Z czasem gromadzenie tych obiektów objęło cały obszar Śląska Cieszyńskiego.

W roku 1932 nastąpiło uroczyste otwarcie muzeum cieszyńskiego, w którym uczestniczyli najwybitniejsi przedstawiciele nauki i kultury z terenu całej Polski. Z małego zbioru pamiątek kapitana Weissmanna rozrosło się ono wzbogacone o cenne zbiory Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego, oraz niemniej cenne zbiory ks. Szersznika, gromadzone przezeń zarówno w kraju, jak i za granicą. Na zbiory Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego złożyły się obiekty gromadzone przez ks. Ignacego Świeżego przy pomocy nieocenionego w tej pracy kościelnego, Teodora Bulika. Zbiory P. T. L. wzbogacił i uzupełnił drukami śląskimi oraz cennym archiwum z okresu rządów Rady Narodowej dla Księstwa Cieszyńskiego z roku 1918/19 — Ks. Józef Londzin. Ta część zabytków obejmuje w dzisiejszym muzeum cieszyńskim obrazy z kościołów śląskich, zdobnictwo, stroje ludowe, instrumenty wszelakiego rodzaju, zabawki, wyszywanki, kancjonały i cały szereg innych obiektów, związanych z ziemią i ludem cieszyńskim. Tę część zabytków wzbogaca dziś niepełna jeszcze galeria obrazów śląskich malarzy, której powiększenie leży w dobrych intencjach obecnego kustosza muzeum, dyr. Brożka.

Trzeci zasadniczy człon cieszyńskiego muzeum tworzą zbiory ks. Szersznika, najstarsze i najbardziej zróżnicowane pod względem tematyki. O ile w zbiorach weissmanowskich czy Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego żyje tradycja, obyczaj ziemi cieszyńskiej, o ile z tych obiektów przemawia duch siły odrodzeńczej tego „najpiękniejszego kraiku świata", jak nazywał Śląsk Cieszyński niedawno zmarły, szczery jego wielbiciel Paweł Hulka-Laskowski, o tyle zbiory ks. Szersznika, gromadzone zarówno w kraju jak i za granicą stanowią archiwum, skarbiec, historyczny relikwiarz drogocennych inkunabułów i rękopisów oraz bardzo oryginalny zbiór wykopalisk, minerałów, rzeźb, miniatur, ptaków i innych drobiazgów.

Bogactwo i różnorodność zbiorów cieszyńskich poszerza fakt, że znalazł tu również azyl cały szereg starych bibliotek, z których Biblioteka Czytelni Ludowej, tworzywo myśli pierwszych budzicieli z okresu „Wiosny Ludów": Pawła Stalmacha i Andrzeja Cieńciały, przypomina ów czas, któremu towarzyszyły pierwsze polskie książki, przyniesione przez nich na plecach z Krakowa do Cieszyna. Podróż tę odbyli, jak sami piszą w swych pamiętnikach, pieszo. Poza tym w muzeum mieści się jeszcze biblioteka Kraszewskiego oraz szereg już pomniejszych zbiorów książkowych, które w stanie mocno już przez okupanta nadwyrężonym znalazły tu zasłużony odpoczynek i bezpieczne schronienie. Segregację tych wszystkich księgozbiorów, które częściowo ukryte zostały przez lu-

(Ciąg dalszy na str. 12)

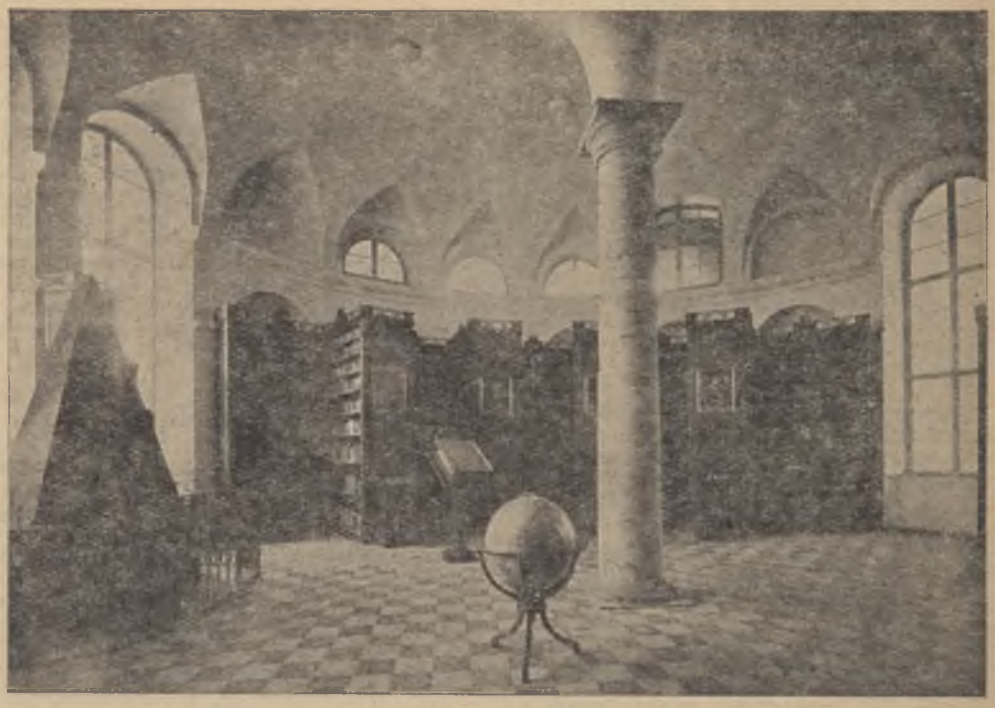

Zabytkowa sala biblioteczna w Muzeum miejskim w Cieszynie.

KORESPONDENCJA

Poniżej zamieszczamy list G. Morcinka przesłany naszej Redakcji. Kierując się pełną bezstronnością i prawdą, dodajemy, że niektóre „listy" zamieszczone w książce p. t. „Listy z mojego Rrzymu" były już dawniej drukowane *w Polsce* na łamach katolickiego „Tygodnika Powszechnego" o czym autor w swej korespondencji nie wspomina.

„W artykule p. Jana Brody p. t. „Śląsk w literaturze polskiej" zamieszczonym w nr. 2 „Szyndziołów" jest mowa o moich pracach literackich. W artykule tym, będącym raczej pracą komplikacyjną aniżeli oryginalną, p. Jan Broda omawia również jedną z ostatnich moich książek, „Listy z mojego Rzymu", napisaną i wydaną w Rzymie. Pisze on, że „pokazały się w papieskiej stolicy pseudoświątobliwe „Listy z mojego Rzymu", za które część społeczeństwa odczuwa do niego żal za jego stanowisko religijne". Zachodzi tutaj poważnie nieporozumienie, gdyż p. Jan Broda wydaje o tej książce sąd nieuzasadniony i bezpodstawny, kierowany raczej swym uczuciowym stosunkiem do „papieskiej stolicy" i do zagadnień religijnych. Poza tym wątpię, czy p. Jan Broda czytał ową książkę, gdyż — jak wspomniałem, została wydana w Rzymie i w Polsce znajdują się tylko cztery egzemplarze, które rozdałem swym najbliższym. Wnioskuję więc, że sąd jego o wspomnianej książce oparty jest nie na jej przeczytaniu, lecz raczej na zasłyszeniu z opowiadań moich, czy moich najbliższych o jej treści. Tym bardziej nie zna jej owa „część społeczeństwa", o której pisze p. Broda.

Ubocznie zaznaczam, że „Listy z mojego Rzymu" — jak sama nazwa wskazuje, zostały napisane i wydane nie „w papieskiej stolicy", lecz w Rzymie, i to raczej w tym Rzymie antycznym i renesansowym, w którym plątą się dużo cezarów i wielkich ludzi z czasów Odrodzenia, oraz że nie jest książką „pseudoświątobliwą" — jak pisze z przekąsem p. Jan Broda, lecz treścią jej jest ów Rzym widziany przez pryzmat obozu koncentracyjnego, i człowiek, szukający ostatecznego zrozumienia sensu życia, zła i dobra. Istotną krytykę zostawiam czytelnikom i krytykom po ukazaniu się „Listów z mojego Rzymu" w Polsce, a co nastąpi najpóźniej do połowy maja bieżącego roku.

Pragnę jeszcze dodać, że książka ta nie posiada ani katolickiego ani protestanckiego wydźwięku, lecz jest raczej w swym charakterze książką o treści chrześcijańskiej, omawiając zagadnienie interesujące każdego chrześcijanina bez względu na jego rodzaj wyznania czy nawet przekonanie polityczne, i liczę się z tym, że wywoła niezadowolenie w pewnych ortodoksyjnych czy fanatyzmem opanowanych sferach społeczeństwa. Lecz na to już nic nie poradzę."

Gustaw Morcinek.

CIEKAWOSTKI LITERACKIE

W Londynie wyszła w tych dniach nowa antologia poezji czeskiej. Jest to już trzecia tego rodzaju książka wydana w języku angielskim w przeciągu ostatnich dwóch lat. Pierwsza antologia poezji czeskiej ukazała się w londyńskim wydawnictwie Ullen-Uwin, następna wyszła w New Yorku, dzięki tamtejszym znajomościom i staraniom literata narodowości niemieckiej, obywatela czeskosłowackiego Weiskopfa, który jeszcze przed wojną przekładał wiersze Bezrucza i Łysohorskiego na język angielski, czy też niemiecki. I w ostatnio wydanej w Londynie już trzeciej antologii poezji czeskiej, poczesne miejsce zajmuje „problem śląski" — twórczość Bezrucza i Łysohorskiego. Zapoznawanie zagranicy z tematyką społeczno-polityczną poezji czeskiej jest prowadzone konsekwentnie i umiejętnie, to samo zresztą, choć w mniejszej mierze robiła emigracja czeska przebywająca w czasie ostatniej wojny w Anglii, przywiązując do tych spraw dużą wagę — w przeciwieństwie do emigracji polskiej, która w sprawach śląskich wykazywała zainteresowanie tak nikłe i tak niezdarne, że wynik tegoż streścić można w paru lakonicznych słowach. f. bk-

*

Socjalistyczna spółdzielnia wydawnicza w Warszawie „Wiedza", zaczęła wydawać pod redakcją Jarosława Iwaszkiewicza swój nowy tygodnik p. t. „Nowiny Literackie". Tygodnik ten do złudzenia przypomina przedwojenne „Wiadomości Literackie" — najlepsze pismo literackie jakie kiedykolwiek wychodziło w Polsce. Pismo to współwydawał i redagował Mieczysław Grydzewski. Nowe wznowienie „W. L." pod firmą „Nowin Literackich" ma już swój rzadki posmak sensacyjności, jeśli zważymy, że w prasie polskiej, wychodzącej w Stanach Zjednoczonych", pojawiły się notatki zapowiadające wniesienie skargi sądowej o plagiat autorski pisma przeciwko „Nowinom Literackim" przez redaktora dawnych „Wiadomości Literackich" i współwydawcy tegoż pisma — redaktora Mieczysława Grydzewskiego. Trzeba także zwrócić uwagę na to, że sam Mieczysław Grydzewski i dzisiaj cieszy się w Polsce publicznym uznaniem jako najwybitniejszy redaktor polskiej prasy literackiej. Grydzewski pozostaje jednak nadal na emigracji, gdzie odegrał wybitną rolę jako redaktor półoficjalnego organu polskiego, wychodzącego w czasie wojny w Londynie p. t. „Wiadomości Polskie". (Jeden z numerów specjalnych „Wiadomości Polskich" poświęcony był w całości Czechosłowacji!). W związku z sprawą katyńską, rząd angielski zakazał dalszego wydawania „Wiadomości Polskich". Po pewnym jednak czasie t. zw. „Związek pisarzy polskich na Obczyźnie" w czele z Zygmuntem Nowakowskim, otrzymał ponownie zezwolenie na wydawanie nowego tygodnika literackiego w Londynie, tym razem p. t. „Wiadomości", które wychodzą pod redakcją Mieczysława Grydzewskiego. Polska prasa literacka często zamieszcza na swych łamach przedruki z owych „Wiadomości". Tak np. „Odrodzenie" w numerze gwiazdkowym poszczyciło się wspaniałą nowelą o Januszu Korczaku pióra St. Kuszelewskiej p. t. „Pociąg". Był to jednak przedruk z „Wiadomości" — o którym redaktor Kuryluk zapomniał dodać, że jest przedrukiem. Ale i inaczej sprawa jest dość żywa, skoro dodamy, że „Nowiny Literackie" mimo szaty „wiadomościowej" w swych pierwszych numerach nie dorównują jeszcze temu wymaganemu poziomowi literackiemu, jaki cechował przedwojenne pismo literackie, robione z owym talentem-nerwem przez Grydzewskiego. Przykładem dotychczasowej trywialności „Nowin Literackich" są także pewne niedomagania informacyjne na znane tematy literackie. Łódzki satyryk Janusz Minkiewicz drukując swą odcinkową powieść satyryczną w „Nowinach Literackich" i wspominając o procesie Tadeusza Boya-Żeleńskiego z powodu wykreślenia mu z felietonu przez redaktora krakowskiego „Czasu" pewnego wyrazu, nonszalancko informuje swych czytelników, iż chodziło o wyraz „dziewka". My tutaj z „głuchej prowincji śląskiej" możemy zapewnić Minkiewicza, że w owym procesie nie chodziło o wyraz „dziewka"... lecz, że wyraz ten brzmiał zupełnie inaczej bo „pinda". A jeśli już tak dobrze informowany satyryk o tym nic nie wie, powinne coś o tym wiedzieć „Nowiny Literackie". f. bk.-

*

Jak podaje sowiecka prasa literacka, znana autorka „Tęczy" — Wanda Wasilewska, zakończyła pracę nad pierwszymi dwoma tomami swej trylogii pt. „Pieśń nad wodami". W swej trylogii autorka przedstawia losy polskiej emigracji w Związku Radzieckim i wynikające stąd perypetie polityczne. Główną bohaterką „Pieśni nad wodami" jest polska dziewczyna, która wstępuje jako żołnierz do organizującej się w Związku Radzieckim pierwszej armii polskiej, aby po licznych wojennych przygodach, powrócić wraz ze swą armią do Polski. W tym samym dziele Wanda Wasilewska poświęca także wiele miejsca tragedii tych Polaków, którzy znaleźli się w armii generała Andersa.

Wanda Wasilewska przebywa stale w Rosji sowieckiej, dokąd przedostała się przed wybuchem wojny w roku 1939. W roku 1942 znany dziennik moskiewski „Prawda" zaczął drukować jej powieść „Tęcza". Powieść ta została nagrodzona przez samego generalissimusa Stalina kwotą jednego miliona rubli. Prócz żywej działalności w „Związku Patriotów Polskich" w Moskwie, autorka „Pieśni nad wodami" była inicjatorką wydawania w Związku Radzieckim pisma literacko-politycznego, które zaczęło wychodzić pod nazwą „Widnokręgi". W Związku Radzieckim Wanda Wasilewska wyszła także za mąż za znanego polityka sowieckiego a zarazem literata Kornejczuka. Or.-

*

Nie tak dawno obchodzono w Czechosłowacji jedną z dalszych rocznic śmierci F. X. Szaldy, znanego i wybitnego literackiego krytyka czeskiego. Szalda m. i. jest autorem książki zatytułowanej „Medaliony". Po wizycie pisarzy polskich w Czechosłowacji — brała w niej udział także i Zofia Nałkowska, tak ostatnio atakowana w prasie polskiej za swój „nieszczególny styl" — pojawiła się na półkach księgarskich w Polsce nowa książka Nałkowskiej p. t. „Medaliony". Mamy więc w Czechosłowacji książkę krytyka czeskiego pod tym tytułem, zaś w Polsce książkę wybitnej pisarki polskiej. Ten symboliczny tytuł jakim są „Medaliony" będzie nam więcej zrozumiały wtedy, kiedy dodamy, że Zofia Nałkowska — jak się sama przyznaje na łamach „Odrodzenia" — spokrewniona jest z czeską rodziną Szafranków. Czy jednakże taki klucz rozszyfrowujący zagadkę posłużenia się przez Z. Nałkowską tytułem „Medaliony" jest miarodajny.... trudno, poza domysłem — operować nim jako pewnikiem. Bo kiedy już mowa o kluczu, dobrze będzie wspomnieć także o powieści „Klucze", która w czasie wojny została napisana przez wybitną powieściopisarkę polską Marię Kuncewiczową. Książka ta, która została przełożona na szereg języków, cieszy się wielkim wzięciem w licznych państwach europejskich. Tymczasem nie tak dawno znany pisarz śląski Gustaw Morcinek, znający na pewno „Klucze" Kuncewiczowej, zapowiedział na łamach wspomnianego już „Odrodzenia"... że właśnie w czasie obecnym pracuje nad powieścią z życia emigracji polskiej p. t. „Odnalezione klucze". Trzeba jeszcze, żeby znalazł się trzeci autor i napisał powieść p. t. „Zgubione klucze". Przynajmniej można byłoby napisać jakiś satyryczny felietonik o „kluczach w współczesnej literackiej twórczości polskiej... czy też o wspólnych medalionach. duż.

*

Najnowszy numer praskiego miesięcznika literackiego p. t. „Kytice" (Wiązanka)" zapełniony jest pracami polskich pisarzy. Odnajdujemy tutaj artykuł Jana Wiktora, wiersze Słonimskiego, Tuwima, Broniewskiego, pracę K. Brandysa, J. Putramenta czy też przypomnienie twórczości literackiej, zmarłego w czasie wojny — Emila Zegadłowicza. Podkreślając tę piękną inicjatywę na polu wzajemnego poznania się dwóch bratnich a zarazem słowiańskich narodów, która znalazła swój widoczny i cenny odzew na łamach ostatniego numeru „Kytic", nie możemy jednak nazwać numeru tego krótkim przeglądem współczesnej polskiej twórczości literackiej, gdyż dobór autorów w tym numerze „Kytic" jest prawie jednostronny. Ir.

*

Ministerstwo Oświaty w Warszawie na podstawie orzeczenia wydanego w kwietniu b. r., zatwierdziło książką Pawła Kubisza „Przednówek" jako „poleconą do bibliotek nauczycielskich i dopuszczoną do bibliotek licealnych". Chodzi tutaj o drugie, powiększone wydanie „Przednówka" jakie ukazało się w nakładzie O. W. Związku Zawodowego Literatów Polskich.

Zwiedzamy muzeum miasta Cieszyna *(Ciąg dalszy ze str. 11)*

dzi dobrej woli, a dziś wyszły z podziemia na jaw, przeprowadza osobiście kustosz muzeum. Jest to trud niemały, biorąc pod uwagę fakt, że niektóre książki, skazane przez Niemców na zagładę, doczekały się wprawdzie dni wolności, lecz już często w mocno rozczłonkowanym stanie. Mówiąc o muzeum cieszyńskim, trudno nie wspomnieć, że część zbiorów, a przede wszystkim nieocenionej wprost wartości bibioteka ks. Szersznika w $^{2}/_{3}$-części została wywieziona przez Niemców. Mimo starań, po dziś dzień nie powróciły one jeszcze do swej macierzystej siedziby.

Muzeum cieszyńskie nie ogranicza się w swych wysiłkach wyłącznie do prac konserwatorskich i inwentaryzacyjnych, lecz zabiega również o pozyskanie nowych zabytków. Gromadzi też pieczołowicie materiały i wszelkiego typu obiekty muzealne, związane z chwilą bieżącą. A przede wszystkim stara się o zabezpieczenie tego, co stało się udziałem wysiłku i dobrej woli tych wszystkich, którzy przyczynili się swą mrówczą a upartą pracą do powstania tej kulturalnej placówki Cieszyna.

Kończymy wędrówkę po lśniących salach cieszyńskiego muzeum. A wędrowanie to połączone było z dziwnym uczuciem. Przeszłość tej ziemi, wiernej ziemi cieszyńskiej zamknęła się w tych muzealnych ścianach. Nie zastygła w bezpamięci, nie zamarła na zawsze. Ożywia ją nasze czucie, nasze przenikanie myślami w te zamierzchłe czasy, kiedy to po świecie chodzili inni ludzie, panowały inne zwyczaje i obyczaje. A jednak... uświadamiamy sobie, że istność tamtych czasów, stanowi cząstkę naszej istności, cząstkę nas samych. MOST.

Szyndzioły
Dodatek »Głosu Ludu« poświęcony kulturze i sztuce.
NR 4
CZESKI CIESZYN
NIEDZIELA 15 CZERWCA
1947

Szkoła polska w Gutach

a) Ogólne uwagi.

O pierwszych szkołach na Śląsku zachowało się stosunkowo mało zapisków. Pierwsza wzmianka o szkole cieszyńskiej przychodzi w r. 1331. W reszcie Śląska rozwijało się szkolnictwo również szybko, zwłaszcza tam, gdzie kościoły parafialne. W r. 1688 są na Śląsku 33 szkoły z 39 nauczycielami. Frekwencja uczęszczania była jednak dorywcza, bo nie było obowiązku szkolnego. Dopiero z chwilą wejścia w życie tzw. reformy terezjańskiej (1778) i utworzenia w Cieszynie szkoły głównej dla kształcenia przyszłych nauczycieli (1777) nastała w rozwoju szkolnictwa na Śląsku nowa era. W przeciągu 50 lat każda wieś zgoła postarała się o swą szkołę i nauczyciela. W ich szeregu znajdują się i Guty obok Śmiłowic i Rzeki. Według zachowanej tradycji ustnej uczono pierwotnie po domach i w zimowej zazwyczaj porze. Nie było jeszcze nauczycieli specjalnie do zawodu przygotowanych. Uczyli ludzie światlejsi i zdolniejsi, umiejący czytać, pisać i rachować.

b) Szkoła nr. 85.

W r. 1791 mieszkańcy Śmiłowic postanowili wybudować sobie szkołę. Z braku potrzebnej na ten cel gotówki wystosowali list do arcyks. Albrechta, zwierzchnika Komory z prośbą o użyczenie drzewa na budowę. To samo uczynili Gucanie z wójtem Jadamcem i przysiężnymi: Żurkiem, Siwym i Kubiczkiem. Odpowiedź nadeszła przychylna. Przyznano Gutom pobór potrzebnego drzewa budowlanego. Postawiono szkołę drewnianą o kamiennym podmurowaniu nad potoczkiem Powieśnikiem, stojącą po dziś dzień („Żydownia"). Od strony północnej pod przydaszkiem znajdowała się deska z napisem czerwonym i datą, ale zabrano ją gdzieś do muzeum czeskiego.

Pierwszym nauczycielem był Paweł Szarzec z Wisły, który już w roku następnym odchodzi do Wisły i tam jest nauczycielem przeszło 50 lat (uczy ks. Kupferschmida języka polskiego). Następcy jego zmieniają się co kilka lat. Powodem tego było położenie materialne i choroby.

Szkoła w Gutach była wyznaniową, ewangelicką. Nauczyciele jej byli gorzej płaceni niż nauczyciele szkół katolickich, a gmina była za uboga, aby dać nauczycielom dostateczne zabezpieczenie bytu. Uważano naukę poniekąd za luksus i lenistwo. Nauczyciele skazani byli na wieczyste biedowanie, bo płaca 100 fl. rocznie zbyt była niska i skromna na przeciętne wymogi. Ujmuje się za nauczycielstwem ks. Opolski, jener. referent szkolnictwa, pisząc w sprawozdaniu z r. 1816:

„Nauczyciele pracują, usiłują wypełnić swe obowiązki, a przytem cierpią głód i nagość i nawet przeciwko zimnu nie są zabezpieczeni. Większość owych ludzi ma na utrzymanie 100—120 fl. Płaca dzienna nie wynosi nawet 20 kr. Czterech sążni drzewa potrzeba mu na ugotowanie sobie w porze letniej ziemniaków i kapusty, i na bardzo skromne opalenie mieszkania w zimie, bo w zimie może sobie ugotować trochę strawy w piecu szkolnym. 4 zaś sążnie drzewa kosztuje u nas bez dowozu 48 fl. Odzieży nie można poniżej 32 fl. obliczać, bo tylko buty, jak je noszą najprostsi chłopi, kosztują 12 fl. Pozostaje 40 fl., z których ma się nauczyciel wyżywić".

Nic dziwnego, że był brak nauczycieli, zwłaszcza ewangelickich, bo gminom brakowało funduszów na ich opłacanie, a Gucanie już z natury swej „mało okazywali zmysłu do szkoły". Nauczyciele tutejsi zdani są na własny los i na ludzkie współczucie jak . . . żebracy. Niejeden też taką bezdomną śmiercią umiera. Metryka trzycieska wymienia Jana Hotykę, który umarł z wycieńczenia w r. 1824, Jerzego Twardego, który umiera w r. 1827 na zapalenie mózgu. „Gdyby nauczyciele — pisze ks. Wantuła —, nie byli posiadali innych źródeł dochodów, byliby rzecz prosta skazani na śmierć głodową. Szczęściem, nauczyciel bywał śpiewakiem pogrzebowym czyli „czytokiem", pełnił urząd organisty i jako taki otrzymywał od zboru mieszkanie, a prócz tego od zborowników, których dzieci uczył, ściśle określony deputat. Gospodarze musieli mu składać pewną ilość bochenków chleba, zboża, ziemniaków. Niekiedy też otrzymywali nauczyciele od gospodarzy parę zagonów, które mogli sobie uprawiać. Na Nowy Rok chodził nauczyciel po kolędzie, a na Wielkanoc po „śmierguście". Przy tej sposobności zbierał do „pytliczka" masło, jajka i inne dary, jakie kochanemu „rechtorowi" składali dobrzy ludzie. Gdy czasem parę dni głodował, to czekał cierpliwie, aż wypadnie jaki „lepszy" pogrzeb, na którym ważniejszą bodaj rolę odgrywać lubił od samego księdza. Jeśli pogrzeb był w miejscu odleglejszym, to nauki w szkole mogło nie być lub była skrócona. Jako „czytok" przychodził na pogrzeb nierzadko przed południem, siadał wtedy z dziećmi, które z nim przyszły, za stołem i rozpoczynał obrzęd pogrzebowy. Najpierw „na sucho" zaśpiewał jedną pieśń z kancjonału Trzanowskiego. Dokonawszy tej najtrudniejszej części, spłukiwał gardło postawioną na stole w „plecionce" wódką — (dzieci towarzyszące mu otrzymywały także po kieliszku) — i pokrzepiał ciało chlebem, serem i masłem, czym go raczono . . ."

Część z powyższych dobrodziejstw nauczyciela — czytoka, zakosztował i nasz Paweł Reihs (1827—1851), którego Gucanie w oryginalny sposób wprowadzili do szkoły, wsadzając go tyłem przez okno do mieszkania, aby zabezpieczyć się przed jego ucieczką, ewentualnie nagłą śmiercią (jak poprzednicy). Jakoś to skutkowało. Nauczyciel pozostał, nauczył się po polsku (pochodził z Moraw), ożenił się z Chowaniokówną, chadzał po pogrzebach, na niejednym weselu bywał starostą, z księdzem chadzał po kolędzie i po „śmierguście" a od ludzi otrzymywał deputat w naturaliach. Przez wszystkich był kochany i szanowany. Umarł w Gutach w r. 1860.

Jak i czego uczono w szkole?

Do 12 roku życia obowiązane były dzieci uczęszczać do szkoły, potem następowało powtarzanie (w soboty lub niedziele) do 15. roku życia. Posługiwano się w nauce czeskim „ślabikorzem", który tłumaczono na język polski. Kiedy czytanie wyrazów już szło gładko, czytano Nowy Testament i Naukę Ewangelii — Pauliniego i Katechizm Kotschy'ego. Oprócz czytania i pisania uczono rachunków i śpiewu kościelnego.

Po r. 1848 zaczęto usuwać podręczniki czeskie, a zastępować je polskimi Jana Śliwki. Rozszerzył się też zakres przedmiotów szkolnych, odpowiadający zgoła obecnemu. W r. 1849 w programie nauki oprócz czytania, pisania, rachunków i religii mamy: fizykę, śpiew, rysunki, geografię.

W r. 1853 wprowadzony zostaje obowiązkowo język niemiecki od drugiego roku szkolnego.

c) Szkoła nr. 91.

W r. 1865 liczba dzieci szkolnych wynosiła przeszło 80. Było trzeba pomyśleć o budowie obszerniejszego pomieszczenia dla nich i dla nauczyciela. Wybudowano więc nowy gmach szkolny (obecna „stara szkoła") w r. 1866 z wieżą dla pomieszczenia dzwonu, który też od razu tam umieszczono. Aktu poświęcenia i otwarcia dokonał ks. dr Haase.

Dotychczasową szkołę zamieniono na gospodę gminną, pozostającą przez długi czas w rękach żydowskich. Od r. 1903 była dzierżawiona, póki jej gmina nie sprzedała w r. 1920. Obecnie jest Anna Myrdaczowa właścicielką tej historycznej pamiątki.

W r. 1869 wyszło rozporządzenie o tworzeniu szkół publicznych. Guty zatrzymały nadal swoją szkołę wyznaniową. Po nauczycielu Janie Klusie (1851—1870), człowieku światłym, trzeźwym i godnym swego stanowiska (był domowym nauczycielem insp. Karella) nastąpiła istna anarchia w gucańskiej szkole. Zmieniali się nauczyciele nieledwie co kilka miesięcy (trudno ustalić ich nazwiska i następstwo) i doprowadzili szkołę do zupełnej ruiny.

Dopiero kier. Jan Sikora (ur. 1854 w Godziszowie, † 1946 w Śmiłowicach) wydźwignął ją na należne wyżyny. Ten prawdziwy męczennik swego zawodu i weteran śląskich nauczycieli, mieszkający do śmierci w Śmiłowicach, był jej mężem opatrznościowym do r. 1915. Przybył do Gutów po krótkim swym pobycie w Skoczowie i 40 blisko lat orał niewdzięczny ugór młodych dziecięcych i starszych, dojrzalszych już serc.

Dopiął swego. Uszlachetnił całe jedno pokolenie, miał też swoje niedociągnięcia, a drugie przekazał w ręce swego następcy, zięcia Jana Szczuki. Rolnikom wskazywał drogi do ulepszenia swego zawodu, zakładając dla nich Kółko Rolnicze i instytucje użyteczności publicznej jak Tow. Krajcarowe, Kasa Reiffeisena i Straż Pożarna. Przez długie lata pełnił funkcję sekretarza gminnego. Był też głównym inicjatorem zbudowanej w r. 1898 drogi przez wieś. Za jego czasów przekształcona została szkoła wyznaniowa na publiczną (r. 1889).

d) Szkoła nr. 131.

W roku 1903 wybudowano kosztem 17.218 K. nową dwuklasową szkołę naprzeciw starej. Szkoła ta poza wydatkami materialnymi wiele kosztowała starań, opieki i ludzkiej cierpliwości. Pod złą planetą się zaczęły roboty. Cegłę zwieziono naprzód i przez całą zimę zostawiono ją na otwartym polu. Wiele jej rozkradziono. Podobnie znikało drzewo, deski, wapno. Kiedy budowę zaczęto, okazała się reszta zgoła niezdatna do użycia. Z braku funduszów na lepszą spotrzebowano ją jednakże. Robota z powodu niedopilnowania szła opieszale. Piece kaflowe z powodu złej budowy musiano już w r. 1910 zamienić na żelazne. I te już dosłużyły.

Wielkim nieprzyjacielem dla wielu gospodarstw i dla szkoły były zające. W latach 1907—1909 zniszczyły większość drzew świeżo założonego ogrodu. Reszty zniszczenia dokonały mrozy w okresie wojny. Kier. Sikora i naucz. Szczuka byli jednak zawsze dobrej myśli. Złe naprawiali samodzielnie albo starali się o pomoc u czynników miarodajnych. Znana szeroko była ich akcja niesienia pomocy dla żołnierzy w czasie wojny. Kier. Sikora wymyślił tani a praktyczny sposób robienia papuci ze słomy, które zabezpieczały żołnierzy przed odmrożeniem w służbie frontowej zimą. Kierownik z ubogiej wsi podgórskiej stał się instruktorem tej pracy we wsiach śląskich. Władze wojskowe ofiarowały mu wysoki order, którego jednak nie przyjął, bo nie był ze ... słomy.

Następca jego, zięć Jan Szczuka (ur. 1888 w Dzięgielowie) prowadził w dalszym ciągu pracę organizacyjną we wsi w Kółku Rolniczym. Straży Pożarnej i jako sekretarz gminny oraz skarbnik w Kasie. Zakłada również w r. 1923 Macierz Szkolną. Jest przy tym wytrawnym pedagogiem i metodykiem. Należy do Zarządu Tow. Naucz. Pol. w Czechosłowacji, zarazem przewodniczącym Koła cieszyńskiego. Jest głównym autorem książki do czytania p. t. „Naszej młodzieży" część II, na 4 i 5 rok nauki. Przez młodzież szkolną lubiany jest nade wszystko.

Na jego czasy przypada też założenie szkoły czeskiej w Gutach (1923), której skutecznie a oględnie umiał przeciwdziałać i równoważyć jej zapędy, przez co nazwano go nieprzejednanym wrogiem Czechów. Moralne oparcie miał jednak w miejscowym społeczeństwie, które go bardzo ceniło i szanowało. Niestety, zbytnie powodowanie się uczuciem i otwarta dłoń dla potrzebujących naraziły go na nieprzyjemne powikłania w Kasie, której był od 20 lat skarbnikiem. Zwolniono go też z urzędu kierownika w r. 1937.

Przyszedł po nim Jerzy Morcinek (ur. 1900 w Oldrzychowicach), który tu przeżył napięte chwile przygotowawcze do wojny, zakończone rozbiorem Czechosłowacji a objęciem Cieszyńskiego przez Polskę.

Od września 1939 szkoła była nieczynna. W porze zimowej odbywał się tam kurs języka niemieckiego.

20 lutego 1940 przybył do Gutów Kier. Paweł Łaboj z Bystrzycy i rozpoczęła się regularna nauka języka niemieckiego. Do pomocy przybyła w maju 1941 A. Czinpke, niem. nauczycielka z Wrocławia. Po wakacjach jej miejsce zajęła E. Peters z Hamburga, ale też na niedługo. Kier. Łabojowi mają Gucanie wiele do zawdzięczenia, bo wychowywał młodzież w duchu polskim za pieniądze — niemieckie.

e) Ochronka.

Z dniem 1/12. 1935 otwarto w dwóch lokalach starej szkoły Przedszkole Macierzy Szkolnej.

27/11. 1939 w jej miejsce otwarto szkółkę niemiecką (N. S. Volkswohlfahrt Kindergarten). Pierwszą mistrzynią była niesympatyczna Hilda Zamazal, odwołana w marcu n. r. Przez 2 tygodnie uczyła Eliza Szobert z Rzeki, od 22/4. uczyła dotychczasowa zastępczyni Helena Molinówna. Od 1 lutego po niej Fuksówna Amalia, końcem maja Steblówna.

Wznowienie „Teatru Ludowego"

W Warszawie rozpoczął prawie wychodzić miesięcznik p. t. „Teatr Ludowy", poświęcony sprawom pracy ochotniczych zespołów teatralnych i muzycznych. Wydawnictwo to przed wojną redagował znany działacz na polu kultury ludowej śp. Jędrzej Cierniak, zamordowany w czasie okupacji przez Niemców. „Teatr Ludowy" w przedwojennym życiu polskiej wsi i polskich ośrodków robotniczych spełniał zaszczytną rolę trybuny nowych wytycznych w dziedzinie kultury ludowej i był zarazem przewodnikiem dla wszystkich reżyserów, działaczy oświatowych czy też ochotniczych zespołów teatralnych.

Na marginesie wznowienia tak cennego wydawnictwa, jakim był, jest „Teatr Ludowy", trzeba dodać, że działalność ochotniczych zespołów widowiskowych, która ma tak piękną kartę u n a s na Śląsku — jest w dobie dzisiejszej prawie w stanie zupełnej negacji. Kiedy jeszcze w pierwszej republice, polskie zespoły ochotnicze mogły się pochlubić niejednym osiągnięciem (teatr kukiełkowy, wieczory literacko-wokalne itp!) — to w obecnej sytuacji dalszy rozwój — naszej oświaty i kultury ludowej jest jakby świadomie deprawowany przez przygodnych ludzi, którzy nie mieli prawie nigdy nic wspólnego z naszą kulturą! Zawodowe kwalifikacje różnych referentów, czy też takich lub siakich „konsorcjów" oświatowych .. decydujących i dyktujących... są prawie rozpaczliwe. Jeśli tę samą sprawę rozpatrzymy ze stanowiska ściśle narodowościowego, to ten odcinek naszego życia nazwać możemy jedynie potwornym skandalem!

Dlatego dobrze się dzieje, że od czasu do czasu ktoś przypomina i bezstronnie pisze o tym dużym wkładzie wniesionym przez Śląsk Cieszyński także i w tradycję pracy ochotniczych zespołów teatralnych. Oto autor artykułu „Rozpoczynamy 32 rok służby" tak pisze na łamach pierwszego numeru wznowionego „Teatru Ludowego":

„Pod koniec ubiegłego stulecia zaznaczył się w Polsce rozwój teatrów ochotniczych — początkowo w miastach, a następnie i na wsi. Najżywiej wystąpił on na naszych ziemiach południowych: w t. zw. Galicji i na Śląsku Cieszyńskim. Celem otoczenia licznie powstających teatrów robotniczych i chłopskich racjonalną opieką i pomocą, Związek Teatrów i Chórów Włościańskich we Lwowie zaczął w roku 1908 wydawać czasopismo miesięczne p. t. Poradnik Teatrów i Chórów Włościańskich", wychodzące bez przerwy do czasu pierwszej wojny światowej. Było to nie tylko w Polsce, ale i w Europie pierwsze czasopismo poświęcone sprawom teatru niezawodowego."

Przechodząc następnie „do historii" wydawnictwa pod nazwą „Teatr Ludowy" autor podaje, jak pismo to „stało się oficjalnym organem regionalnych Związków Teatrów i Chórów Ludowych w Polsce a poniekąd także or-

ganem zespołów teatralnych działających wśród ludności polskiej w Niemczech, Czechosłowacji, Belgii, Francii, Stanach Zjednoczonych A. P., Kanadzie a nawet w Mandżurii i indziej.

Obecnie „Teatr Ludowy" wznawia swą działalność, aby jak zaznacza — ,przyczynić się za pomocą naszego pisma do planowej odbudowy tak pięknie rozwijających się przed wojną teatrów ludowych, pod którym to pojęciem należy rozumieć wszystkie ochotnicze teatry środowiskowe, teatr robotniczy, teatr szkolny itp.".

Wspomniany artykuł kończy się następującym apelem: „Dlatego też jest tu niezbędna nie tylko ścisła współpraca szczupłego grona dotychczasowych działaczy na niwie teatru ochotniczego i muzyki ludowej, ale i wydatna pomoc wielu nowych artystów i praktyków z różnych działów sztuki, jak to: artystów dramatycznych, reżyserów, muzyków, artystów plastyków, literatów-dramaturgów i poetów oraz teatrologów. Szczególnie pożądana, pilna i cenna będzie współpraca literatów-dramaturgów przy tworzeniu nowego repertuaru utworów dramatycznych, dostosowanych do obecnych potrzeb najszerszych mas, a zwłaszcza do potrzeb i możliwości wykonawczych ochotniczych zespołów artystycznych." (decz)

Śląska kronika kulturalno-artystyczna

Katowice. Po zlikwidowaniu w Polsce Ministerstwa Informacji i Propagandy cały szereg „Domów Kultury" na Śląsku zostało przekształconych na świetlice. W ten sposób otrzymały własne świetlice ośrodki górnicze w Niemcach, Knurowie, Łagiewnikach, Sierszy, Kończycach, Rudzie Śląskiej i Goduli. „Dom Kultury" w Cieszynie oddany został do użytku Powiatowej Radzie Narodowej. Istnieje nadzieja, że już w najbliższym czasie powstanie tu centralna placówka kształcenia instruktorskiego w dziedzinie pracy świetlicowej.

Katowice. Wojewódzki Zarząd Tow. Uniwersytetu Robotniczego w Katowicach posiada na terenie województwa śląsko-dąbrowskiego 6 bibliotek, liczących około 4.000 tomów, ponadto 13 bibliotek ruchomych.

Katowice. Na terenie Katowic istnieje 8 kin objazdowych, które odwiedzają w pierwszym rzędzie miejscowości nieposiadające stałych kin. Kina te obsłużyły już 418 miejscowości, dając 924 seansów. Przedstawienia oglądało około ćwierć miliona widzów, przeważnie wieśniaków i robotników.

Katowice. W teatrze im. St. Wyspiańskiego w Katowicach odbył się „Wielki popis tańca" w wykonaniu uczniów i absolwentów szkoły rytmiki, plastyki i baletu W. Śliwińskiego. W popisach wzięło udział 120 osób. Czysty dochód przeznaczono na odbudowę sanatorium w Rabce dla dzieci ze Śląska.

Cieszyn. W teatrze miejskim w Cieszynie popisywała się grupa dzieci szkoły powszechnej Nr. 4, wystawiając trzy obrazki sceniczne Marii Konopnickiej.

Cieszyn. Przy państwowym gimnazjum mechanicznym w Cieszynie istnieje kółko artystyczno- techniczne, mające na celu kształcenie młodych, uzdolnionych uczniów w kierunku artystyczno-technicznym.

Katowice. Przed mikrofonem „Polskiego Radia" w Katowicach popisywał się chór Towarzystwa Śpiewaczego z Cieszyna. Dyrygowali: prof. Drózd i prof. E. Guziur.

Ustroń. Staraniem miejscowego Komitetu Opieki Społecznej odbył się tu koncert Towarzystwa Śpiewaczego z Cieszyna. W partiach solowych wystąpili: E. Plackowska (śpiew) i prof. Drozd (śpiew).

Bielsko. Sekcja dramatyczna bielskiego „Domu Kultury" wystąpiła z prapremierą krotochwili muzycznej pt. „Zbójnik hr. Klimczok", napisanej przez członków sekcji: B. Kulińskiego i Z. Jasieniaka. Przedstawieniem tym sekcja dramatyczna „Domu Kultury" w Bielsku święciła podwójny jubileusz 25 premiery i 250 przedstawienia. Jednocześnie 25-lecie pracy na scenach amatorskich święcił odtwórca roli głównej, Rudolf Łuszczak.

Wrocław. Rozgłośnia wrocławska „Polskiego Radia" wprowadziła innowację, polegającą na tym, że każde słuchowisko muzyczne zaopatrywane jest w popularny komentarz słowny, charakteryzujący autorów nadawanych utworów oraz same utwory.

Jelenia Góra. W Jeleniej Górze odbyło się spotkanie literatów i publicystów, zamieszkałych na terenie Ziemi Sudeckiej, na pograniczu dolno-śląskim. W pierwszym tym zjeździe Ziemi Sudeckiej wzięło udział ponad 30 pisarzy.

Zabrze. W świetlicy Biura Planowania Hutniczego w Zabrzu odbywają się stale wieczory literackie z udziałem wybitnych przedstawicieli literatury śląskiej.

Wisła. W ramach „Święta Ludowego" została odegrana przez zespół uczniowski niedawno założonego tu gimnazjum 4-aktowa sztuka pt. „Wesele Krakowskie". Sztuka cieszyła się wielkim powodzeniem u licznie zebranej publiczności.

Bielsko. Teatr Polski Ośrodka Bielsko —Cieszyn wystawił w Bielsku i Cieszynie sztukę włoskiego autora Aldo de Benedetti „Szkarłatne Róże". Udział w niej wzięli: Zofia Markowska, Kazimiera Starzycka, Eugeniusz Ławski i Stanisław Malatyński. Reżyserował: dyr. Stan. Kwaskowski.

Ząbkowice (Dolny Śląsk). Przejęty tu został przez zarząd miejski teatr, którego dyrekcję objął dr. Zieliński. W przygotowaniu jest wystawienie sztuki Perzyńskiego „Uśmiech Losu".

„ZARANIE ŚLĄSKIE"

„Zaranie Śląskie" — Rok XVIII. — zeszyt 1—2, — Katowice, Wrocław, Cieszyn 1947, str. 1—112.

Różni się ten zeszyt od poprzednich nie tylko brakiem ilustracyj, ale głównie witalną treścią wewnętrzną. Jest to specjalna książka informacyjna, ujmująca w możliwie pełnym zarysie cały dorobek kulturalny Śląska w pierwszym dwuleciu powojennym, notująca osiągnięcia w zespoleniu z Ziemiami Odzyskanymi i resztą kraju —.

W artykule wstępnym J. Lewański stwierdza, że bezkonkurencyjny Śląsk w życiu kulturalnym idzie po linii pełnej rozbudowy; wymienia zarazem ośrodki kulturalno-artystyczne i akcentuje niedociągnięcia. — Krytyk Hierowski w „Dwu latach pracy pisarzy śląskich" wylicza najważniejsze straty kulturalne i omawia poszczególne działy pisarstwa śląskiego i ich przedstawicieli. — Działem szkolnictwa interesuje się kurator O. Kotula; omawia teren śląsko-dąbrowski, zaś A. Fintowski — Śląsk Dolny. — Pracę kulturalno-oświatową przedstawia naczelnik M. Hasiński. — E. Maleczyński pisze o starcie rozwojowym nauki polskiej we Wrocławiu, a K. Popiołek o osiągnięciach naukowych na terenie Śląska, podkreślając znaczenie humanistycznego Instytutu Śląskiego, a znaczenie gospodarcze instytutów naukowo-badawczych. — J. Ligęza zwraca uwagę na kulturalne związki Śląska z krakowską Akademią Umiejętności, poznańskim Instytutem Zachodnim i Wrocławiem.

Część druga zeszytu jest kroniką, obejmującą bilans wyników w dziedzinie nauki (obszerne sprawozdanie z działalności Instytutu Śląsk.), teatrów, muzyki, plastyki, dziennikarstwa, muzealnictwa.

Ostatnie 30 stron zajmuje doskonała i sumienna „Bibliografia Śląska za lata 1945—46" zestawiona przez specjalistę tegoż fachu — L. Brożka z Cieszyna.

„Zaranie Śląskie" — Rok XVII. — zeszyt 3—4, — Katowice, Wrocław, Cieszyn 1946, str. 77—148.

Zeszyt zawiera kilka wartościowych krajoznawczo-historyczno-społecznych artykułów.

Jest piękny artykuł J. Skoczka: Miasto Brzeg i jego dzieje, wart przedruku i uzupełnienia fotografiami. — W. W. Głowacki omawia wzajemne związki duchowe między Polską a zagranicą na polu lecznictwa i uważa Śląsk za ognisko ruchu aptekarskiego od XIII w. — Tyrowicza zajmuje Śląsk i ruch rewolucyjny w r. 1846. — Kucner pisze o „Straży", towarzystwie dla obrony gospodarczych i narodowych interesów ludności polskiej w Niemczech od r. 1905 do okresu wojny światowej. — Gorąca odezwa K. Popiołka nawołuje do zbierania i sumiennego gromadzenia materiałów źródłowych, tyczących powstań śląskich. — W tejże sprawie pisze i Al. Targ, odnośnie do zbierania dokumentów z czasów ostatniej wojny rasowej. — Kolbuszewski daje obraz hagiografii śląskiej okresu Odrowążów i św. Jadwigi — St. Hierowski stwierdza, że garstka inteligencji górnośląskiej rozwinęła się o własnych siłach i uświadamiała lud przez dziesiątki lat (czyż to tylko na Górnym Śląsku?) W drugim artykule podaje surowej krytyce (ze stanowiska historycznego) książczynę Szewczyka „Śląski trud literacki". — T. Mikulski daje pierwodruk żywota poczciwego pastora polsko-śląskiego zboru w Proślicach, napisany przez ks. H. Koelinga 1887) pt. „Prośliccy", będący nieocenionym źródłem językowo-kulturalnym dla badacza tamtych czasów i stron. — Są jeszcze nieznane korespondencje śląskie, Jana Kasprowicza części materiałów do książki Roździeńskiego i omówienie prac dialektologicznych na Śląsku przed Z. Malinowskim.

Zeszyt uzupełniają sprawozdania oraz fotografie ze zniszczonego Wrocławia. — (jb.)

Wałbrzych. Z okazji II rocznicy objęcia Wałbrzycha przez władze polskie odbyło się tu otwarcie Muzeum miejskiego. Aktu poświęcenia dokonał ksiądz dziekan dr. Świderski. Rolę kustosza w nowootwartym muzeum pełni Marek Sagan.

Świętochłowice. Staraniem miejscowego nauczycielstwa nastąpiło tu otwarcie wystawy książki polskiej. Wystawa poza wydawnictwami firm wydawniczych: „Czytelnika", „Wiedzy", „Książki" i „Państwowych Zakładów Wydawniczych" obejmuje również wydawnictwa o treści religijnej.

Kłodzko. W starym zamku w Narożnie została tu zorganizowana kolonia dla dzieci rumuńskich, przybyłych tu na okres dwóch miesięcy. Dzieci rekrutują się ze sfer robotniczych.

Cieszyn. „Sprawy Polaków" — książka Edmunda Osmańczyka, która doczekała się w Polsce kilku wydań zostanie w najbliższym czasie przetłumaczona na język czeski, angielski i serbski.

*

„Rzeka z błękitów"

St. Gątarski „Rzeka z błękitów" Cieszyn, druk. „Polonia" 1947 str. 223 z drzeworytami.

Zanosiło się na posuchę w dziedzinie książek dla młodzieży. W szeregu tłumaczeń angielskich i francuskich brakło naprawdę książki, która by zainteresować mogła nasz rozwijający się dorost i skierować jego zainteresowania na ziemie i sprawy nasze, które przede wszystkim znać i kochać trzeba. Pustkę tę może i winna częściowo wyrównać powieść rybacka, która niedawno ukazała się w emerytalnym półmieście Cieszynie.

Autor przedstawia w niej urzędniczego syna, harcerza, który wyjeżdża z Katowic w porze wakacyjnej do swego wujka Jacka nad Dunajec. Wujek staje się dla młodego adepta wiedzy po prostu wyrocznią w sprawach przyrodniczych, a ściślej - rybackich. Będąc zapaleńcem tego szlachetnego sportu, umie swymi opowiadaniami i przykładem tak zjednać sobie bratanka, że ten zapomina o wszystkim, byle tylko uczestniczyć w wyprawach na przeróżne gatunki ryb, zamieszkujących tę błękitną rzekę. W trakcie połowów zaznajamia się młody Marek ze zwyczajami poszczególnych gatunków ryb, ich rodowodem, tajnikami łowienia łącznie ze słownictwem rybackim. A tyle w tych wujkowych opowiadaniach świeżości, niefrasobliwości, tyle ciekawych szczegółów i znajomości tajników świata wodnego, że książkę tę przeczyta każdy z niesłabnącym zainteresowaniem. Oczywiście, że prócz opisów wypraw z przygodami na klony, szczupaki, miętusy, jesiotry, węgorze są i pomniejsze epizody wakacyjnych wycieczek do kuźni i na pastwisko, są gonitwy konne czy boks, jest opis powodzi, ujarzmienie Szatana i nauka młodego kowalczyka —.

Całość pisana prosto, interesująco i pociągająco. Zwłaszcza miłośnicy ryb (i rybacy zawodowi) znajdą tu wiele ciekawych szczegółów naukowych. Wielką korzyść i pomoc odniesie z niej nauczyciel-przyrodnik. Młodzieży tej książki polecać osobno nie trzeba boć sama rozreklamuje ją wśród siebie. Dobrze byłoby włączyć ją jako lekturę uzupełniającą z zakresu przyrody, boć wiąże ona serdeczną nicią młode dusze nie tylko z Dunajcem „rzeką z błękitów", ale i z Królową rzek naszych — Wisłą. A takich geograficzno-przyrodniczych powieści trzeba nam jak najwięcej. J. B.

Podania i baśnie śląskie

O dziewczynie, co służyła u Boga

Pewnemu chłopkowi, który miał niewielką chatkę i kawałek pola, umarła żona i musiał się ożenić po raz drugi. Po niebodze została mu jedna córka imieniem Anna, a z drugą żoną także miał jedną córkę imieniem Ewa. Lecz ta druga żona bardzo nienawidziała tę córkę po niebodze, tylko swoją bardzo lubiła i pieściła. Gdy owa córka po niebodze dożyła szesnaście lat, wygnała ją macocha na służbę, bo wielka nędza była w tym roku z powodu nieurodzaju i żywności brakowało, lecz swoją córkę Ewę zatrzymała w domu i dalej pieściła, i z powodu tej pieszczoty wyrosła jej córka na bardzo złośliwą i nieposłuszną dziewczynę.

I tak owa córka po niebodze poszła sobie szukać służby, a nie łatwo było wtedy znaleźć służbę, gdyż z powodu braku żywności gospodarze oszczędzali i mało czeladzi przyjmowali. Płakała tedy i modliła się biedna sierota, aby jej Pan Bóg pomógł znaleźć służbę, i tak szła dalej i dalej, aż przyszła ku jednej wielkiej wodzie, która była bardzo kalna i głęboka. Przy tej wodzie stał biedny staruszek i prosił ją, aby go przeniosła na drugą stronę przez tę wodę. Dziewczyna bardzo chętnie go przeniosła i przeszła przez tę kalną wodę po wierzchu suchą nogą, jak po twardej drodze. Potem łagodnie postawiła staruszka na ziemi, który jej podziękował i zapytał się jej, gdzie idzie. Ona odpowiedziała uprzejmie, że sobie idzie szukać służby.

— A nie szłabyś też do mnie służyć? — zapytał się jej ów staruszek. A ten staruszek to był Pan Bóg.

— Pójdę chętnie! — odrzekła dziewczyna z radością i poszła.

Gdy przyszli do domu staruszka, on naporęczył jej co będzie każdy dzień robić, mianowicie warzyć i gotować jedzenie i odbywać także pieseczki i koteczki, i przyniósł jej ziarnko kaszy i kazał go uwarzyć. Dziewczyna usłuchała i włożyła to ziarnko kaszy do wody do garnka i mieszała, a ta kasza była coraz gęściejsza, aż z tego jednego ziarnka był pełny garnek kaszy i najedli się wszyscy do syta, ona i staruszek, i piesek i kotek.

I tak służyła cały rok u tego staruszka, który jej za zapłatę i kolędę kazał zamieść izbę na opak t. j. od drzwi do stołu, a te śmieci kazał dobrze schować do trówły, zaprzęgnąć pieska i kotka do wózka i zawieźć tę trówłę do domu. Dziewczyna usłuchała i uczyniła wszystko co jej staruszek nakazał, a podziękowawszy staruszkowi za kolędę, pojechała do domu. Gdy jechała, to piesek i kotek śpiewali sobie wesoło w drodze:

Hału, hału, hałula,
Jedzie nasza Hanula,
Przed nią cink, za nią brzynk,
Wszystko dobre wiezie!

Gdy przyjechała do domu, otworzyła trówłę, a trówła była pełna złotych dukatów i najpiękniejszych szat. Jej macocha i jej siostra Ewa, strasznie jej tego zazdrościły, i nareszcie macocha wyprawiła swoją córkę także na służbę, spodziewając się, że ona sobie jeszcze coś więcej wysłuży. Ewa poszła z radością na służbę, myśląc równie jak jej matka, że ona przy swojej chytrości i przebiegłości jeszcze większe skarby sobie zdobędzie.

I tak poszła sobie szukać służby, i przyszła też ku tej wielkiej kalnej wodzie, i tak samo spotkała tam owego staruszka, który ją prosił, aby go przeniosła na drugą stronę. Dziewczyna go zburczała i nie chciała go przenieść, że ona ma już dość biedy sama przejść; lecz gdy staruszek jej powiedział, że jak pójdzie sama, że się utopi, a jeżeli go przeniesie, że się nie utopi, więc porwała go i przeniosła na drugą stronę. Lecz ponieważ nie chciała wierzyć staruszkowi, już tak wygodnie nie przeszła, jak siostra Anna, ale jedną nogą poczynała tonąć — chociaż staruszek był lekki jak piórko. Gdy przeszła na drugą stronę, porzuciła staruszka na ziemię, który jej podziękował i zapytał się, dokąd idzie. Ona odrzekła, że idzie sobie szukać służby, ponieważ jej siostra sobie bardzo wiele wysłużyła. Staruszek jej rzekł:

— Pójdź do mnie na służbę i bądź mi posłuszną, a też tyle możesz sobie wysłużyć.

Dziewczyna poszła tedy służyć do staruszka, który jej to samo naporęczył robić, co jej siostrze, i przyniósł jej ziarnko kaszy i kazał go uwarzyć. Dziewczyna się okropnie oburzyła na niego, że kto to widział jedno ziarnko kaszy warzyć, i że on ją chce głodem umorzyć i t. d. i nie usłuchała go, ale wzięła dużo kaszy i warzyła, a tej kaszy ciągle ubywało, aż wreszcie nic nie było. Kłóciła się potem znowu ze staruszkiem i żądała, żeby jej przyniósł dużo kaszy, i on jej przyniósł. Gdy ją potem warzyła, rozerwało jej garnek — i znowu nic nie było. Tak rada, nierada, musiała nareszcie usłuchać staruszka i warzyć tylko jedno ziarnko kaszy, a było tego dość. Lecz pieska i kotka bardzo źle odbywała, tak, że nędznie wyglądali.

Gdy się rok służby skończył, kazał jej staruszek, tak samo jak jej siostrze, zamieść izbę na opak, a te śmieci zebrać do trówły i zaprzęgnąć pieska i kotka i zawieźć sobie tę kolędę do domu. Dziewczyna się znowu oburzyła na staruszka, że ona nie potrzebuje śmieci na kolędę i że kto to kiedy widział, żeby kogoś za wierną służbę śmieciami wypłacano itd. się z nim kłóciła. Lecz staruszek jej rzekł, że jej siostrze też nic innego nie dał, tylko śmieci, które sobie zamiotła i schowała do trówły. Zgodziła się więc nareszcie, ale pomyślała sobie: „Po co mam starego dziwaka słuchać i zamiatać izbę na opak?" Zamiotła więc izbę, ale nie na opak; myśląc, że tym sposobem nabędzie jeszcze większych skarbów niż jej siostra, i schowała te śmieci do trówły, a zaprzęgłszy biednego pieska i kotka, pojechała do domu nie podziękowawszy staruszkowi. A piesek i kotek, wioząc trówłę, śpiewali sobie w drodze:

Hału, hału, Hałula,
Jedzie nasza Jewula,
Przed nią ryk, za nią krzyk.
Wszystko złe wiezie!

Gdy przyjechała do domu, z radością prędko otwierała trówłę, spodziewając się ogromnych klejnotów i skarbów, lecz zamiast tych, ujrzała przerażona pełną trówłę gadów i smoków, które jej urwały głowę.

To miała karę za swoje nieposłuszeństwo.

Szyndzioły
Dodatek »Głosu Ludu« poświęcony kulturze i sztuce.
NR 5
CZESKI CIESZYN
NIEDZIELA 10 SIERPNIA
1947

PAWEŁ KUBISZ

„O roku ów, kto cię widział w naszym kraju..."

Prawie za rok... bo w lipcu 1948 roku, minie sto lat od tej chwili, kiedy w Pradze odbył się burzliwy Zjazd Słowiański, w którym brał udział, jako reprezentant Śląska Cieszyńskiego, znany polski działacz Paweł Stalmach. Ten setny jubileusz Zjazdu Słowiańskiego wiąże się bardzo ściśle ze wspaniałą kartą historii, pisaną walką chłopa i robotnika śląskiego, bo z tak zwaną Wiosną Ludów. Fragmenty Wiosny Ludów na Śląsku Cieszyńskim cechowała nie tylko walka klasowa, lecz także walka, która posiadała swój dobitny i jasny cel narodowy. Okres Wiosny Ludów, to u nas kładzenie węgielnego kamienia pod przyszły gmach ludzi wolnych, z pełnymi prawami w każdej dziedzinie swego życia.

W owym „o roku ów, kto cię widział w naszym kraju", zabrzmiało bardzo donośnie słowo polskie w imieniu polskiej ludności na Śląsku Cieszyńskim na Zjeździe Słowiańskim w Pradze. Wypowiadał tam swą polską mowę Paweł Stalmach — i była to mowa przyjęta przez patriotów czeskich z pełną aprobatą, z pełnym zrozumieniem tego, że ludności polskiej na Śląsku Cieszyńskim, nad którą swe „berło władzy" dzierżą Habsburgowie, należy się coś więcej ponad „odrabianie dni na pańskim", płacenie danin i podatków. I kiedy omawiano te sprawy w Pradze, nie znalazł się ani jeden Czech, aby zaprotestować przeciwko wolnościowym tendencjom polskiego ludu na Śląsku Cieszyńskim jakimkolwiek „liberum veto"! Wtedy mówiono o współpracy słowiańskiej, bo wtedy godzono przyjaźń jednej i drugiej strony, bez wysuwania daleko później powstałych pretensyj. Na przestrzeni ostatniego stulecia, rok 1848, to pierwszy najpiękniejszy rozdział w stosunkach polsko-czeskich; rozdział zaczynający się od traktatowego tytułu: „Za naszą, waszą wolność!" Z dzisiejszej perspektywy docenić i dostrzec należy ten właśnie moment zadzierzgnięcia przyjaźni, kiedy między narodem czeskim i polskim stanął ze Śląska Cieszyńskiego, działacz polski i mediator słowiańskiego zbliżenia, Paweł Stalmach. Dopiero znacznie później, gdy znów w niepamięć poszły uroczyste ślubowania, wypowiedziane na zjeździe praskim, zaczęto szerzyć jakieś dziwne teorie narodowościowe w stosunku do Śląska Cieszyńskiego; powoli narastał szkielet takiej czy innej anektacji. Formy tych usiłowań były przeróżne. Imano się nawet współpracy z usłużnymi i niemieckimi „dworzanami" Komory Arcyksiążęcej w Cieszynie, zapominając i pogrążając dawne ślubowania w odmęt zupełnej niepamięci; wypaczając to wszystko o co bojowano tak ze strony czeskiej jak i polskiej w niewoli cesarskiego Wiednia.

Ten rozbrzask fałszywych legend politycznych dnia wczorajszego, te wszelkie marginalia zawistnej agitacji zakłamania małostkowością, szowinizmem — przy równoczesnym zachłyśnięciu się wolnością w myśl przysłowia „wolność Tomku w własnym domku", doprowadziły do słowiańskich rozdźwięków, zadrażnień, czy nawet ponurych zdarzeń zadokumentowanych tragizmem czarnych, posępnych i oskarżających czasów. Jednym z takich dokumentów, który z kretesem przekreśla wszelkie te późniejsze działania tuzinkowej roboty politycznego zakłamania, i małostkowego a zarazem krnąbrnego zacietrzewienia politycznego — to publikacja z roku 1848 na łamach praskich „Pražské Noviny", w której strona czeska domagała się właściwych praw dla ludności polskiej na Śląsku Cieszyńskim. Ten dokument dzisiaj brzmi dość oryginalnie ale zarazem posiada swą piękną wymowę! Warto będzie przypomnieć ten artykuł praskich „Pražské Noviny" z 1848 roku w pełnym „fotograficznym" brzmieniu w setną rocznicę wielkiej zmowy polsko-czeskiej w Pradze. Niech z tym artykułem zapoznają się wszyscy ci pogrobowcy, którzy w swej rachubie politycznej chcieliby zniszczyć doszczętnie wszystko to, co się nazywa polskie w kraju Cieszyńskim. Możliwe jest, że ci sami pogrobowcy, siejąc nienawiść przeciwko Polakom nie znają dokładnie historii swego narodu i stąd nieświadomie tylko negują te aspekty wolnościowe, które przyświecały czołowym przywódcom narodu czeskiego na Zjeździe Słowiańskim w Pradze przed 99-laty. Jeśli do tego wspomnimy, że „Pražské Noviny" redagował wówczas Karol Havliček Borovský, prześladowany bohater narodowy, i redaktor głośnego „Slovana" — to sprawa ta dla nas w stulecie tych dawnych zdarzeń, staje się wprost symboliczną!

Nigdy bowiem nie należy sobie przyrzekać wieczystej przyjaźni i braterskiego szacunku wtedy, kiedy jeden i drugi adherent cierpi pod samozwańczym knutem rządzenia. Bo takie przyrzeczenia są zazwyczaj niedotrzymywane, zapominane — tak jak zapomniana została owa publikacja z roku 1848 w kilka dziesiątek lat później.

Gustaw Fierla: MATKA KARMIĄCA — akwarela 1945

Art. malarz Gustaw Fierla

Gustaw Fierla

Są ludzie, którzy całe swoje życie i całą swoją działalność poświęcili małemu skrawkowi ziemi, na którym się urodzili. Do takich ludzi zaliczyć można znanego na Śląsku artystę malarza, profesora orłowskiego gimnazjum — Gustawa Fierlę.

Ślązak z dziada i pradziada, syn rozległych i słonecznych kopców lutyńskich, skąd rozlega się cudowny widok na cztery strony świata. Na wschód równiutkie pola Dąbrowej, Starego Miasta i Frysztatu przecięte srebrną wstęgą Olzy, — na południe Orłowa, Karwina i Łazy, pełne strzelistych i dymiących kominów — na zachód Poręba, Pietwałd i Rychwałd — a na północ Skrzeczoń, Wierzniowice, Bogumin i mglisty Górny Śląsk.

Cztery krajobrazy a każdy inny, tak jak cztery twarze Światowida a każda o innym wyrazie i o innym charakterze. Tak też i w twórczości G. Fierli można się dopatrzeć czterech odmiennych cech krajobrazu lutyńskiego. Może, że się zapatrzył jako chłopak od domu rodzinnego na te cztery różne strony świata, może — że włożyły mu je do kolebki, tam, pod strzechą fabryki lutyńskiej, cztery wróżki górnolutyńskie. I te cztery odmienne cechy talentu malarskiego niesie ze sobą już od młodych lat — nasz „Gustaw", jeden może z najowocniejszych malarzy śląskich. Raz w swoich obrazach przemawia tą delikatną gamą mglistych kolorów, które zauważył nad daleką Dąbrową i Frysztatem, — raz przejdzie do kolorów ponurych i ciężkich dymów karwińskich, — raz zagra kolorami niebieskozielonymi lasów pietwałdzkich a od czasu do czasu uderzy w słoneczną paletę złocistych pól wierzniowickich i górnośląskich.

Taki jest ten nasz lutyński artysta-malarz. Dziwny i bogaty, zamknięty w sobie a niekiedy otwarty na rozcież. Niekiedy poważny i smutny a niekiedy wesoły i lekkomyślny jak dziecko. Ale w jednej rzeczy jest stały i bezkompromisowy — a to wtenczas, jeżeli chodzi o czystość i wierność rysunku. Nie skusi go temat ani duże płótno, nie skusi go technika ani ponętna swoboda nowych kierunków malarskich. Jest zawsze ten sam — uczciwy i wierny, jeżeli chodzi o rysunek. Rysownik wskroś na wskroś, pedant pierwszej klasy, który nie daruje ani sobie ani swoim wychowankom. Uczy rysunku czystego i dokładnego i na tej pewnej zasadzie buduje swoją świątynię artystyczną. Interesuje się również i kolorem (szczególnie w ostatnich czasach) i lubi sobie szeroko pograć na tym instrumencie malarskim. Niekiedy i tygodniami przemalowywuje i drapie szpachtlą swoje obrazy, byleby tylko dojść do bogatej i zrównoważonej harmonii kolorów. Tworzy długo i boleśnie, skupiając całe swoje „ja", by wydobyć rzecz naprawdę uduchowioną i głęboką. A tematów i zainteresowań ma dużo!

Najwięcej jednak interesuje go martwa natura a przede wszystkim kwiaty. Sam ogrodnik z Bożej łaski, potrafi i godzinami przesiedzieć w swoim ogródku i bawić się po ojcowsku ze swoimi pachnącymi pupilkami. Trzeba go widzieć jak delikatnie i z jakim umiłowaniem bierze do rąk każdy kwiatuszek, jak się nim zachwyca i jakie w nim widzi kolory oraz walory artystyczne. I też dziwić się nie trzeba,że kiedy z tych kwiatuszków zestawi martwą naturę, to już to naprawdę jest obraz gotowy, tylko go przenieść na papier lub płótno. Lecz nie ogranicza się on do samej tylko martwej natury. Dużo czasu poświęca kompozycji figuralnej a w ostatnich latach rzucił się na krajobraz. Nie maluje jednak z natury — szuka, podpatruje, notuje w pamięci a dopiero wróciwszy do domu, zamyka się w

---

A i dziś u nas na Śląsku Cieszyńskim stanął w jawnej sprzeczności z tymi cytowanymi zdarzeniami — poseł narodowo-socjalistyczny Franciszek Uhlíř, który, gdyby chciano go umiejscowić na scenie zjazdu praskiego w roku 1848 — nie wiem, jakie przypadłoby wybrać dla niego miejsce.

Przyszłoroczny, setny jubileusz Zjazdu Słowiańskiego w Pradze, obchodzony będzie bardzo uroczyście w Czechach. Mimo, że dzieli nas jeszcze rok czasu od tych wszystkich uroczystości, już dzisiaj czynione są liczne przygotowania w tym kierunku; opracowynane różne programy.

Dlatego też niemniej godnie musimy wystąpić i my Polacy na Śląsku Cieszyńskim, gdyż przyszły rok będzie dla nas podwójnym świętem stuletniej tradycji walki o postęp i sprawiedliwą demokrację.

Rok 1848, to nie tylko stuletnia rocznica Zjazdu Słowiańskiego w Pradze w którym brał udział Paweł Stalmach — w tym samym prawie czasokresie odegrany został i inny finał walki na Śląsku Cieszyńskim; były to bunty chłopów śląskich p zeciwko pańskim uciemiężycielom.

Bunty te, poprzedzone były jak wiadomo, latami głodu w okręgu jabłonkowskim. Znane jest u nas wystąpienie w obronie pańszczyźnianych chłopów dr. Pawła Oszeldy przed „zómkiem" w Końskiej, skazanego później za bunt „przeciwko cesarzowi i władzy zwierzchniej" na dożywotne więzienie w twierdzy Szpilbergu na Morawach. Znany jest bunt chłopów śląskich w Karwinie pod kierownictwem chłopa Michnika. Bunt karwiński zakrojony był na bardzo poważną skalę i bodaj przerastał swą doskonałą organizacją i liczebnością inny spisek chłopów w Mostach przy Jabłonkowie.

Z tych chłopskich szeregów, rekrutowali się wtedy pierwsi bojownicy o prawo dla „gminu" i „pospólstwa" — czyli o prawa dla polskiego ludu na cieszyńskim skrawku Śląska. Podczas kiedy na Górnym Śląsku w tym czasie niewiele można zanotować podobnych objawów świadomości narodowej, to na Śląsku Cieszyńskim a także Śląsku Dolnym, ludność tamtejsza dosyć poważnie manifestowała swoją niechęć wobec rządzących, przez organizowanie buntów i demonstracyj.

Ci pierwsi bojownicy szli z pełną odwagą do walki o inne jutro; świadomi swej odpowiedzialności społecznej, nie wahali się ponosić i ciężkich kar, na nich nakładanych. A były to kary nie lekkie — bo długoletnie więzienia czy też najlżejsze, jakim były tak zwane „ćwiczenia" na dworskiej stolicy. Na takiej dworskiej „stolicy" w Końskiej „oćwiczono" również Pawła Oszeldę.

Przez własne cierpienia i ofiary, ludność Śląska Cieszyńskiego nie rezygnowała nigdy z walki, wróżącej lepsze jutro dla jej przyszłych pokoleń. Zawistny los nie oszczędzał cierpień. Z chłopskiego i robotniczego stanu, mimo tylu różnych przeciwności, tylu niesprzyjających okoliczności, Śląsk Cieszyński wydał dziesiątki ludzi, którzy zajmowali najpoważniejsze stanowiska w różnych dziedzinach życia.

To ciężkie wysferzanie się ze stanu „zgiętych grzbietów" jeszcze dotąd możemy obserwować na naszym Śląsku Cieszyńskim, jak nigdzie indziej. Jeśli wymienimy tylko jakąś wioskę śląską, potwierdza się bliżej w analizie szczegółów, że lud to talenty; więcej tych talentów było u nas niż gdzieś indziej Tragiczne warunki bytowania nie przyczyniały się nigdy do ich potrzebnego rozwoju. A mimo to... niedaleko Cieszyna jest dzisiaj już historyczna wioska śląska — Końska — gdzie na pewien czas przed ostatnią wojną, znalazł swój pierwszy emigracyjny przytułek Wincenty Witos, przebywając tutaj przez trzy miesiące. Tu w Końskiej, wyszedł z tego śląskiego ludu, ciągle jeszcze niedoceniony autor „Pamiętnika starego nauczyciela", piewca „Płyniesz Olzo" — Jan Kubisz; tutaj jest rodzinne miejsce senatora Buzka, dyrektora Galicza, tu działał nauczyciel Śliwka, buntował chłopów Paweł Oszelda i z tej wioski ludzie w świat wędrowali... jeden z takich, został nawet ministrem w Albanii. Albo Karwina, skąd pochodzi „hawiyrskie dziecko", Gustaw Morcinek czy doskonały artysta — malarz Franciszek Świder. I tak mógliby śmy wymieniać wioskę za wioską, nazwisko za nazwiskiem...

Mógliby śmy przewertować naszą polską historię od Oszeldy do strasznej rzezi zbirów niemieckich w Żywocicach czy pod polskie szubienice w Cieszynie, Oldrzychowicach itd. Takie jest świadectwo naszego kraju wydane w ciągu jednego stulecia świata...

Ani Stalmach ani Oszelda nie liczyli nigdy na czyjąś i jakąś pomoc przy przeprowadzaniu swych zamierzeń społecznych. Nasze dzisiejsze społeczeństwo nie z własnej winy, zostało jakoś dziwnie zharmonizowane z taką właśnie sytuacją. Podzielamy ten sam znamienny los, jaki podzielali w swym zwycięskim i gorzkim boju Polacy z Cieszyńskiego z owego 1848 roku i Wiosny Ludów. Dlatego też sprawa stuletniego jubileuszu tych dawnych chwil historycznych, będzie nam bardzo bliska i w pełni przeżywana.

swej pracowni i pracuje gorączkowo, chcąc stworzyć coś oryginalnego, coś zgodnego z prawdą, ale nie mieniące się prawdą. Szuka we wszystkim esencji duchowej — prostej i szczerej — która by więcej przemawiała do duszy ludzkiej aniżeli rzeczywistość.

I zdaje się, że w ostatnim czasie (kiedy już przekroczył pięćdziesiąty rok życia) zbliża się coraz więcej do urzeczywistnienia swoich marzeń i wysiłków. Dochodzi on do tego punktu drogi artystycznej, gdzie artysta osięgnie jakiś szczyt swej umiejętności, rozglądnie się na wszystkie strony, obetrze pot z czoła i powie:

Tutaj chciałem dojść i tu jest cel mojej podróży. Do takiego szczytu dochodzi obecnie i Gustaw Fierla. Ostatnie jego prace wykazują zupełnie inny charakter, inne ujęcie i inny koloryt. Coś w nich dojrzało, coś się w nich skrystalizowało. Brak im tylko ostatniego tchnienia i ostatecznego artystycznego dociągnięcia. Ale miejmy nadzieje, że i przy tej ostatniej delikatnej pracy, nie zawiedzie ani talent ani ręka Gustawa Fierli, ponieważ wierzymy w to, że kto tak uczciwie i pracowicie dochodził krok za krokiem do szczytu artystycznej doskonałości, dojdzie na pewno — i z zadowoleniem i satysfakcją otrze sobie ten pot z czoła. Życzyć tylko należy, aby Bóg pozwolił mu jeszcze przez długie lata pozostać na tym szczycie. Pza.

„Die goldene Stadt"

W czasie okupacji niemieckiej, sporządzono w myśl instrukcji propagandy goebbelsowskiej w Czechach, kolorowy film o Pradze p. t. „Die Goldene Stadt" w reżyserii Niemca Harlana. Nawet w czasie okupacji, urzędy niemieckie nie odważyły się wyświetlać tego filmu w t. zw. Protektoracie. Już od dłuższego czasu, film ten jest wyświetlany w licznych kinach szweckich. Wszelkie urzędowe protesty czeskie, zmierzające do zaniechania wyświetlań wspomnianego filmu w Szwecji, pozostały bezskuteczne.

Gustaw Fierla: DALIE I GLADIOLE — olej

Rechtór

Jeszcze dziś nazwa ta na Śląsku nie jest obca. We wsi śląskiej żyje sobie rechtór w licznych opowiadaniach ludowych, piosenkach pogodnych, żarcikach i anegdotach.

Dawny rechtór uczył w wiejskiej szkole, był w dzisiejszym pojęciu nauczycielem, ale oprócz tego był jeszcze zazwyczaj organistą, o ile we wsi znajdował się kościół, i tak zwanym śpiewakiem, śpiewał zazwyczaj na pogrzebach oraz uroczystościach kościelnych. Rechtora wszyscy lubili i wspomagali go, **bo często potrzebował pomocy.** Dola jego nie była do pozazdroszczenia.

Kiedy jeszcze nie było obowiązku szkolnego, powstały z inicjatywy gospodarzy szkółki zimowe i niedzielne, gdzie uczył wiejskie dzieci „bardziej uczony", który umiał czytać i pisać i tych sztuk również miał powierzonych sobie wychowanków wyuczyć. Nauka przedstawiała się cośkolwiek inaczej niż dzisiaj. Głównym środkiem nauczania był kij.

Później rechtór otrzymywał coraz wyższe wykształcenie, kiedy po zaprowadzeniu obowiązku szkolnego więcej uwagi poświęcano nauczaniu. A więc kandydat stanu nauczycielskiego musiał ukończyć cztery klasy szkoły realnej w Cieszynie i kilkutygodniowy kurs, później utworzono tak zwaną preparandę o dwu rocznikach, z której ostatecznie zrodziło się seminarium nauczycielskie.

Wyposażenie rechtora było różne. Kiedy rechtora utrzymywali bogatsi gazdowie, zapłatę za nauczanie pobierał przeważnie w naturze, a więc tyle i tyle bochenków chleba, mąki, zboża, ziemniaków i innych produktów rolnych, rzadziej i mniej pieniądze. Później, kiedy zakładano szkoły publiczne, najczęściej wyznaniowe, rechtór pobierał pobory w formie pieniędzy. Pobory te zrazu były nikłe i niewystarczające. Musiał szukać ubocznych dochodów. A więc chodził śpiewać na pogrzeby, względnie inne wykonywał przysługi miejscowym obywatelom, za co otrzymywał wynagrodzenie, często w naturze. Poza tym rechtór chodził po kolędzie z opłatkiem. Gospodarze według zwyczaju czekali na swego rechtora i nigdy go z próżnymi rękami nie puścili.

Rechtora zapraszano na wszystkie uroczystości rodzinne, a więc na wesela za starostę, na gościny itp.

Każda wioska dbała o swego rechtora i lubiła się nim przechwalać. Słyszałem taką pochwałę na swego kierownika w Koszarzyskach: — Nasz rechtór-kierownik to był rechtór, jak zaśpiewał w Koszarzyskach, to go było słychać w Milikowie.

Dzisiaj miejsce rechtora zastąpił nauczyciel, lecz wzajemny stosunek ludu do niego nie zmienił się wcale.

Jeszcze dziś niejedna starka, sędziwa, lecz ciągle krzepka umie niejedną piosenkę o rechtorze zaśpiewać i niejedną godkę o nim opowiedzieć.

Przytoczymy kilka.

PIOSENKA:

Stała sie tako przyczyna,
Rechtorka szła do Cieszyna,
Poleciła rechtorowi,
Żeby ji podojił krowy.

Rechtór jeszcze uczy dzieci,
Już Malina z pola leci.
Gdy przyszła jedna godzina,
Rechtorek se popił wina.

Nagotowoł siana, soli,
Żeby mleka moc nadojił,
Wielki szkopiec na dojyni,
Mały gnotek na siedzyni.

Krowa rechtora nie znała,
Podojić sie mu nie dała:
Kopie nogą, chłostym smoli
aż rechtora głowa boli.

Poczkej ty nieszczęsno marcho,
Uwiążę ci chłost na karku.
Bąki Maline szczypały,
Aże z chlywa ją wygnały.

Gzi sie krowa, leci, ryczy,
A rechtora za kark smyczy,
Smyczyła go przez gnoisko
I przez wielki kałużysko.

Przypod głowe, rzaznął sobą
Aż w gnojówce poczuł nogą.
Była też agrestu siła
I przez to go przesmyczyła.

Widzi farosz co sie dzieje
I w łoknie sie strasznie śmieje.
„Panie rechtór, gdzież jedziecie?"
„Czechmón wie, gdzie mną zamiecie..."

Krowa w pole wciąż leciała
Aż rechtorka ją chyciła,
Do domu ją przykludziła
I lachutko podojiła.

Z rechtora sie strasznie śmioli,
Bardzo go też kości bolą,
„Ach, trzy dziury mam jak w nosie"
I dojyni skończyło sie.

DIALOG:

Pieknie witóm, panie rechtór. Jak tam postępuje to uczyni?

Dobrze, tylko tyn wasz pastyrz nie chodzi do szkoły.

Nale wiycie, to piyrsze słyszym. Na dyć jo go posyłóm każdy dziyń do szkoły, co to bez spusobu. Panie rechtór, jyny też tam bardzo nie naciskają na nas wóli tych pastyrzi, co to bez spusobu. Cóż tam takim po nauce?

Dobrze, ale zawsze lepiej, aby każdy dzień chodził do szkoły, bo by się więcej nauczył.

Ba prawić. Nale, czy tam kiedy na to dbali? Jo też chodził jedno lato pod Kubówkową lipe do starego Kantka do szkoły. Było to dycki w niedziele popołedniu jak deszcz nie padoł i pierony nie biły, to nas stary Kantek ćwiczył na szlabikorzu. Mój Ty Boże, jak se na ty czasy spómnę, to sie mi aż płakać chce. Co jedną litere nauczył, to gałąź buczyny połómoł na nas. Boże, świyć jego grzysznej duszy... Co bił to bił, ale nauczył. — Alechmy sie zafulali. Na tóż zustóńcie Spanymbogym, rechtorku, Spanymbogym. opr. *Gustaw Przeczek.*

Zjazd pisarzy chłopskich w Rytwianach

Z początkiem lipca br. odbył się w Rytwianach (Kieleckie), zjazd kilkudziesięciu pisarzy chłopskich. Na zjeździe tym, który trwał tydzień, wygłoszono szereg referatów na tematy związane z t. zw. chłopską twórczością literacką w Polsce. Zjazd ten zaszczycił swą obecnością minister Kultury i Sztuki Stefan Dybowski oraz szereg wybitnych dygnitarzy państwowych. Łódzki tygodnik literacki „Wieś", wydał swój specjalny numer „pozjazdowy". W.

Jednostronny artykuł o literaturze polskiej

Na łamach praskiego tygodnika „Kulturní Politika" w numerze 45 z dnia 25 lipca br., pojawił się dość dziwny artykuł, czeskiego literata Jerzego Weila p. t. „Pisarze w Polsce". Artykuł ten, oparty na czyjejś jednostronnej informacji, roi się od dość niespodziewanych wniosków, wysnuwanych przez samego autora. Weil posuwa się nawet tak daleko, że współczesne życie literackie w Polsce nazywa czy przyrównuje do groteski. Bo według niego, w Polsce nie są w ogóle znani tacy pisarze jak Hemingway, Caldwell czy Steinbeck. Natomiast można się tam spotkać z przekładem książki szwajcarskiego kolaboranta John Knittel'a. Według tegoż źródła, wychodzą polskie przekłady różnych naiwnych detektywek i cowboyek. Wychodzi także „Rodokaps" (autor ma tu na myśli tygodnik p. t. „Co tydzień powieść). Chciano temu zabronić, lecz dyrektorka najpoważniejszej, polskiej firmy wydawniczej „Czytelnik" — to odrzuciła. W dalszej części artykułu, Jerzy Weil wypisuje nieprawdopodobne dytyramby o dobrobycie polskich pisarzy, o ich luksusowych, poniemieckich mieszkaniach, o wspaniałych kuchniach, klubach, uzdrowiskach i nawet przymorskich pensjonatach... gdzieś w okolicy Sopot. Tak się zachłysnąwszy — ten sam autor nadmienia, że polscy pisarze mogą wszystko drukować co tylko napiszą (tygodnik łódzki „Kuźnica"???), gdyż posiadają absolutną wolność przy zapewnionym dobrobycie.

Jerzy Weil bierze także pod swą dość zamgloną lupę i pisma literackie, jakie wychodzą w Polsce. Stwierdza on, że pism tych wychodzi dosyć dużo; wszystkie zaś one piszą tylko o literaturze domowej, poświęcając zaledwie znikomą część sprawom literatury obcej. W polskich pismach literackich dominuje to wszystko, czego już dawno nie ma w pismach czeskich (???) a więc plotki (tygodnik „Odrodzenie"???) lub przygody z życia współczesnych literatów polskich. Jak widzimy, polskie pisma literackie oceniane są tu jako almanachy reklamowe. Nie brak i w tym czeskim artykule, jakichś żałosnych referentów w rodzaju dość pochopnych twierdzeń, że dzisiejsza literatura polska nie posiada tej wybitnej wartości, jaką by miała się odznaczać, jeśli zważymy na jej wielką tradycję. Tradycja romantyczna: trzech wieszczów, którzy zajęli swe honorowe miejsce w literaturze europejskiej: Mickiewicz, Słowacki i Krasiński. Tradycję realistyczną: Żeromski, Reymont, Sieroszewski i inni. Współczesna literatura polska posiada pisarzy dobrych i złych, lecz nie wybitnych. Literaturę tę cechuje brak zmysłu w poszukiwaniu nowych form. Dopiero po takim latum... Jerzy Weil, odnalazł jeden... wyjątek. Tą jedyną książką to „Jezioro Bodeńskie" Dygata, napisane — jak chce autor — „odmienną formą poetyckiego dialogu".

Niech będzie i tak, skoro autor powołuje się zaraz na orzeczenie amerykańskiego pisma literackiego „Saturday Rewiew of Literature", która nazwała Dygata egzystencjonalistą. Ale biedny Dygat, który należy do grupy łódzkiej „Kuźnicy", to zapiera. Bo nie zna ani Kafki ani Sartre'a (francuskiego twórcy ruchu literackiego, zwanego egzystencjonalizmem) ani Camusa. Teraz już wiemy, że jednak Dygat zna czy poznał się z p. Jerzym Weilem i mówił do niego, że „szlachta i Sienkiewicz to jest to właściwe nieszczęście Polski".

W taki deseń skrojony artykuł, rzecz prosta przyczynia się do kompletnego obałamucenia czeskiego czytelnika a zarazem jest to typowy przykład „naszeptanego niechlujstwa". Bo twierdzić, że współczesna literatura polska, nie posiada swych wybitnych twórców, jest to albo „odmienna forma poetyckiego dialogu" albo też zbyt śmiałe i czupurne ryzyko, popełnione w tym czasie, kiedy żyje i tworzy Leopold Staff, Maria Dąbrowska, Zofia Nałkowska, Maria Kuncewiczowa, Władysław Broniewski czy dalsza plejada nie złych lub dobrych, lecz wybitnych pisarzy!

Wprawdzie na pociechę Jerzy Weil, autor powieści p. t. „Drewniana łyżka" (nagrodzonej na jednym z konkursów literackich przed wojną — lecz dotąd zdaje się nie wydanej!), dorzuca taką pointę: „chłopskie masy w Polsce, które pierwszy raz w dziejach przedzierają się z olbrzymią witalnością w dzieje kultury, — to inny prąd, niż piękne domy pisarzy polskich, bogate dania i wysokie honoraria. Ten prąd wyda raz swych pisarzy, którzy zmienią twarz polskiej literatury" itd.

Szkoda, że autor „Drewnianej łyżki", nie słyszał dokładnie, gdzie już wydzwoniono... a gdzie dopiero wydaje się, że dzwonią. Bo chłopska literatura w Polsce już się „zaczęła" ... i to już parę lat temu, bo od „Pamiętników pisarzy chłopskich"... do najnowszego głębokiego nurtu literackiego, który już istnieje, a nie dopiero „będzie". Tylko ci pisarze chłopscy, niestety — nie posiadają ani pięknych domów, nie cieszą się dobrze pojętą opieką i nie prowadzą t. zw. „naszeptywania niechlujstwa" zapisywanego skrzętnie czy to na łamach „Saturday Rewiew of Literature" czy też na łamach praskiej „Kulturni Politiky".

Łup.

Nad przełęczą Jabłonkowską

DNIA 25 SIERPNIA 1939 ROKU!

Jedno z szwajcarskich wydawnictw książkowych w Zurychu, wypuściło w ostatnim czasie na rynek księgarski dalszy, drugi tom wspomnień H. B. Giseviusa, wicekonsula Trzeciej Rzeszy w latach wojny w Zurychu, zamieszanego częściowo w spisek przeciwko Hitlerowi i dobrze poinformowanego o zakulisach rządów narodowo-socjalistycznych w Niemczech. Książka ta nosi tytuł „Bis zum bitteren Ende" i zasługuje na pewne zainteresowanie i z naszej strony — a to ze względu na pewien szczegół dotyczący „przedwczesnego" zaatakowania granicy w okręgu Jabłonkowskim na Śląsku Cieszyńskim. Z książki tej dowiadujemy się, iż pierwszy rozkaz wojskowego ataku na Polskę, został wydany przez Hitlera na noc 25 sierpnia 1939 roku. W ostatniej chwili jednakże — ze względu na nagłe komplikacje natury dyplomatycznej i wojskowej — rozkaz ten musiał być odwołany i dotarł do wszystkich oddziałów, które wyruszyły do ataku... z wyjątkiem jednego, oddziału spadochroniarzy niemieckich. Oto, jak opowiada Gisevius — oddział ten w myśl otrzymanego bojowego rozkazu, spuścił się na przełęcz Jabłonkowską w pierwszych godzinach nocy 25 sierpnia 1939 roku, zajmując tę ważną pozycję strategiczną i zarazem udawadniając wyraźne zamiary i cele operacyj niemieckich. I — o dziwo — przełęcz Jabłonkowska pozostała przez cały tydzień spokojnie w rękach napastników niemieckich, którzy doczekali się tam, aż w następny piątek, czyli dnia 1 września 1939, zluzowania ich przez inne szturmujące oddziały. „Polacy — dodaje Gisevius, opisując to dość charakterystyczne zdarzenia — mieli w tym wypadku dobrą sposobność, aby akcję tę zauważyć i rozgłosić na świat... Wśród ówczesnego zdradzieckiego milczenia ów pierwszy blitz mógł przyczynić się do zwrócenia uwagi Europy na nadchodzącą burzę". Tak ... pisze Gisevius. Może, ktoś z naszych czytelników zna bliżej zajścia z dnia 25 września nad przełęczą Jabłonkowską i prześle nam na ten temat więcej szczegółowych danych. Wiemy bowiem, że w tym samym czasie zaatakowano dworzec w Mostach, co uczyniono przy współpracy Niemców jabłonkowskich, którzy musieli porozumiewać się dokładnie z niemieckim Wehrmachtem. Niemniej ciekawe byłoby przeglądnąć wszystkie t. zw. „Heimatkalender" wydane przez okupacyjnego Landrata w Stadt Teschen. W jednym z takich kalendarzy jest opis bojówek niemieckich na Jabłonkowskim w których brał udział m. i. niejaki Knoppek z Jabłonkowa.

Dur.

SPRAWY KULTURALNE I SPOŁECZNE

J. IWASZKIEWICZ — LAUREATEM NAGRODY „ODRODZENIA"

Nagrodę literacką tygodnika „Odrodzenia", w sumie 250.000 złotych, otrzymał Jarosław Iwaszkiewicz, za książki: „Nowele Włoskie" i „Nowa miłość". Jury uznało te książki za najwybitniejszą pozycję literacką ostatniego roku. Poza tym wyróżnione zostały książki: „Bolesław Chrobry" — Antoniego Gołubiewa, „Żniwo na sierpie" — Hanny Malewskiej, „Wertepy" — Leopolda Buczkowskiego i „Trzynaście opowieści" — Ksawerego Pruszyńskiego.

*

LITERACKA NAGRODA MIASTA NYSY

Dzięki staraniom starosty powiatu nyskiego na Dolnym Śląsku, ma zostać jeszcze w tym roku przyznana literacka nagroda miasta Nysy w wysokości 250.000 złotych. Nagroda ta będzie wręczana co dwa lata i ma być przeciwwagą t. zw. literackich nagród katowickich, których „nadawania" cechuje zbyt wąski i mocno lokalny zasięg wpływów. Nagroda nyska ma być przyznawana z prawem pierwszeństwa autochtonicznym pisarzom śląskim.

POWIEŚCI POLSKICH AUTORÓW W PRZEKŁADZIE FRANCUSKIM

W Paryżu ukazało się dokonane przez Jean Michel Dumarois, francuskie tłumaczenie powieści Leona Kruczkowskiego p. t. „Sidła".

Ten sam tłumacz przygotowuje obecnie przekłady trzech książek: Jarosława Iwaszkiewicza — „Dwa młyny" oraz „Stara Cegielnia" i „Maskarada".

Jednocześnie zapowiedziany jest przekład „Miasta niepokonanego" Kazimierza Brandysa.

*

Na terenie Polski, w obecnej chwili czynnych jest: 39 teatrów dramatycznych, 3 opery, 7 filharmonii, 600 kin stałych i 60 kin objazdowych, 19 szkół muzycznych, 12 szkół dramatycznych, 15 uczelni plastycznych, 58 muzeów publicznych i około 500 bibliotek publicznych.

Prasę polską reprezentuje 700 pism codziennych i periodyków.

Szyndzioły
Dodatek »Głosu Ludu« poświęcony kulturze i sztuce.

NR 6
CZESKI CIESZYN
NIEDZIELA 31 SIERPNIA
1947

BOLESŁAW LIPA

Kultura dla wszystkich

Życie kulturalne jest potrzebą każdego człowieka. Kultura jest chlebem powszednim. Życie ludzkie składa się nie tylko z życia biologicznego, które zaspokoić można kromką chleba lub miską jedzenia, ale w równej mierze z życia duchowego. Bez niego życie w sumie traci na swej treści i wartości. Jest ubogie i zniża się do poziomu istnienia i trwania. Najlepiej zaobserwować było to można w obozach koncentracyjnych. W najgorszych nawet warunkach obozowych więzień nie wyzbył się potrzeby wyższego i treściwszego życia duchowego. Tęsknił za pieśnią, poezją, książką. Trafiająca w serce melodia piosenki, ciepłe i wzmacniające słowa wiersza zastępują często chleb, każą zapomnieć na dokuczający głód. A jeżeli człowiek osłabiony brakiem minimalnego odżywienia fizycznie do tego stopnia, że już nie był zdolny do myślenia o niczym innym jak tylko o chlebie, tracił swe człowieczeństwo. Odrzucał wszelkie zasady etyki chrześcijańskiej.

Kultura musi być bliska sercu. Z serca wychodząca, bo tylko taka trafi znów w serce. A więc kultura rodzima. Ona zawsze musi być fundamentem naszego życia duchowego.

Takiej kultury pozbawieni byliśmy przez cały okres hitlerowskiej niewoli. Takiej kultury byliśmy spragnieni. Dziś więc słusznie się jej domagamy.

Niestety, pierwsze dwa lata nie dały nam sposobności ani warunków korzystania z kultury rodzimej. Pewne żywioły traktowały nas nie po macoszemu, bo za mało tak powiedzieć, ale wprost odmówiły nam prawa na korzystanie z kultury narodowej.

Obecnie czasy zmieniają się. Pojęcia dotychczasowe szerokich warstw społeczeństwa czeskiego i polskiego zostały poddane rewizji. Nie ulega wątpliwości, iż prawa kulturalne będą nam zwrócone. Zanim chwycimy się pracy, zanim zakasamy rękawy, musimy się głęboko zastanowić, musimy zagadnienie to dobrze rozważyć. Praca nad rozbudzeniem i podniesieniem życia kulturalnego musi być gruntownie przemyślana, by mogła wydać jak najwięcej.

Praca ta musi być jednolita i celowa. Dużo sił trzeba poświęcić na jej organizację. Nie możemy sobie pozwolić na system podwórkowy, na jej nieracjonalne rozdrabianie. Lepiej zawsze wybudować jeden wspaniały gmach na mocnych fundamentach, niż kilka mniejszych, które lada podmuch zniesie z powierzchni ziemi. Niech w tym jednym wspaniałym gmachu znajdzie się wszystko, co pragniemy mieć.

Niech więc w każdej miejscowości będzie jeden chór, ale liczny, który skupi wszystkich zakochanych w pieśni, bo tylko wtedy spełni w zupełności swe zadanie, nań nałożone.

Jedno kółko dramatyczne winno skupić wszystkich adeptów sztuki scenicznej. Trzeba wykorzenić dyletantyzm jako najwięcej szkodliwy. Każdy wysiłek musi być szczerze pomyślany, oparty na zamiłowaniu i skrupulatnie wartościowy. Na scenie winni pojawić się tylko ci, którzy naprawdę są do tego powołani. Jest to jedna z najważniejszych pozycyj omawianego tematu, któremu jeszcze później poświęcimy trochę miejsca.

Ważnym czynnikiem szerzenia kultury jest książka. Mało mamy jednak książek, więcej niż mało. Tutaj sześcioletnia okupacja największe wycisnęła piętno. Książka polska była systematycznie i specyficznie objawiającą się zaciekłością ze strony hitlerowców niszczona. Nie możemy sobie więc pozwolić na to, by dalej niszczyła się gdzieś na strychu, walając się w prochu. Z wszystkich książek jakie zbierzemy, utworzymy jedną bibliotekę, by w ten sposób uprzystępnić je szerszemu ogółowi czytającemu, ułatwi przegląd wszystkich dzieł i korzystania z nich.

Duchem zawsze naprzód musimy iść naprzód. Marsz przebojowy naprzód wymaga od nas ciągłej pracy nad sobą. Ażeby nie cofać się, musimy ciągle się uczyć. Wiedza jest tak rozległa, że, aby tylko poznać zagadnienia, z którymi spotyka

Gustaw Morcinek

Poszli z motyką na słońce...

Nie wiadomo, jak ich nazwać. Czy słonecznymi wagantami, którzy zamiast frywolnych piosenek śpiewali nabożne psalmy z Psałterza Dawidowego, czy też mianować ich upartymi robotnikami śląskiej winnicy narodowej lub też zgoła mocno spóźnionymi Don Kiszotami, urodzonymi pod szczęśliwą gwiazdą, czy też pozostawić im to określenie, które sobie zyskali u niemrawych „skeptyków", pomawiających ich o wyprawę z motyką na słońce...

Może to ostatnie powiedzenie będzie najtrafniejsze.

Współcześni im „skeptykowie" z pewnością pozielenieli na pomarszczonych gębach, gdy musieli patrzeć, iż „ci dwaj" wrócili ze swej wyprawy z motyką na słońce, przynosząc je z sobą w zanadrzu.

Po prawdzie to je przynieśli w dwóch workach, mocno sznurem związanych, a które „włożono na grzbiety i tak obładowani wrócili ciż młodzieńcy piechotą z Krakowa na Śląsk".

Słowacki powiedziałby, że przynieśli z sobą zapalony kaganiec oświaty, a Makuszyński — że przytaszczyli słońce za pazuchą, strzegąc go pilnie przed zezowatym okiem żandarma austriackiego.

Nie chodzi w tym wypadku, co powiedziałby o nich Słowacki lub Makuszyński, lecz chodzi tylko o przypomnienie, jak to akurat przed stu laty — bo działo się to w dniu 23 sierpnia 1847 roku — Paweł Stalmach oraz jego przyjaciel, Andrzej Cinciała dokonali wielkiej rzeczy dla Śląska i dla Polski.

Obaj pisali pamiętniki i obaj piszą w nich wzajemnie o sobie.

Paweł Stalmach, „syn wyrobnika w Bażanowicach o milę drogi od Cieszyna, urodził się pod numerem 13 dnia 13 sierpnia 1824 r.". I jak teraz Stalmach dodaje od siebie — „liczby, dwie trzynastki, uchodzą w kabalistyce za nieszczęśliwe; snać dlatego i mnie

Paweł Stalmach

życie nie miało być różami wysłane i było potrzeba łamać się z losem". W jego pracowitym „żywobyciu" przyplątała się jeszcze trzecia trzynastka, gdyż zmarł 13 listopada 1891 roku. „Był to chłopak silny i zdolny — pisze znowu o nim Cinciała — lecz stronił od kolegów, za to też nie był lubiany." (Nie lubił go także i sam Cinciała, przygadując mu szpetnie pod koniec w swym pamiętniku.) „Po ukończonych naukach w gimnazjum cieszyńskim udał się do Węgier na filozofię, a potem do Wiednia na teologię, a po ukończonych naukach powrócił do Cieszyna w roku 1848. Zajął się następnie redagowaniem wychodzącego tu od maja 1848 r. pisma ludowego Tygodnik Cieszyński."

Krótko więc i oschle zbył Cinciała życiorys swego towarzysza, żywiąc do niego jakąś urazę. O sobie zaś pisze: „Andrzej Cinciała (ja sam), syn chałupnika z Górnych Koza-

Andrzej Cinciała

kowic, wioski o półtora mili od Cieszyna odległej urodził się dnia 8 czerwca 1825 roku z ojca Andrzeja, który wysłużył wprzód czternaście lat w wojsku, i z matki Anny z domu Randów. Było w domu rodzeństwa dziewięcioro. Czterech młodszych umarło, a 5 pozostało. Najstarszy Jan ukończył szkoły gimnazjalne w Cieszynie, a w preparandzie przygotował się na nauczyciela. Był nim w Dobce ad Wisła, ale jakoś mu się zniepodobało i poszedł z saletrarzami do Węgier, i tam już pozostał aż do śmierci. Jerzy objął po ojcu chałupę z rolą. Marjanna poszła za Baranowskiego, cieślę w Skoczowie, a Anna za gajowego Kropa w Górnej Lesznej. Cinciała Andrzej zaś (ja sam), przerwał w roku 1842 studia gimnazjalne udając się za chlebem. Był w praktyce księgarskiej w księgarni Friedleina w Krakowie, potem gospodarskiej, a nareszcie pisarskiej, będąc pisarzem w kancelarji Dra Kluckiego, adwokata a później burmistrza w Cieszynie. Tu przejrzał na oczy, porzucił niemiectwo i stał się Polakiem. W roku 1846 wstąpił napowrót do gimnazjum cieszyńskiego a nauki filozoficzne i prawnicze skończył w Krakowie. W 40-tym dopiero roku dochrapał się posady notarjalnej i był 1 i pół roku w Schildbergu na Morawie, potem we Frysztacie na Śląsku, a obecnie jest od roku 1841 notarjuszem w Cieszynie, dokąd się z wieloma trudnościami i z wielką protekcją dostał."

Rzewnie pisze Cinciała o tym „porzuceniu niemiectwa" w swym pamiętniku.

„Szczęśliwym trafem było dla mnie wstąpienie do kancelarji Dra Kluckiego, tam mi się dopiero oczy otworzyły i poznałem, że jestem w błędzie, mając się za Niemca. To też zacząłem myśleć po polsku, mówić gdzie było można w języku ojczystym i modlić się po polsku. Było mi to wszystko z początku trudno, bo mój język zawsze uciekał do Niemiec i trzeba go było nawracać i strofować. Naturalnym następsewem tej przemiany było, żem zaczął pisać swój dziennik zamiast po niemiecku w polskim języku. Stało się to dnia 12 października 1845 roku, gdzie dałem niemczyźnie zupełną odprawę!..."

Paweł Stalmach zaś, wychowany również jak Cinciała w szkole niemieckiej, „dał niemczyźnie zupełną odprawę" o trzy lata wcześniej, bo w roku 1842. „Miałem nieprzezwyciężoną ochotę do dalszych nauk, ale środków nie było. Wśród tego rozmyślania rozważałem, że jedynie możliwem byłoby dla mnie udać się na teologję. Zabrałem się więc do niezbędnej do teologa konieczności, do czytania biblii polskiej; ale chociaż dawniej z ojcem ją może kilka razy przeczytałem, spostrzegłem, że mi teraz czytanie i zrozumienie jej idzie trudniej. Tyle sprawiła niemiecka szkoła! Było to w roku 1842. Po wakacjach przedstawiłem kolegom, że trzeba się koniecznie uczyć języka polskiego. Zrobiliśmy więc stowarzyszenie polskie..."

Gramatyka Suchodolskiego, zakupiona z tygodniowych składek członkowskich, słownik polsko-niemiecki i wyproszone u pastora Kłapsi „Satyry" Naruszewicza oraz „Maria" Malczewskiego, „zawadzające mu w jego bibljotece", były pierwszymi książkami polskimi, z których Stalmach i jego koledzy uczyli się Polski.

Dotychczas bowiem Śląsk nie znał innej książki, jak tylko tę, która mu prawiła o zbawieniu duszy. Polska książka dewocyjna, przeróżne Postylle, Biblie ks. Wujka, Radziwiłłowska, Leopolity, biblie katolickie, protestanckie i ariańskie, Psalmy i nabożne pieśni Kochanowskiego, Żywoty świętych ks. Piotra Skargi, a czasem nawet cudaczne „Nowe Ateny" Chmielowskiego docierały dziwnymi drogami na Śląsk i stanowiły jedyną lekturę Ślązaka.

Do zainteresowania się nią przyczyniły się wojny religijne.

Dotarły one bowiem i na Śląsk, i aczkolwiek nie przybrały formy krwawych potykań, rozogniły umysły i uczyniły w sercach śląskich wielowiekową zawieruchę. Rozpoczął ją statecznie i z namaszczeniem Piast cieszyński, książę Wacław Adam (1545—1579), przechodząc ze swym dworem na protestantyzm, a w myśl zasady „cuius regio, eius religio" uczynili to samo poddani jego. Lecz co Wacław Adam uczynił, usiłował to zepsuć syn jego Adam Wacław (1579—1617), przemieniwszy się w żarliwego konwertykę. Jął tępić protestantyzm w sposób tak zapalczywy i gwałtowny, że to chyba on stał się przyczyną, iż na określenie człowieka upartego, mocnego i nieustępliwego mawiano, że „jest twardy, jak lutersko wiara koło Cieszyna".

Ciężko doświadczany protestantyzm zamykał się teraz po chałupach, wierni schodzili się na potajemne nabożeństwa w Beskidach, Postylle zaś Reya, Gdacjusza i Dombrowskiego, jako też i Biblie stały się uświęconą lekturą nabożną, czytaną w gronie domowników przez ojca rodziny. Zwyczaj ów stał się z czasem tradycją, w rodzinach katolickich zaś jął się również zadomowiać, gdzie coraz częściej gościł ks. Wujek ze swym dostojnym językiem staropolskim, Kochanowski ze swym Psałterzem Dawidowym i ks. Skarga ze swymi Świętymi Pańskimi.

Wszystkie te „święte księgi" były wspaniałymi pierwodrukami, oprawionymi w świńską skórę, nieraz na pergaminie pisanymi, prawiącymi Ślązakowi — jak już wyżej wspomniano — tylok o zbawieniu jego grzesznej duszy. O Polsce nie mówiły nigdy.

Ślązak nie wiedział, że jest Polakiem.

Piastowie bowiem zniemczyli się lub zczechizowali i wymarli doszczętnie.

Szlachta polska na Śląsku również zniemczyła się, sczechizowała i wymarła doszczętnie. Mieszczaństwo śląskie rychło się wynarodowiło, gdyż „namnożyło się tutaj różnych cudzoziemskich Biegunów" z Flandrii i znad Renu, sprowadzanych przez Piastów śląskich, różnych „przybusiów" spod ciemnej gwiazdy, obieżyświatów, Cyganów i ptaków niebieskich przeróżnej zagranicznej kondycji.

Pozostał tylko chłop śląski przy swojej polskiej mowie, śpiewał Kochanowskiego hymny, wadził się z Bogiem o urodzaje, o ulgę w pańszczyźnie i o koronę niebieską w królewskim języku staropolskim, a wciąż nie wiedział, że jego mowa jest mową polską.

Nie wiedzieli tego nawet ci, co jęli układać polskie kancjonały i modlitewniki dla swoich wiernych. Księża katoliccy i pastorowie ewangeliccy tworzyli różne „Drogi do nieba" i „Prawdziwe, jedzine drogi do Nieba", i „Potrawy ssającym jagniątkom" i „Wierności Bogu y cesarzowi w czas morowego powietrza", lecz nigdy nie omieszkali zaznaczyć w przedsłowiu, że tę pobożną książkę napisali w języku „zwyczajnym w Xsionżyństwie Tieszyńskim". Nie w języku polskim, lecz w języku „zwyczajnym" na Śląsku. Śląscy autorowie, nabożni duszpasterze troskający się o wieczne zbawienie dla swych wiernych, różni Klapsiowie, Muthmannowie, Żmijki, Hudźce, żarliwi „pismacy" i „bogosłowcy" — nie zdawali sobie sprawy, że piszą swe książki w języku polskim.

Musiał dopiero przyjść Paweł **Stalmach** i Andrzej **Cinciała**, ludzie w swej pierwszej młodości już nawet zniemczeni, by powiedzieć zdumionemu Ślązakowi, iż jest Polakiem i że jego język jest ślicznym, archaizowanym językiem polskim.

Stalmach i Cinciała byli oczarowani i radośnie zdumieni owym odkryciem. Odkrycie to „opętało ich Polską", przemieniło w zapamiętałych fanatyków polskości, w upartych bojowników o polskość Śląska, w radosnych wędrowców z motyką na słońce!...

---

się codziennie, trzeba dużo poświęcić pracy i wysiłku. Do tego jeszcze tyle nowości przynosi każdy nowy dzień. Trzeba się uczyć wciąż, bez przerwy. Tutaj sekcje nowopowstałych organizacyj spełnić mogą swe zadanie. One winne skupić wszystkich tych, którzy pragną kształcić się ciągle przy swym zawodzie, boć nie wszyscy mogą poświęcić się studiom szkolnym.

Kultura nie jest i być nie może dobrem pewnej tylko grupy społeczeństwa. Z dobrodziejstwa kultury winni korzystać wszyscy w równej mierze. Musi jednak być podana odpowiednio i rzetelnie przygotowana. Chaotyczna praca w tej dziedzinie nie przyniesie oczekiwanych sukcesów.

Konieczna jest i pewna selekcja i dokonanie ścisłego wyboru. Musi nastąpić podział na rzeczy ważne, mniej ważne, drugorzędne i całkiem zbędne. Przy wykonywaniu swego zawodu nie pozostaje tyle czasu, by nim lekkomyślnie szafować.

Ważnym czynnikiem odgrywającym doniosłą rolę w kulturze jest jej wartość! Nie będziemy więc śpiewali sentymentalnych, osłabiających naszą wolę przebojów, które dla nas zasadniczo przedstawiać nie będą żadnej wartości. Zanim wystawimy na scenie jakąś sztukę, najpierw przekonamy się o jej wartości. Musimy skończyć z takimi bzdurami, jak „Żyd w beczce" i wiele innych, w których jeden drugiego zabije, a na sam koniec sufler wychodzi z swej kryjówki, by na oczach wzruszonej nerwowym zrywem uczucia publiki zakończyć akcję sztuki.

To tylko kilka uwag rzuconych na margines rozpatrywanego tematu o kulturze, który leży u nas ugorem. Zapuścić więc weń głęboko pługi i zorać, albowiem chwasty na powierzchni kryją w głębi czarnoziem. Bolesław Lipa.

Stalmach był dociekliwszy od Cinciały i posiadał — że posłużę się współczesnym żargonem — większą inicjatywę, aniżeli Cinciała.

On to bowiem postanowił zaradzić biedzie i zdobyć książkę dla Ślązaka, która by mu mówiła nie tylko o Bogu lecz i o Polsce. Powrócił z Wiednia na wakacje, jako teolog, przyszły „bogosłowiec", wygłosił kilka kazań w zborach śląskich, posiadając „licentiam concionandi", uzyskał pochwałę od pastora Filipka w Ligotce i udał się następnie do Cieszyna, do swego towarzysza Cinciały.

Był to okres u Cinciały, kiedy już przestał „wyzywać na Polaków" i „kiedy już jego język nie uciekał do Niemiec i gdy dał niemczyźnie zupełną odprawę".

Stalmach już dawno zbierał skrzętnie polskie książki i przywoził do Cieszyna. Było ich jednakże niewiele i jak należy przypuszczać z jego niedomówień i z dyskretnych uwag, iż „nie należy darowanemu koniowi zaglądać w zęby" — nie przedstawiały wielkiej wartości. Były to widocznie książki, „zawadzające w bibljotece" ofiarodawcy, wręczane „dociernemu" Stalmachowi na odczepne. Mało było więc tych książek i przeto uradził z Cinciałą, że wybiorą się do Krakowa na książkobranie.

I poszli!

Wędrowali piechotą, jak prawdziwi wagantowie średniowieczni, podpierający się sękatymi kosturami, z węzełkami pod pachą, gadający uczenie o potrzebie i o wartości książki, nabożni rybałtowie śląscy, śpiewający po drodze luterańskim zwyczajem budujące psalmy o Bogu i o grzesznym człowieku. Na bite, „cesarskie drogi" nie zapuszczali się zbytnio, wielce sobie ceniąc ustronne chodniki i miedze, jako że to był okres niepokojów, przemarszów wojsk „opiekuńczych dworów", rabacji tarnowskiej i nieudałej ruchawki powstańczej. Diabeł nie śpi, psalmy mogą zawieść, a takiego wędrowca łacno pomówić o rebelanckie zamiary przeciwko prawowitej władzy „opiekuńczych dworów". Gdzie sypiali — nie piszą w swych wspomnieniach. Mimochodem tylko nadmieniają, że po drodze wstąpili do jednego i drugiego znajomego. Lecz czy u nich nocowali — nie piszą. Przypuszczać należy, że zasypiali wieczorem w kopkach siana lub zżętego zboża, że może wkradli się do przydrożnej stodoły chłopskiej lub zgoła kładli się na wznak w trawie i patrzyli długo w noc w gwiazdy nad sobą.

Po drodze nie przepomnieli wstąpić do Kalwarii Zebrzydowskiej i chociaż luteranie — nie omieszkali pomodlić się przed cudownym obrazem Matki Boskiej w klasztorze, dopraszając się u niej szczęśliwej drogi. Wszak taka prośba nie zaszkodzi, a pomóc może! Licho bowiem nie śpi i było trzeba wciąż strzyc uszami i rozpatrywać się po okolicy, czy nie ujrzą na swej drodze wąsatego żandarma austriackiego z czarnym, kogucim pióropuszem za czarnym czakiem.

Nie zdawali sobie zbytnio sprawy, że zmierzają do miasta, które przeżyło boleśnie swoją tragifarsę niepodległościową. Operetkowa Rzeczpospolita Krakowska przestała istnieć po niemniej operetkowym powstaniu przeciwko austriackiemu jenerałowi Collinowi na Podgórzu. Nie wiedzieli, że działy się w onym mieście przedziwne rzeczy, że były w nim rebelie, strzelanie ze starych rusznic, procesje, ucieczka po zerwanym moście nad Wisłą, rządy dyktatorskie, dyktator Tyssowski wzorujący się nieco na rzymskim Cola da Rienzi, kapitulacje, wzywanie austriackiego generała na pojedynek, wzajemne przepraszania się, również operetkowe sądy nad politycznymi przestępcami, a w końcu żałosny koniec niepodległości Krakowskiej Rzeczypospolitej.

Byli jednak dobrzy ludzie, którzy po drodze zdołali uświadomić cieszyńskich wędrowników, jak mają się zachować u wejścia do Krakowa. „Aby dostać się do niego — pisze Stalmach w pamiętniku — poradzono nam w Podgórzu, byśmy wobec kordonu otaczającego miasto i wobec straży stojącej przed mostem nad Wisłą, jako miejscowi szli śmiało; udało się to..."

W Krakowie zabawili dwie doby.

Cinciała, jako że już poprzednio spędził w nim półtora roku za ladą u księgarza Friedleina, wiedział, dokąd się obrócić, do kogo zapukać, gdzie możnaby książki wydostać. Profesor Muczkowski zainteresował się ich serdeczną troską i ułatwił im kwestę. Sam pan profesor jak i ofiarodawcy nie wiele sobie chyba ważyli swoje dobrodziejstwo, jako że sami przeżywali teraz ciężkie kłopoty polityczne i że nie bardzo wierzyli w skuteczność takiej ofiarności. Przecież Śląsk i tak nie jest polski, a Ślązak — to jakiś mieszaniec narodowy, ni pies — ni wydra, Wasserpolak, popolszczony Morawiec, diasi wiedzą, co to za nacja. Lecz kiedy ci dwaj młodzi ludzie o oczach fanatyków biją się w piersi i sumitują żarliwie iż są Polakami, podobnie jak wszyscy Ślązacy są Polakami, że gotowi nawet przysięgać, iż to szczera prawda, że jeden z nich nawet podnosi dwa palce w górę i zapewnia: „Na mu duszu, że my są Polakami!" i że gotowi nawet w głos rozpłakać się z wielkiej żałości, przeto ulitowali się zafrasowani Krakowianie i jęli grzebać w rupieciach na strychach, w skrzyniach i po komodach czy szafach. I co znaleźli, wręczali w łakome dłonie Stalmacha i Cinciały. I wtedy dwa worki pęczniały książkami a dwa serca śląskie pęczniały uradowaniem!...

Potem wory powiązali sznurami, zarzucili na ramiona i ruszyli ku domowi.

Jakiś poczciwy żydowin przewiózł im je w sianie ukryte przez most nad Wisłą i przez austriacki urząd celny, żądając za tę przysługę tylko jedną koronę srebrną. A za mostem już wolna droga! A raczej nie droga, lecz miedza między lasami i zagajnikami, polami na przełaj, bokami i ukradkiem. „Książki były ciężkie, sznur wcinał się głęboko w ramię — pisze Cinciała w swym pamiętniku — słońce gorące przypiekało, a ciągła uzasadniona bojaźń towarzyszyła nam, że książki polskie, jako towar dla Śląska zakazany, w drodze skonfiskowane zostaną a my jako przemytnicy ukarani będziemy, co w owych czasach bardzo łatwo stać się mogło."

I znowu Bóg miły raczy wiedzieć, gdzie i którędy przemykali się chyłkiem, gdzie nocowali, jak się trwożyli o swój słodki ciężar i skarb ponad skarby, jak musieli kluczyć i udawać Greków wobec ludzkich oczy i języków, jak przepadali w rowie czy bruździe na widok idącego żandarma, jak szeptali akty strzeliste i żarliwe pacierze, i jak w końcu dotarli do Cieszyna.

„Książki przynieśliśmy szczęśliwie do Cieszyna w dniu 23 sierpnia 1847 roku!" — pisze przed stu laty uradowany Cinciała.

A potem dodaje z dumą: „Książki w ten sposób w Krakowie zebrane i do Cieszyna przyniesione, były pierwszymi książkami polskiemi naukowemi na Śląsku, bo te książki stały się podwaliną Bibljoteki polskiej dla ludu Księstwa Cieszyńskiego później założonej, a następnie stały się kamieniem węgielnym bibljoteki naszej Czytelni ludowej w Cieszynie. Wspomniałem tu o tym fakcie i dlatego, ponieważ to były pierwsze po tylu wiekach odwiedziny Ślązaków w Krakowie i pierwszy dar, który Kraków Śląskowi ofiarował; był to pierwszy węzeł zawarty po tak długim czasie między Krakowem i Śląskiem na polu oświaty ludowej!"

Pięknie to napisał Andrzej Cinciała!

A gdyby jeszcze dzisiaj żył i nadal pisał swój pamiętnik, dopisałby, że książki te, przyniesione równo przed stu laty, z Krakowa do Cieszyna, były powodem, że Śląsk uczuł się polskim Śląskiem, i że Ślązak krwią swą przypieczętował swą przynależność do Polski w Legionie śląskim podczas pierwszej wojny światowej, następnie w powstaniach śląskich przeciwko Niemcom, następnie w podziemnej a tak tragicznej walce z okupantem podczas drugiej wojny światowej i że dzisiaj wygrywa najwalniejszą bitwę gospodarczą Polski i że owo wybieranie się przed stu laty z motyką na słońce — jak twierdzili z przekąsem różni „obłudni frantowie i mrugałowie nieszczerzy" — opłaciło się szczodrze, gdyż przynieśli z sobą słońce, które „mroki ze Śląska precz wyżenęło"!...

Gustaw Morcinek.

Myśli o książce

Myśli, które niżej podajemy nie są przeznaczone na jednorazowy użytek. Zrodziły się one z częstego obcowania z książką, w której autor szukał źródeł dla własnego doskonalenia się. Każda z tych myśli jest owocem głębokich przemyśleń osobistych na drodze do poszukiwania samego siebie.

Znajdujemy się w tym przykrym położeniu, że książka, polska książka nie dostąpiła jeszcze u nas zaszczytu zrozumienia, że jako produkt ducha winna stanowić w demokratycznym państwie pokarm dostępny dla wszystkich. Ale wierzymy, że zrozumienie to przyjść musi. Boć trudno sobie wyobrazić, aby w dobie coraz ściślejszego wiązania się państw słowiańskich, książka pisana w jakimkolwiek języku słowiańskim skazana była na ucisk. Wiemy, że hitlerowcy niszczyli książkę polską, podobnie jak rosyjską, kroacką, serbską czy słowacką, ale dziś w rozwoju kultur tych wszystkich narodów znajduje ona nadal poczesne miejsce. Książka polska w Polsce i za granicą odzyskała należne jej prawa i przywileje. Jakieś fatalne niedorozumienie, że niechcę tu użyć terminu: zła wola, sprawia, że na słowiańskim Cieszyńskim książka ta jest jeszcze w niewoli. Ale wierzymy, że nadejdzie dzień jej wyzwolin wraz z dniem, kiedy przejrzą ci, którzy patrząc nie widzą.

Redakcja.

1. Książka jest przede wszystkim pokarmem dla ducha, a nie tylko aparatem do zabijania czasu.
2. Dobór książek jest sprawą zasadniczą w akcji samokształcenia, samouctwa i samowychowania.
3. Książki t. zw. „ciekawe", które się czyta „jednym tchem", nie zawsze są najlepsze, — najczęściej (z punktu widzenia wychowawczego) — najgorsze.
4. Nadmiar książek, nawet tych dobrych, szkodzi, wprowadza chaos w myśleniu — nuży.

Z OPOWIADAŃ ŚLĄSKICH

Jak powstały grziby i jak Świynty Pieter był dwa razy bity

Chodzili roz Pónjezus ze świyntym Pietrym po świecie. Mieli już oba wielki głód. Jak tak przechodzili przez jednóm dziedzine, to świynty Pieter uwidzioł przed siyniom przi jednej chałupie podpłónek. Baba, co w tej chałupie miyszkała, piykła prowie w tyn dziyń chlyb, a z ciasta, kiere wyszkrobała z dziyżki, upiykła tyn podpłónek i dała go przed siyń ochłódnóć. Pieter tyn podpłónek ukrod, bo sie mu już strasznie chciało jeść.

Tyn podpłónek nie był mocka wielki, tak świynty Pieter sie nie chcioł z Panym Jezusym dzielić, nó, aby sie mu wiyncej dostało. Jak szli dali, tak dycki poukryjómku kąsek tego podpłónka ułómoł, doł do gymby i żuchłoł. Ale Pónjezus dobrze wiedzieli, że świynty Pieter tyn podpłónek ukrod, tak dycki, jak już świynty Pieter mioł tyn pogryzióny kónsek półknóć, to sie go cosi spytali. Świynty Pieter hónym podpłónek wypluł do ręki, wychynół za siebie, a potym dziepro odpowiedzioł.

I zaś szli dali. Świynty Pieter zaś ułómoł kónsek podpłónka i gryz, co Pón Jezus nie widzieli. Ale jak go zaś mioł połknóć to Pónjezus zaś sie do niego odezwali i świynty Pieter zaś musioł wszystko wypluć.

I to tak szło bez przestanku, aż już świyntymu Pietrowi z podpłónka nie zustało ani kónszczyczka. Nic nie połknół, wszystko musioł wypluć.

Kiej świynty Pieter wypluł ostatni kąsek, tak mu Pónjezus prawili: — Teraz pujdymy, Pietrze, naspadek i bydymy zbiyrali to, coś przed chwiłóm wyciepowoł.

Szli i szli, a na każdym miejscu, kaj świynty Pieter pogryzióny podpłónek wypluł i wyciepoł, tam naszli grziby.

Od tego czasu rosnóm na świecie grziby.

Choć wtedy świynty Pieter jod tyn podpłónek, to sie go jednak nie najod. Tymu też i grziby może człowiek jeść i jeść, a jednak sie ich nie najy. Grziby nie sóm pożywne.

Od tego też czasu ludzie mówióm, że świynty Pieter sieje grziby. Bo jak on wtedy tyn pogryzióny podpłónek wyciepował, to to tak wyglóndało, jakby sioł.

Miersko zabyło świyntego Pietra i strasznie Pana Jezusa za to złodziejstwo przeproszoł, ale Pónjezus mu to przeboczyli. —

Jak przisżeł wieczór, tak sie oba zaczli oglóndać za noclegym. Nigdzi poblisku nie było chałupy, tak se prawili, że pujdóm pytać o nocleg do gospody, kole kierej prowie przechodzili.

Ale w tej gospodzie była muzyka. Tako jakosi czakaczka. Gospodzki im prawił, kiedy go pytali o przenocowani:

— Nó tósz, miejsca tam prowie nimóm żodnego, ale jeśli sie chcecie przespać w szynku na piecu, to czymu ni, możecie!

Pónjezus sie zgodzili i szli ze świyntym Pietrym spać na piec. Pónjezus se lygli przi ścianie, a świynty Pieter skraja.

Kole północy sie zaczli taniecznicy bić. Porwali aji tego, co leżoł skraja na piecu i nałotali mu. Jak sie świynty Pieter naspadek wgramuloł na piec, tak budzi Pana Jezusa:

Teraz se Ty pódź, Mistrzu, legnóć na kraj, a jo se pujdym ku ścianie.

Pónjezus, ale że ja!

I spali dali.

Ku ranu zaś sie taniecznicy chycieli za pyski. Spómnieli se, że jeszcze nie dostoł na piecu tyn od ściany, tóż go wysmyczyli i nalotali mu co wlazło.

I tak świynty Pieter dostoł dwa razy.

Potym już świynty Pieter nie loz na piec naspadek, jyny obudził Pana Jezusa i uciekali z gospody. Świynty Pieter sie isto boł, aby nie oberwoł po trzeci. Jond.

---

5. Szybkie czytanie jest najczęściej wyrazem nieumiejętności czytania. Tylko ludzie o wyjątkowych zdolnościach „chłonnych" mogą sobie pozwolić na szybkie czytanie; nie przynosi ono jednak tych korzyści, co czytanie powolne.
6. Książkę czytaj powoli z zaprawą własnych myśli (korelacją) — szukaj w nich siebie, biorąc przykład w dobrym.
7. Książka ma nie tylko pogłębiać umysł (wzbogacać zasób wiadomości) ale i poszerzać serce (kształtować charakter).
8. Książka zła (pojęcie dość elastyczne) jest trucizną. Tylko specjalista (chemik intelektualny) może się nią posługiwać wyłącznie dla celów naukowych. Książkę taką należy tępić.
9. Książka winna wzbudzać zainteresowanie. Bez zainteresowania nie ma pamięci. Książka, która nuży, nudzi i uśmierca zapał.
10. Książka posiada „smak". Umiejętność „smakowania" jest miernikiem kultury i estetyki.
11. Książka uczy nie tylko myślenia, ale i mówienia w języku ojczystym stylem poprawnym. Wystrzegaj się złych tłumaczeń i kiepskich autorów rodzimych.
12. Książka nie jest rzeczą martwą. Ożywia ją Twoja inteligencja, subtelność Twego intelektu. Ona uczy, kształci i wychowuje. To rozmowa intymna Twoich myśli z myślami autora.
13. Naucz się czytać także to, co jest pisane białym śladem między wierszami. Jest to zdolność fantazji, przyjaciółki twórczego ducha.
14. Pamiętaj! Nie tytuł, ale autor, tak autor przede wszystkim winien stanowić impuls do wybrania takiej a nie innej książki do czytania. Przed przystąpieniem do czytania warto zapoznać się choćby pobieżnie z biografią autora. Dobierasz sobie czasem — przesadnie postępując — „odpowiednie" towarzystwo, czemuż nie postępujesz podobnie, gdy chodzi o Twego duchowego powiernika i doradcę?!
15. Pora czytania to sprawa ważka choć lekceważona. Ranne, najwcześniejsze czytanie — najlepsze. Wykorzystaj odpowiednio ten czas na czytanie dzieł poważnych. Przed snem nie obarczaj swego mózgu lekturą, a już nigdy „ciężkostrawną".
16. Książka jest produktem kultury narodu — propagowanie dobrego czytania jest obowiązkiem powszechnym. Nie zostawiaj to tylko nauczycielom i zawodowym społecznikom. „Lud olbrzymi we drzwi pięściami wali" (Żeromski). Pomóż je otworzyć ku słońcu i radości poznania!
17. Przez książki poznawaj świat i ludzi. Odwiedzaj obce kraje i ludzi, gruntuj sądy o szerokich widnokręgach przez czytanie także arcydzieł obcych literatur. Pożyteczne przeszczepiaj na grunt rodzimy! O.

GUSTAW MORCINEK:

Dziewczyna z Champs Elysées

— KATOWICE — „OGNISKO" 1947 — STR. 231 — CENA 360 ZŁ.

Druga to książka poza serią przedwojennych wznowień, którą G. Morcinek wydał w kraju. Zawiera 6 nowel, drukowanych poprzednio na łamach czasopism krajowych (jedna z nich w naszym kalendarzu „Głosu Ludu" 1947).

W pierwszej „Ojciec Kolbe" przywołuje autor przed oczy duszy czytelnika świętobliwą postać kapłana katolickiego, który pełen samozaparcia ofiaruje swe życie i idzie na śmierć głodową za człowieka młodego, pełnego siły i chęci do życia. Godny przykład poświęcenia w potrzebie za wzorem Chrystusa Pana.

Człowiek z twarzą Ramzesa" odsłania nam nieco zasłonę na machinacje kapów obozowych przy przyjmowaniu i utrzymywaniu ludzi sobie posłusznych a wyprawianiem do komór tych, którzy wiedzieli niecoś o sprawach zakulisowych, póki sami nie podzielili losu uciemiężonych poprzednio.

„Dziewczyna z Champs Elysées" (czemu nie „z Pól Elizejskich"?) to przeraźliwa spowiedź harcerza polskiego, u którego umiłowanie życia było tak wielkie, że dla jego zachowania stał się bezwolnym naszędziem kapa i uśmiercał swych bliźnich przez dwa lata. Opamiętał się po czasie, dopełnił może ekspiacji wobec Boga, ale pozostali przy życiu więźniowie nie mogli mu darować tylu rozmyślnych morderstw. Oskarżyli go przed Amerykanami. W przebraniu wyprowadza go przyjaciel z obozu, zakazując jednak wracać do matki i ojczyzny. Wspomnienie to jest żywym przykładem plasteliny duszy ludzkiej, którą zewnętrzne warunki formują i zatruwają, ale wspomnienie i miłość matki zmywa dokonane grzechy. Opinia publiczna jest jednak komieniem szatańskim, szyderczo uśmiechniętym.

W innej noweli opisuje jak „Kordicz z wyspy Rab" przychodzi do skrobania ziemniaków w kuchni obozowej i opowiada o swym kochanym morzu adriatyckim, w którym przejawia się wyraziście moc Boża. Te gorące słowa wprawiają w odrętwienie i obłąkanie obozowego kapa. „Wróżbita z Charbina" to dziwne koleje życia dobrodusznego Owsiaka, co przypadkowo dostał się do obozu i tam, dzięki sprytnemu oszukaństwu, zyskuje sobie sławę dobrego wróżbity. Ale tylko do czasu szczęści się Owsiakowi. Z śmietanką obozową żadne żarty. Kiedy tym zwierzętom w ludzkim ciele każe się modlić (w rumieńcach uchwycony epizod) — kończy się jego kariera. Ginie po zastrzyku.

„Nardelli z Varennes" — to reminiscencje z młodości w Karwinie, które zagościły u autora na widok kolegi z dawnych lat. Chce go ratować przed śmiercią, która doń się zbliża, ale Nardelli, uparty w swej nieświadomości, nie słucha doświadczeńszego i w zimową noc wyjeżdża do sanatorium wieczności.

„Kot z Biviers" to opis życia w letniskowej Ker Seannine, gdzie zgromadzili się ludzie nienormalni, leczący poobozowe choroby; normalną istotę: kota — zabijają. Epizod ten jest podkreśleniem dawniej wypowiedzianych słów, że ludzie wyszli z obozów ze skrzywionym czy nadłamanym kręgosłupem duchowym.

Wszystkie te poobozowe wspomnienia zawarte w tej książce noszą w sobie oznakę duchowego roztrzęsienia i pewnej myślowej dysharmonii — w sensie opracowanych zagadnień; są równocześnie skierowaniem myśli czytelnika w tę stronę, skąd jedynie pomocy oczekiwać należy — ku ojczyźnie niebieskiej. B.

Szyndzioły
Dodatek „Głosu Ludu" poświęcony kulturze i sztuce.
NR 7
CZESKI CIESZYN
NIEDZIELA 21 WRZEŚNIA
1947

Zygzakiem po dniach minionych

Prawie żadne miasto na ziemiach śląskich nie odegrało tak wielkiej roli w bitwie o „tradycję prawdy", jaką może poszczycić się w dziejach śląskich ... miasto Cieszyn. Cieszynowi nie dorównuje pod tym względem ani „stara karta" Opola, Raciborza czy Bytomia. Raczej był to Cieszyn, który swymi przejawami społecznymi promieniował i w stronę Raciborza i w stronę Opola a także dawnej Polskiej Ostrawy czy nawet tak dalekiego miasta, jakim jest Brzeg na Dolnym Śląsku, gdzie kiedyś polskie, luterskie książki tłoczono. Ale Cieszyn „austriacki" to nie tylko rozgrywka i walka z zalewem niemczyzny, to nie tylko Stalmach, popierany w swych narodowych usiłowaniach przez przybyłego tutaj czeskiego notariusza Kludskiego, ale to także „kolebka" wielu innych późniejszych działaczy polskich, choćby wspomnieć tylko ks. Londzina, który wespół z Ossuchowskim i autorem „Krzyżaków" — Henrykiem Sienkiewiczem, tworzył na ziemi cieszyńskiej „Macierz Szkolną". Tego samego księdza Londzina, o którym żaden bibliograf dotąd nie dopowiedział, że mimo jego bezprzecznie wielkich zasług, jakie położył na polu narodowym, cechował „uraz" wyznaniowy, który w pewnym czasie podyktował mu nawet działanie na szkodę „Macierzy Szkolnej".

Dobitnym symbolem ziemi cieszyńskiej, jest właśnie ten fakt, że tutejsi działacze polscy byli w decydującej mierze synami tej ziemi.

Inaczej sprawa przedstawiała się już jeśli chodzi o społeczników i działaczy czeskich, którzy w czasach austriackich czuli się na ziemi cieszyńskiej raczej osamotnieni i zazwyczaj ich pobyt był tutaj jakby przymusowy, związany z jakimś urzędem (Czech dr. Kludsky, którego syn później się zniemczył, przybył do Cieszyna, zamianowany tutaj notariuszem, popularny autor dr. Slama również bawił w Cieszynie jako urzędnik administracyjny — nie inaczej było z Piotrem Bezruczem, którego wysłano do Frydku jako c. k. urzędnika pocztowego).

Nic więc dziwnego, że polski naturalny ruch społeczny na Śląsku Cieszyńskim w Austrii, tkwiący mocno korzeniami wśród pełnego zaplecza własnego ludu, nie ograniczał się tylko do spraw potocznych, codziennych — ale wydeptywał coraz szerszą ścieżkę także na polu oświaty i kultury. Ten wyższy stopień uświadomienia narodowego — to wydanie na kilka lat przed pierwszą wojną światową kwartalnika „Zaranie Śląskie", który rozpoczął wychodzić w tym samym Cieszynie, gdzie kiedyś był założył Paweł Stalmach swą „Gwiazdkę Cieszyńską". Jan Kubisz, Łysek, Nardelli, Szuścik — oto pierwsi współpracownicy „Zarania Śląskiego". Mniej więcej równolegle z rozpoczęciem wydawania „Zarania" i niezależnie od tego, zanotować można coraz silniejszy rozwój doktryny socjalistycznej na Śląsku Cieszyńskim (1907 r.). Organizuje się wtedy partia socjalistyczna a obok niej, nie mniej silne Stronnictwo Ludowe. Nie zbyt są odległe te czasy, kiedy Tadeusz Reger czy Dora Kłuszyńska, wygłaszali swe płomienne mowy „od Ostrawy po Jabłonków". Któż dzisiaj z potomnych wspomni n. p. wiec polskich socjalistów w Michałkowicach? Albo, kto pamięta ten czy inny wiec w Cieszynie; gdzie przemawiał przywódca chłopów polskich „bez krawaty" — Wincenty Witos, dziś po śmierci zaszczycony w demokratycznej Polsce mianem drugiego Tadeusza Kościuszki.

Huta Trzyniec
Jeden z kulisów, wykonany przez art. mal. Zabystrzana do rewii G. Przeczka: „Poznajmy świat".

Po pierwszej wojnie światowej, po rozgraniczeniu jednej ziemi cieszyńskiej na dwa oddzielne organizmy — życie kulturalno-społeczne jakby zostało tutaj przytłumione ... chwilowo przygasło. Wznowiono wprawdzie po pewnym czasie „Zaranie Śląskie", ale stało się to najpierw nie w Cieszynie ... lecz w Katowicach, które nigdy nie miały tych dawnych i wielkich tradycyj ludowo-narodowych, jakimi może się jeszcze długo chlubić Śląsk Cieszyński, który po przeszło sześciu wiekach zwodniczych losów, nie wyrzekł się w żadnej chwili swej prapolskiej tradycji i staropolskiego języka Reja czy Modrzewskiego — mimo takich czy owakich pokostów.

Po pewnym czasie, redakcję „Zarania Śląskiego" przeniesiono z Katowic do Cieszyna — ale powojenne „Zaranie" stało się już pismem raczej dość luźnie oddzielonym od szerszego kręgu społeczeństwa i tych kół, które zwykliśmy nazywać działaczami społecznymi. Ale jeszcze pismo to i po pierwszej wojnie światowej nie posiadało charakteru tak kostycznego, jaki przybrało w formie swych bibliograficznych roczników po drugiej wojnie światowej.

Dopiero na kilka ostatnich lat przed drugą wojną światową, Śląsk Cieszyński na nowo krzepnie w swym dawnym uporze i rozmachu, przypominającym żywy ruch kulturalny i „wiosnę przebudzenia" z czasów austriackich. Tym razem jednak manifestacja ta geograficznie umiejscawia się na małym skrawku ziemi cieszyńskiej za Olzą. Z tej właśnie części Śląska Cieszyńskiego wywodzą się wszyscy prawie wybitniejsi pisarze śląscy, tym razem przebijający się już daleko poza dawniejsze opłotki śląskie.

Tutaj także w roku 1937 w Czeskim Cieszynie, samorzutnie zostaje zorganizowany „Śląski Związek Literacko-Artystyczny" (SZLA), który rozpoczyna żywą działalność kulturalną w kilku wytyczonych sobie kierunkach. Książki wydawane nakładem tego Związku, wzbudzają powszechne zainteresowanie. A prócz tego, członkowie SZLA „idą w teren" z wieczorami literackimi, na które zazwyczaj składa się odczyt o literaturze, deklamacje utworów przez literatów śląskich oraz występy chórowe (śląskie pieśni ludowe), czy też inscenizacje sceniczne. Pamiętne są te zajazdy literatów śląskich do różnych wiosek łącznie z chórem młodzieżowym, zorganizowanym wtedy przez prof. P. Trombika. A na takie wieczory literackie szła gromada „aktorów" ze śpiewem już „przez dziedzinę".

FRANCISZEK POPIOŁEK:

Gnojnik wioska w Cieszyńskim, w której długie lata żył i pracował poeta śląski Jan Kubisz.

Kiedy tę wieś założono, nie wiadomo. Nie ma jej jeszcze w spisie miejscowości Śląska Cieszyńskiego z początku XIV w., istniała już jednak w XV wieku jako osada gospodarcza książąt cieszyńskich. Gospodarstwo książęce obejmowało pierwotnie cały Śląsk Cieszyński, stacje gospodarcze rozrzucone były w różnych częściach Księstwa, w jednym miejscu była Obora, w której książę trzymał bydło oprócz krowiarni pod samym zamkiem (Podobora), w innym miejscu był „gnojnik", jeszcze w innym: „gumna", gdzieindziej mieszkali „kowale" książęcy. Miejsca te obsługiwali poddani księcia, z których z czasem utworzyły się osady chłopskie. Tak było i z Gnojnikiem.

O jego mieszkańcach pierwotnych i późniejszych nie mamy wiadomości z czasów późniejszych dlatego, że wieś ta niedługo pewnie po założeniu dostała się w ręce szlacheckie i w nich pozostała z przerwami do naszych czasów, a z szlachty tylko niektórzy pozostawili zapiski dotyczące administracji. Wszak nawet Laryszowie, właściciele wielkich majątków, nie mają w swym archiwum oprócz dokumentów familijnych żadnych akt dotyczących dawnego zarządu posiadłości i napróżno ich w Karwinie szukałem. O tych wsiach szlacheckich, które zakupiła Komora przy końcu XVIII w. pewne akty dostały się do jej rąk i znaleźć je można w jej archiwum.

O mieszkańcach Gnojnika, o ich stosunku do właściciela wsi, o ich powinnościach można wnosić tylko z porównania z sąsiednią wsią Trzycieżem. Trzycieżanie bowiem musieli uiszczać na rzecz pana (Mitrowskiego) daniny w pieniądzach, zbożu, kurach, jajach, pracować całymi dniami, — siedlacy z końmi i wozem, inni pieszo, — na ziemi pańskiej, pełnić wszystkie czynności związane z gospodarstwem pańskim, opatrywać stawy rybne, prząść, mieć starania o owoce i pracę nad ich zbieraniem i suszeniem. Jedzenie przy pracy dostawali, ale tylko przy koszeniu i żniwach (na śniadanie „polewkę" z chlebem, na obiad 3 potrawy, na „swaczynę" mleko lub „kiszkę" z chlebem, a na „wieczerzę" 2 potrawy, nadto po kawałku chleba na dzień). (Trzycież, dokument z 1638 r., archiwum Komory, plik 48.) Takie same powinności ciążyły zapewne na poddanych wsi Gnojnika (w aktach czeskich przychodzi zwykle nazwa Hnojnik) wobec jej właścicieli.

Więcej wiadomości mamy o właścicielach Gnojnika. W r. 1445 był nim książę Przemysław, który darował jakiemuś Stasiekowi z „Gnoynika" pół łanu pola nad miastem Cieszynem. Lecz jeszcze w wieku XV miał go Jerzy z Bukowca, który go jednak odstąpił ks. Kazimierzowi wraz z Gruszowem i Koniakowem (1483), (archiwum cieszyńskie).

W r. 1506 posiadał Gnojnik Jan Bruzowski, który go sprzedał Gelhornowi z Bankowic za 50 zł, za zgodą ks. Kazimierza, który przy tym pozwolił kupującemu polować na Goduli i innych niższych górach, zastrzegając dla siebie tylko polowanie na wyższych górach. Gelhorn otrzymał od księcia również prawo paszenia świń, „gdyby „bukiew" w tych górach obrodziła".

Przez dłuższy czas posiadali Gnojnik Pielgrzymowie. Nazwisko to pojawia się w aktach w różnych postaciach: najpierw łacińskie: Peregrinus, po polsku Pielgrzym (1322 i 1449) właściciel Trzankowic lub Strzankowic czyli Trzanowic, które były ich posiadłością rodową, potwierdzoną Pielgrzymom przez księcia Adama Wacława (1607), (akta szlacheckie), także Pilgrim, Pilgersim, Pelgrzym, w aktach czeskich zwykle Pelhrzym lub Pelhrzim. Do rodziny tej należały w różnych czasach także inne wsie w Cieszyńskim, oprócz Gnojnika i Trzanowic, jak Kaczyce, Sucha Dolna, w której Rudolf P. sprzedał Reyswiczowi z Kędzierzyna kilka poddanych (1704), Olbrachcice, Błędowice Górne, posiadłość wolną w Bobrku, dom w Cieszynie, Wielopole, Koniaków, Pogórze, Żuków Dolny, chwilowo Śmiłowice (sprzedane w r. 1587). W r. 1687 już nie mieli Pielgrzymowie Gnojnika, tylko Franciszek Albrecht Wildau z Lindewiese (na Śląsku Zachodnim).

Z życia prywatnego Pielgrzymów niektóre wiadomości przychodzą w aktach sądu ziemskiego czyli szlacheckiego. Wdowa po Wacławie P. musi odpowiadać przed sądem za to, że poddany jej, wójt z Ligoty Średniej, wyciął w lesie należącym do Zygmunta Tluka z Toszonowic 70 buków (1573). W r. 1597 została zawarta przed sądem „dobrowolna umowa" między Janem Rudzkim i Melcharem P. z Strzankowic. Rudzki zaskarżył P. o to, że ten „obelżywymi słowami ubliżył jego dobrej sławie i poczciwości". P. zaręczył, że tego nie zrobił. Sąd nakazał przeprosić skarżącego tymi słowy: „Panie Janie Rudzki, obwiniliście mię, że Wam i matce waszej ubliżyłem, o czym nie pamiętam i proszę o odpuszczenie mi tego, gdyż nic złego o Was i o pani matce Waszej nie wiem i uważam Was za uczciwych, szlachetnych i dobrych rycerskich ludzi." Nadto sąd nakazał oskarżonemu „stawić się na ratuszu cieszyńskim i siedzieć tam cztery niedziele". W r. 1710 jest zanotowana w aktach sądowych skarga szlachcianki Pełkownej przeciwko Juliuszowi P. o ciężką obrazę czci (słowa obrazy przyzwoitość nie pozwala przytoczyć). Sąd, w uwzględnieniu tego, że P. był pijany, skazał go na siedzenie 12 tygodni w więzieniu miejskim na ratuszu i na zapłatę znacznej kwoty pieniężnej. Inne akta sądowe dotyczące P. odnoszą się do spraw cywilnych. Tak Pielgrzymówna Katarzyna na Koniakowie skarży swego brata na Pogórzu, że po śmierci Balcara P. zabrał wszystko co po nim pozostało: pieniądze, sprzęty, dom w mieście i przy mieście, a nie chce jej dać przypadającej na nią należności (1591). („Puhony" w muzeum Szersznika.)

Ostatni właściciele Gnojnika, Beesowie, przyszli do posiadania tej wsi w r. 1761. Kupili od księcia razem z prawem brania drzewa z lasów w Ligotce i Lesznej. Nazwisko rodzinne brzmiało również różnie w czasach ubiegłych, bez względu na język dokumentów. Beesowie przybyli z Niemodlina na Śląsku Górnym, lecz wywodzili się z Myszowicz. Byli na Śląsku już w r. 1358. Pierwotne nazwisko było prawdopodobnie: Bies (djabeł). W roku 1597 był Wacław „Bies" właścicielem Suchej Górnej. W r. 1562 Mikołaj „Bias" kupił Łyżbice, był urzędnikiem książęcym, w 1607 Bes (skrócone nazwisko) z Kolna miał Katowice i Pstrążną na Śląsku Górnym (według Urkundenbuch w sądzie okręgowym cieszyńskim). Jeszcze była w r. 1613 Barbara Biesówna, lecz od XVII w. przybrali stałe nazwisko: Bees, które nie przypomina dawnego Biesa. Posiadali (1766) oprócz Gnojnika i Rakowca także „twierdzę" w Leśnej Dolnej z dworem, Koniaków, Niebory i Łyżbice, piastowali również jak Pielgrzymowie różne urzędy i należeli do przedniejszej szlachty z tytułem baronów. W r. 1704 miał Bees sprawę przed sądem ziemskim z Pielgrzymem, ponieważ „go uderzył ciężko w twarz". Za to musiał siedzieć na ratuszu 3 tygodnie i tytułem kosztów zapłacić skarżącemu 12 grzywien. (Protokóły sądu ziemskiego w Muzeum.)

Szkoły nie miał jeszcze Gnojnik w XVII w., dopiero wspomina o niej Kneifel w Topographie Schlesiens, ale w r. 1442 Zbigniew, syn Przecława z Gnojnika był zapisany na uniwersytet krakowski, a 1465 znowu jakiś syn Klemensa z Gnojnika uczęszczał na ten uniwersytet. Możliwe jednak, a nawet prawdopodobniejsze, że obaj pochodzili z Gnojnika w Królestwie Polskim w okręgu brzeskim.

O kościele filialnym w Gnojniku pisze kronika parafialna cieszyńska, pod r. 1667, że w nim miała być wtedy postawiona nowa kaplica z kryptą. Z powodu braku księży zostały Gnojnik i Domasłowice złączone w jedną parafię (Richard, Beschreibung d. Herz. Teschen). Był to kościół drewniany. Stawiał go Jan Kohutek z Toszonowic Górnych, natomiast cieśle z Gnojnika (Dulawa) i Rakowca (Molin) stawiali wieżę w najpiękniejszym śląskim kościele drewnianym w Gutach. Kościół gnojnicki walił się. Dlatego właściciel wsi Karol br. Bees, kanclerz Księstwa Ciesz. prosił cesarza, aby zamiast przyznanego mu kiedyś drzewa na opał pozwolił mu wziąć z lasów książęcych drzewo na odbudowę „walącego się" kościoła w Gnojniku. Cesarz zgodził się na to i Bees miał dostać 281 drzew na budo-

Zygzakiem po dniach minionych

Tak pojmowano wówczas u nas t. zw. kulturę mas, szerzenie kultury wśród prostego ludu śląskiego. Dopełnieniem SZLA, było później wydawane pismo (literatura, sztuka, satyra, humor) literackie p. t. „Sztorcem", którego pierwszy numer musiał — ze względu na popyt — zostać wydany aż w czterech nakładach! Śląski Związek Literacko-Artystyczny był organizacją literatów, art.-malarzy i młodych muzyków śląskich. Prócz literackiej i oświatowej działalności, SZLA urządzało także wystawy malarskie. Jedną z takich wystaw w Cieszynie Cz. zwiedziło kilka tysięcy ludzi, rekrutujących się wyłącznie ze sfer robotniczo-chłopskich.

Jeśli zaś przeglądniemy wydane przez Syndykat czeskich pisarzy w Pradze sprawozdanie za rok 1937 (oddzielny druk!) p. t. „VÝROČNÍ ZPRÁVY Syndikátu československých spisovatelů a hudebních skladatelů za r. 1937" to zaraz na pierwszej stronie, odnajdujemy tam takie — dla czasów dzisiejszych, bardzo charakterystyczne — zdanie:

„Po stránce organisační sluší připomenouti, že do Syndikátu vstoupili hromadně polští spisovatelé z Československa, členové Śląskiego Związku Literacko-Artystycznego w Czechosłowacji".

Wydaje się jednakże, że Syndykat pisarzy czeskich dość dokładnie zapomniał o tym przytoczonym powyżej zdaniu w roku 1945 aż włącznie do chwili bieżącej. Mimo licznych starań (a wie o tym dobrze i Syndykat pisarzy czeskich w Pradze!) „Śląski Związek Literacko-Artystyczny" nie może wznowić z przyczyn od siebie niezależnych swej działalności.

Szk.

Za niesmaczną powieść otrzymał autor milion dolarów?

Jeden ze zagranicznych polskich tygodników literackich podaje wiadomość o tym, jak to znany jeszcze przed wojną grafoman warszawski, niejaki A. Gronowicz otrzymał w Ameryce za swą powieść nie mniej nie więcej tylko... milion dolarów honorarium. Posłuchajmy jak to było:

„Niejaki Antoni Gronowicz, wydał w Stanach Zjednoczonych w roku 1941 utwór p. t. „Narodziny miłości Hitlera". Ów Gronowicz, grafoman a oficjalnie „futurystyczny poeta", uzyskał (jakżeby inaczej) stypendium na studia w Stanach przed wojną, wrzesień 1939 zaskoczył go w Nowym Jorku, stypendium się skończyło, i poeta, pewnie dla chleba, napisał to powieścidło. Mniszkówna i Marczyński byli wielkimi pisarzami w porównaniu z Gronowiczem. Miał on jednak pomysł genialny: tytuł. Gdyby jego książka nazywała się „Żona Mr. Browna" nie sprzedałby dwudziestu egzemplarzy. Bo oto próbki stylu: „Hitlerowa spojrzała na Hitlera bladym wzrokiem swych zielonych źrenic, po czym leniwym, tygrysim skokiem swych alabastrowych bioder przewróciła się na drugi bok". Ale tytuł zrobił swoje. Książka, przetłumaczona do języka angielskiego, zrobiła furorę: wszystkie stenotypistki i sklepówki, jadąc rano do pracy, czytały ją w kolejce podziemnej lub w autobusie. Mówiono, że Gronowicz zarobił na niej milion dolarów (50 milionów koron — przyp. nasz).

„Półgłówkom udaje się czasem w zdumiewający sposób odgadnąć przyszłość. Faktem jest, że Gronowicz jakimś cudem nazwał swoją Hitlerową Ewą, gdy jeszcze nikt na świecie o Ewie Braun nie słyszał, i że powieść kończy się wspólnym samobójstwem małżonków Hitlerów. I właśnie przez zażycie trucizny".

Tyle podaje wspomniany tygodnik. Od siebie możemy dodać, że jest jeszcze w dobrej pamięci ten fakt, kiedy przedwojenny tygodnik literacki „Prosto z Mostu", gwoli uciechy swych czytelników, podawał „próbki wierszy A. Gronowicza, atakując Fundusz Kultury Narodowej za przyznanie skromnego stypendium temu autorowi. A aby wiadomość o tym poecie, „który umiał się urządzić" była kompletna, możemy dodać, że A. Gronowicz w Stanach Zjednoczonych wydał nie tylko „Narodziny miłości Hitlera"... ale także i inną książkę, tytuł tej książki brzmi w języku angielskim „The Piast" (Piast). Jak wynika z inseratów prasy amerykańskiej jest to pono wyczerpująca „historia" o chłopach polskich... wprost od praszczura Piasta ... Gopła i Kruszwicy. er.

---

wę, kołumny, pawłacz i podcienia" (1751). (Jakób Dworzak, naczelny regent Ks. Ciesz. korespondencja, archiwum Komory plik 22.)

Gnojnik jest pamiętny przez to, że tam złożyli Niemcy w czasie wojny część najbardziej wartościowych zbiorów wywiezionych z Muzeum cieszyńskiego, które dotąd nie wróciły.

Gnojnik miał w r. 1880 ludności 597, w tym 96% Polaków, w 1910 — liczba mieszkańców zmalała zamiast wzróść w ciągu 30 lat, a w r. 1930 miał Gnojnik 773 mieszkańców w tym 33% Polaków, 60% Czechów.

Niezorane ugory

Kukiełki utorują sobie drogę do duszy dziecka

Zagon kultury śląskiej leży jeszcze odłogiem. Dwa lata wolności od ukończenia działań wojennych a pokonania znienawidzonego hitleryzmu, który jak deszczem ulewnym oblał ziemię śląską, nie przyniosły zasadniczo żadnej zmiany. Okres ten moglibyśmy nazwać wyczekiwaniem, jak zostaną pokierowane dalsze losy nasze, naszej kultury, naszego życia duchowego. Twórczy duch młodzieży rwał się do lotu, zapał ponosił, kipiał jak wrzątek w garnku szukając sposobu wyżycia się, wykazania swych wartości w realnym czynie i rzetelnej i sumiennej pracy.

A przecież ten zagon kultury śląskiej przed ostatnią wojną przedstawiał się naprawdę wspaniale. Rozkwitał on najwspanialszym kwiatem i budził uznanie i szacunek nawet u obcych.

Konkretnie mówiąc byliśmy daleko naprzód w każdej niemal dziedzinie. Potrafiliśmy całokształt pracy ująć w ściśle określone ramy i nadać jej taki a nie inny kierunek. Dlatego też wyniki pracy były więcej niż zadowalające.

Zdobyliśmy się nawet na rzetelny wysiłek artystyczny przez ześrodkowanie najwartościowszych jednostek, które przed tym rozdrabniały się i wyczerpywały zbyt wielkim wysiłkiem napotykanym na własnej nie zawsze szczęśliwie wybieranej drodze.

W każdej dziedzinie wysiłku twórczego na niwie kultury stanęliśmy na wysokości zadania.

Na wysokim poziomie stało nasze śpiewactwo, zrzeszone w Związku Polskich Chórów. Posiadaliśmy w każdym z powiatów po kilkadziesiąt chórów, o poziomie których niech świadczą liczne sukcesy zdobyte nie tylko w kraju, ale i za granicą. W każdej wiosce istniało kółko dramatyczne, świetlica, biblioteka, oddział turystyczny Beskidu, a w wielu klub sportowy. W roku 1936 zapuszczono radło w najświeższy ugór nietknięty dotychczas na naszym kulturalnym zagonie śląskim. Był to teatr kukiełkowy. Znalazło się wtedy kilku ludzi zakochanych w teatrze, którzy nie zważając na żadne trudności, chwycili się pracy, zdobywając od razu na początek poklask i uznanie.

Widzę, jakby to dziś było, salę napełnioną po brzegi, że, jak się to popularnie określa, szpilki by nie wsadził, główka obok główki, a oczy zapalone zachwytem patrzyły bez drgnienia na zainstalowaną scenkę umieszczoną na podwyższeniu. Przed oczyma, na które został rzucony urok, działy się cuda, bajka nie-bajka, bo dla dziecka to wszystko rzeczywistość, a młoda i bujna wyobraźnia dotwarzała sobie jeszcze bogactwo obrazów. Płynie cichuteńka melodia „Wieczornej godziny", rzuca ciszę na młode oczy, by je następnie zapalić zapałem słów wypowiedzianych przez dorodnego królewicza, który nie boi się żadnych przeszkód, by dokonać bohaterskiego czynu i uwolnić więzioną królewnę. A kiedy skończyło się samo przedstawienie, akcja odegranej przez kukiełki sztuczki snuła się przed oczyma tej młodzieży dalej. I niech no który później wspomniał, że znów zawita teatrzyk kukiełkowy do szkoły, to już wszyscy o niczym innym nie marzyli, jak tylko o nowej sztuczce, i doczekać się nie mogli tego dnia, kiedy znów będą mogli przeżyć kilka najpiękniejszych chwil.

Teatr kukiełkowy ma olbrzymie znaczenie i wielką rolę ma do spełnienia w wychowaniu młodzieży, a zwłaszcza tych najmłodszych. Oczywiście, że repertuar teatru kukiełkowego musi być, że się tak wyrażę — wybredny, wartościowy, ponieważ dziecko przyjmuje wszystko bezkrytycznie, i tak jak dobry teatr kukiełkowy dużo dobrego zdziałać może wśród młodzieży, tak zły znowu dużo złego może zawinić.

O doniosłości teatru kukiełkowego czyli marionetkowego pisał już nestor pisarzy śląskich Jan Kubisz w „Pamiętniku Starego Nauczyciela". Kukiełki czyli marionetki już od przeszło stulecia znane są na naszym terenie, tylko że traktowano je wyłącznie jako uciechę i tylko rozrywkę dla dzieci z jednej strony a jako środek zarobkowania różnych wędrownych komediantów z drugiej strony. O tym tak pisze Jan Kubisz:

„I nam, dzieciom, również urządzała karczma zabawę, na pozór niewinną i przez szkołę dozwoloną — komedie z lalkami! Był to teatr marionetek, ale w bardzo prymitywnej postaci. Urządzał go u nas dwa razy do roku, wiosną i jesienią, niby oficjalnie komediant Czech".

Później będąc na posadzie jako nauczyciel rozmyślał nad tym, dochodząc do poważnych wniosków i zapytań:

„Dlaczego my takich przedstawień dla młodzieży nie urządzamy? Dlaczego my z nimi nie objeżdżamy całej naszej krainy wszerz i wzdłuż?"

I my dzisiaj podobnie moglibyśmy zapytać się. Jesteśmy jednak w szczęśliwszym położeniu. Mamy ludzi zdolnych, którzy z całym zapałem bez niczyjej inicjatywy chwycili się pracy. Ot po prostu jak rolnik, który bierze pług i wychodzi w pole, by zorać zagon.

---

80 lecie Piotra Bezrucza

Jak dopiero teraz podaje jedno z pism czeskich, bawił w czerwcu b. r. w Łomnej autor owych „Slezských písní" — Piotr Bezrucz. Bezrucz bawiąc w Łomnej, udał się do starej puszczy na stokach łomniańskich, zwanej ludowo „na Miąższu". W puszczy tej, jak podaje wspomniane pismo czeskie, rosną do dziś jodły przeszło 500 lat stare. Jak wiadomo puszcza ta kiedyś należała do Komory Arcyksiążęcej w Cieszynie. Aby więc obejrzeć pięćsetletnie jodły i pobyć na tych miejscach, gdzie kiedyś na polowania uczęszczał „markiz Gero", zajechał Bezrucz do Łomnej. Jest to drugi pobyt Bezrucza „przy Cieszynie". Pierwszy z tych pobytów miał miejsce w Trzyńcu, gdzie Bezrucz bawił przed wielu laty (w czasie plebiscytowym). Dnia 15 września b. r. obchodził Piotr Bezrucz swe osiemdziesięciolecie urodzin.

100 lat książki na Śląsku

Śląsk Cieszyński uroczyście obchodzić będzie 100-lecie polskiej książki dnia 12 października br. Uroczystości jubileuszowe organizowane przez Macierz Szkolną Ziemi Cieszyńskiej, odbędą się w Cieszynie pod protektoratem ministra Oświaty, oraz ministra Sztuki i Kultury. Program tej uroczystości przewiduje ponowne wmurowanie tablicy pamiątkowej na gmachu hotelu „Pod Wołem" — ufundowanej na cześć Stalmacha przez Komun. Kasę Oszczędności w r. 1935. Tablica ta przetrwała lata okupacji w bezpiecznym ukryciu fundatora. Następnie odbędzie się złożenie wieńców na grobach Stalmacha i Cińciały, a zakończeniem programu dopołudniowego, będzie uroczysta akademia w Teatrze Miejskim. Pięknym dopełnieniem programu uroczystości jubileuszowej, będzie **Okręgowy Zjazd Śpiewaczy,** którego zbiorowy występ chórów, a następnie konkurs śpiewaczy odbędzie się tego samego dnia w godzinach popołudniowych.

Komitet Organizacyjny uroczystości jubileuszowych przygotowuje również wydanie JEDNODNIÓWKI, w której przedstawiony będzie rozwój i osiągnięcia kulturalno-oświatowe na Śląsku Cieszyńskim. Komitet czyni starania wypuszczenia pamiątkowej edycji **znaczka pocztowego** z portretem Stalmacha i Cińciały.

Kukiełki utorują sobie drogę do duszy dziecka

I kukiełki znalazły swego protektora, który na scenie dla młodzieży (i starsi chętnie oglądać je będą, jak wykazało przedstawienie w Końskiej i Cieszynie) ożywił martwe kukiełki, kazał im tańczyć, śpiewać i gadać i rozweselać. Jest nim skromny pionier pracy teatralnej, Adam Wawrosz z Końskiej, który dał się już niejednokrotnie poznać na scenie jako dobry amator, a nawet jako autor szkicu scenicznego w dwu obrazach pt. „Co po nogle, to po dioble".

Obecnie chwycił się pracy na niwie leżącej dotychczas zupełnie odłogiem, na której przed wojną również stawiano pierwsze kroki, choć już bardzo umiejętnie i na dobrym poziomie. Chwycił się pracy, mając do dyspozycji nic więcej, jak tylko dobre chęci i zapał. To mu widać wystarczyło, by w jak najkrótszym czasie wystawić pierwszą scenę z kukiełkami, którą widzieliśmy w Końskiej i Cieszynie.

Podziwiać tu trzeba wytrwałość, zaradność i pomysłowość. Zamiast krytyki trzeba wyrazić podziw, że znalazł się ktoś, który nie liczy się z trudnościami i idzie śmiało do celu wytyczoną sobie drogą.

Żywimy nadzieję, że pierwszy sukces (tak trzeba zaklasyfikować pierwsze wystąpienie powojennych kukiełek) będzie podnietą w dalszej pracy, która na pewno przyniesie bogatsze plony. Oby w jak najkrótszym czasie wszystkie nasze dzieci miały sposobność zapoznać się z kukiełkami, z nimi ucieszyć się i zaśpiewać piękną piosenkę. Wierzymy, że tak będzie. Kij.

MICHAŁ RUSINEK:

„Z barykady w dolinę głodu"

Warszawa, Kuthan 1946, str. 223.

Wybitny ten pisarz polski po przymusowym milczeniu okupacyjnym odzywa się tym, co jest najdostępniejsze wszystkim — książką. Wymieniona (nową drukuje w odcinkach krakowski „Dziennik polski") nie bawi i nie cieszy, ale „każe wejść w światy dręczące i zamknięte", pokazując w prostych słowach a zamkniętych całościach epizody (z prawdziwymi nazwiskami) zacząwszy i skończywszy na Warszawie. Jest parę obrazków z pamiętnych sierpniowych dni, co sprzysiężyły się powstaniu w pewnych dzielnicach, przedwcześnie licząc na zwycięstwo. Dotychczasowy kat był nadal panem i zapełniać zaczął więzienia i obozy — powstańcami. Barykady stolicy nauczyły uczestników zimnej odwagi i bohaterstwa na dalsze dni, które znajdują swój najlepszy bodaj przykład w wypowiedzi 8-letniego chłopca, który parę minut przed uśmierceniem go w Mauthausen, wypowiedział tak straszne w swej prostocie słowa: „Wiem, że nie będę żył, bo jestem Polakiem. Wy się Polaków boicie i dlatego mnie zaszpilkujecie. Ale Polska powstanie i pomści moją śmierć". Ileż takich bezimiennych bohaterów miał Oświęcim i każdy jeden obóz! Każdy ciemiężony naród powinien pomniki wdzięczności i pamięci tym bezimiennym wznieść. Powstańcy warszawskich barykad (razem z Autorem) dostają się do Mauthausen, Linzu, Melku, gdzie dzień zaczyna i kończy się porcją bicia. A dzień jest długi. Oprócz roboty nakazanej w kamieniołomach, dodatkowa przy cegłach. Ale wytrzymało wielu; nadzieja w zbliżający się koniec „Grossdeutschlandu" napełniała ich serca otuchą; nawiązali nawet łączność z „chłopcami leśnymi" i zorganizowali plan ucieczki. Nagle przewieziono ich do doliny głodu: Ebensee, o której nikt nie wiedział, a która miała zniszczyć pozostałe szkielety wytrzymałych Słowian mauthausenowskich. Tam, w straszliwej poniewierce i głodzie do ludożerstwa posuniętym, śmierć zbiera żniwa w setnym plonie. A jednak połowa więźniów (około 12.000) przeżyła te makabryczne dni i doczekała się wojsk wyzwoleńczych, amerykańskich.

Po pierwszych uniesieniach i wzruszeniach, po zachłyśnięciu się wiewem wolności na obcej ziemi, było trzeba pomyśleć o powrocie do swej ojczystej ziemi. Tutaj okazuje się niezaradność wyzwoleńców. Na placu bitew byli mężni, ale gdy było trzeba ulżyć doli ciemiężonych, o której wiedzieli od lat, okazali się bez głowy. Przewieziono więźniów do strefy sąsiedniej, skąd wrócić musieli do swego obozu na dalsze tygodnie wyczekiwania i prześladowania ze strony niemieckich Austriaków, którzy pod okiem Anglii sprawowali właściwe rządy na modłę hitlerowską. Dopiero wielki przyjaciel Howley zaopatruje należycie więźniów i umożliwia im powrót do swej ziemi. Pierwsze spotkanie z Polską cieszy ich i smuci zarazem. Praca w zniszczonej Warszawie napełnia ich jednakże otuchą, że „każdy dom będzie znowu postawiony".

Książka Rusinka to opis koszmarnych końcowych dni ostatniego półrocza wojny, kiedy wróg szalał w znęcaniu się i torturowaniu człowieka a jednak ten człowiek gnębiony zwyciężył wytrzymałością raczej ducha swego niż ciała i dziś oskarża. Słowa oskarżenia są jednakże blade wobec minionej rzeczywistości, są zaledwie odblaskiem byłych pożarów, a jednak wywołują grozę u czytelnika. — Zawiera książka ta i ważne ostrzeżenie, że Austriacy są nie mniej fantycznymi wyznawcami zasad hitlerowskich i narówni z Niemcami sądzić ich należy. — Książka ta niesie i otuchę w zwątpiałe serca; każe zapomnieć o osobistych aczkolwiek przykrych doznaniach, a zacząć odbudowę tego co zniszczone z myślą o radośniejszym jutrze — B.

SPRAWY KULTURALNE I SPOŁECZNE

SZTUKA POLSKA W TEATRZE CZESKIM

W „Svobodném Divadle" w Brnie odbyła się premiera polskiej sztuki p. t. „Dwa Teatry" Jerzego Szaniawskiego, w reżyserii dyrektora teatru Waltera oraz w przekładzie Heleny Teigowej.

Na premierze obecny był Attaché Prasowy Ambasady R. P. p. Mayen-Szadziewicz. Sztuka przyjęta została bardzo życzliwie przez licznie zebraną publiczność.

Z NOWYM ROKIEM SZKOLNYM W POLSCE

Z nowym rokiem szkolnym 5,000.000 młodzieży i dzieci zapełniło sale i klasy szkolne. W Warszawie po dwóch miesiącach wakacji w 69 budynkach szkolnych zebrało się do pracy około 90.000 uczniów.

Na wybrzeżu liczba uczącej się młodzieży w szkołach wyższych przekroczy 8.000. Wynosić więc będzie około 2.000 więcej, niż w roku ubiegłym.

RADZIECKA EKIPA FILMOWA NA DOLNYM ŚLĄSKU

Celem zapoznania narodów radzieckich z osiągnięciami polskimi w akcji dobudowy i zagospodarowania Dolnego Śląska przybyła do Wrocławia radziecka ekipa filmowa celem dokonania zdjęć.

DELEGACJA AMERYKAŃSKIEJ MŁODZIEŻY DEMOKRATYCZNEJ W POLSCE

Do Łodzi przybyła na zaproszenie polskich demokratycznych org. młodzieżowych 5-osobowa delegacja demokratycznych org. młodzieży amerykańskiej. Amerykanie interesowali się przede wszystkim trwającym obecnie wyścigiem pracy między górnikami a włókniarzami. Z Łodzi delegacja amerykańska udaje się na zwiedzenie dalszych ośrodków przemysłowych i kulturalnych w Polsce.

POMNIK BOJOWNIKÓW WARSZAWY

Zarząd Główny Związku Uczestników Walki Zbrojnej o Niepodległość i Demokrację zgodnie z zaleceniem II Walnego Zjazdu delegatów przystępuje do realizowania uchwały o budowie pomnika Bojowników Warszawy. W najbliższych dniach zostanie powołany komitet budowy pomnika.

Szyndzioły
Dodatek »Głosu Ludu« poświęcony kulturze i sztuce.
NR 8
CZESKI CIESZYN
NIEDZIELA
19 PAŹDZIERNIKA
1947

GUSTAW MORCINEK

Hutnik trzyniecki — bibliofil

W Ustroniu pod Czantorią przy „Gojce" mieszka 70-letni Jan Wantuła.

Nazwisko to nie mówi nic obcemu człowiekowi. Jeżeliby je wyprowadzić od gwarowej wantuli (złom skał, miejsce zawalone kamieniami), możnaby je uważać za „nomen et omen". Lecz i w tym wypadku niczym się nie wyróżni od wszystkich innych zgrzebnych nazwisk śląskich, wywodzących się od imion, przezwisk, przydomków, od rodzaju zatrudnienia, od nazwisk pochodzeniowych czy siedzibowych.

Widocznie przodkowie Jana Wantuły ciężkie mieli życie, gdzieś na podbeskidzkim skaliszczu prowadzone, jeżeli uzyskali taki przydomek, który z czasem stał się ich nazwiskiem.

Lecz i owa wantula, przemieniona w Wantułę nie powie niczego człowiekowi spoza Śląska.

Musi dopiero dowiedzieć się o legendzie, prawiącej o śpiących rycerzach w Czantorii, musi dopiero zajść do Wantułowej schludnej, murowanej chałupy przy „Gojce" pod Czantorią, musi następnie zobaczyć jego wspaniały księgozbiór, złożony z najcenniejszych „białych kruków", owe grube, w świńską skórę oprawne foliały, iluminowane i zdobione sztychami, zamykane na mosiężne skówki, drukowane szwabachą w dostojnym języku staropolskim, musi zobaczyć owe cenne pierwodruki brzeskie, wrocławskie i krakowskie, musi ujrzeć jego Kłapsiów, Dombrowskich z Wilna, Muthmanów z Cieszyna, Grzegorzów z Żarnowca, Trzanowskich z Trzanowic, Gdacjuszów z Kluczborka, Zasadiuszów i Leopolity vel Jana Nicza ze Lwowa, i miły Bóg raczy wiedzieć, kogo tam jeszcze, by nazwisko tego osobliwego a tak bardzo urzekającego człowieka nabrało pełnej treści i by wywołało radosne zdumienie graniczące z Tomaszową niewiarą.

I teraz dopiero przygodny gość, witany życzliwym i jakby zlekka zakłopotanym uśmiechem Jana Wantuły, przekona się snadno, że to potomek tamtych chłopów śląskich, którzy wiedli inny żywot, aniżeli chłopi na reszcie ziem Polski. Że to jakby potomek owego słynnego roździeńskiego Walentego Bruśka, przezywającego się według ówczesnej maniery Walentym Roździeńskim. Był to syn roździeńskiego karczmarza i hutnika Jakuba Bruśka, uważający się za wolnego czyli „swobodnego" człowieka, i który o tę swobodę musiał użerać się ciężko z zawziętą Katarzyną Salomonową z Gorzkowic, dziedziczką „państwa" mysłowickiego. Hutnik Walenty Roździeński wydaje w roku swój rymowany opis „Officina Ferraria abo Huty y warstatu z kuźniami szlachetnego dzieła żelaznego", drukując go w oficynie krakowskiej w roku 1612. Staje się przeto pierwszym pisarzem tak zwanym proletariackim, układa swe z grubsza ociosane rymy pełne obcej dla ówczesnego świata polskiego treści, zdumiewa nowymi pojęciami, dziwi obcym światem śląskiego hutnika. Jan Wantuła zaś, również hutnik ustroński i trzyniecki, nie pisze już rymów, lecz rozprawy naukowe z zakresu bibliofilstwa, a przede wszystkim zamiast rymów układa w swych obszernych szafach bezcenne druki i książki zbierane po strychach śląskich chałup, wygrzebywanych spod kalenic, wyławianych w starych trówlach malowanych, wyszachrowanych za worek jabłek czy zgoła za kopę główek kapusty, kupowanych za swój drobny grosz hutniczy, kwitowanych Bożym słowem i żarzącą się radością w siwych oczach, by zdumiewać polski świat naukowy.

Ileż to razy śląscy akademicy, studiujący na uniwersytecie krakowskim czy warszawskim, zachodzili do niego, by wyprosić z jego szafy jakiś bezcenny druk i by potem ślęczeć nad nim w sadzie i słuchać mądrych wywodów i objaśnień Jana Wantuły. Ileż to razy zachodzili do niego profesorowie uniwersyteccy i łakomym okiem spoglądali na jego skarby, przeglądali je ostrożnie, cmokali z zachwytu, kiwali siwymi głowami, gładzili dłońmi i patrzyli z szacunkiem na pomarszczoną a jasną twarz hutnika Wantuły.

Jan Wantuła bowiem, urodzony w roku 1877 w Ustroniu na Śląsku Cieszyńskim, syn ubogiego „zagrodnika", po skończonej szkole powszechnej pasał najpierw krowy śpiewając przeróżne psalmy luterańskim zwyczajem, a potem pracował w hucie ustrońskiej, a po jej zlikwidowaniu w hucie trzynieckiej.

Z rozrzewnieniem wspomina o tamtych chwilach stary Jan Wantuła.

W sadzie brzęczą pszczoły i rumienią się jabłka, Czantoria ciemnieje w błękicie granatową ścianą i pachnie żywicą, na miedzy pasą się krowy i pobrzękują dzwonkami u szyi a Jan Wantuła, człowiek już stary a jeszcze tak młody, o roześmianych oczach dużego dziecka, głaska rozłożone na stole foliały i opowiada o nich niesłychane historie. Każdy jego pękaty Wujek czy Rey czy zgoła inny Gdacjusz posiada dwie historie. Jedna z nich głosi rodowód książki, wyliczane bywają daty, kształty czcionek, oficyny, nazwiska i pojęcia, jakieś tajemne wyrazy bractwa bibliofilskiego, że trzeba potem sięgać po encyklopedię, by to wszystko dokumentnie zrozumieć. *(c. d. str. 2)*

Jan Wantuła

Na ważnym odcinku pracy

Każde społeczeństwo z aspiracjami społeczeństwa twórczego, każde żywe społeczeństwo, które w swym rozwoju pnie się coraz wyżej, musi swą żywotność wykazać, musi włożyć pewien wkład wysiłku twórczego w ogólny dorobek kultury i sztuki, którego poziom jest głównym miernikiem wartości społeczeństwa.

Społeczeństwo polskie na Śląsku ma wysokie aspiracje. Samorzutnie kroczy naprzód, zyskując coraz poważniejsze osiągnięcia.

Społeczeństwo to wydaje spośród siebie jednostki nieprzeciętnie zdolne, które swym twórczym wysiłkiem roztaczają przed nim nowe horyzonty. Jest ich nawet sporo. Są literaci, malarze, muzycy. Wszystkich łączy jedna idea — idea ofiarnej służby dla społeczeństwa, z którego wyszli.

Przed wojną zrzeszyli się w swym samodzielnym związku, który nosił nazwę Śląskiego Związku Literatów i Artystów z siedzibą w Czeskim Cieszynie. Obecnie, kiedy cała praca kulturalna została ujęta w ramy dwu polskich organizacyj SMP i PZKO, przedwojenny Śląski Związek Literatów i Artystów zmienił się na sekcję jednego z tych związków, mianowicie w pewnej mierze nadrzędnego Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego.

Członkowie sekcji, czynni literaci, malarze i muzycy, zebrali się już dwukrotnie, by omówić cele i zadania sekcji. Omówiono jej regulamin i wybrano zarząd.

Jej pole działania jest bardzo obszerne. Sekcja będzie organem opiniodawczym we wszelkich sprawach literacko-artystycznych na naszym terenie. Organizować będzie wystawy brazków i rzeźb, wszelkiego rodzaju wydawnictwa, oraz wieczory literackie i muzyczne.

Członkowie sekcji zadzierzgną jak najściślejszy kontakt ze społeczeństwem przez cały szereg imprez, z którymi zawitają w miarę możliwości do wszystkich wiosek.

Hasłem sekcji będzie praca dla naszego społeczeństwa. Członkowie sekcji przekonani są, że całe społeczeństwo spontanicznie i manifestacyjnie poprze ich w ich pionierskiej pracy i należycie oceni każdy ich wysiłek twórczy.

pg.

HENRYK JASICZEK

Zwycięstwo Fryderyka Chopina

(1. III. 1810—17. X. 1849)

Wielkość narodu mierzy się wielkością czynów, twórczym wysiłkiem w zdobywaniu wartości moralnych i materialnych. Mniemano dawniej, że najkrótszą drogę do wielkości wyrąbywuje się szablami. Długo trwało zanim zauważono, że chłop kroczący za pługiem wysiłkiem czynu tworzy wielkość narodu, tak jak górnik kilofem wykuwa pomnik wielkości swej ojczyzny.

Droga do wielkości prowadzi niemniej na skrzydłach muzy, w wiecznym pięknie sztuki, twórczego artyzmu pióra, dłuta, pędzla. Wielcy poeci, kompozytorzy, muzycy, malarze, rzeźbiarze byli częstokroć najlepszymi ambasadorami swej ojczyzny na dalekim świecie.

Prawdziwa sztuka jest potęgą nie znającą granic przestrzeni i czasu. Muzyka w sztuce wypowiada to, co ani w słowach, ni w obrazie ująć i wypowiedzieć się nieda. Muzyka dociera do sedna duszy, jest narkotykiem podniecającym czy też kojącym.

Geniusz muzyczny — Fryderyk Chopin (Szopen) ujarzmił tony w swoistą, urzekającą muzykę szopenowską. Melodia Chopina — — to smutek marzyciela, to tkliwa rzewność, czy też coś dumnego, radosnego zadzierżystego. Chopin odzwierciadlił duszę narodu polskiego. W jego muzyce marzy, tęskni i raduje się Polska. Aczkolwiek urodził się z ojca Francuza był, czuł się i zmarł jako Polak. Jego ojciec Mikołaj był nauczycielem rodem z Alzacji. Do Polski przybył we wczesnej młodości. Pracując jako nauczyciel u hr. Skarbka w Żelazowej Woli ożenił się z Justyną Krzyżanowską.

1 marca 1810 urodził się im syn Fryderyk. Od dziecka był bardzo wrażliwy i uczuciowy, marzyciel o współczującym i szlachetnym sercu. Bolała go ludzka bieda i niedola. Pokochał wieś polską jej prosty lud. Będąc 8-letnim chłopcem zysk z pierwszego koncertu poświęcił ubogim.

Studiował i zamieszkał na stałe w Warszawie. Chętnie jednak odrywał się na wieś, wsłuchiwał się w melodie grajków karczemnych, pieśni pastuchów i z wątków melodii ludowych wyczarowywał na swym fortepianie cudne melodie. Proste mazurki, kujawiaki, oberki przetworzone i wzbogacone jego geniuszem muzycznym ubrane w szatę królewską jego artyzmu, wędrowały w świat, który przez muzykę Chopina zapoznawał się z Polską.

W roku 1830 wyjechał Chopin do Paryża pozostając już do zgonu za granicą. Jego tęsknota za krajem uderza z jego dalszej twórczości. W jego muzyce odczuwa się wizje polskiej wsi. Oto jak trafnie ujmuje twórczość Chopina St. Przybyszewski: W jego muzyce staje przed oczyma nasza ziemia, z oparów jesiennych wyłaniają się wierzby przydrożne, na pustym ugorze srebrzy się światłem miesiąca upiorny krzyż, w bezustannej słocie przewłóczy się leniwo dym z nędznych chałup, nadwiślańskich, na polach gnije szczecina zżętego żyta, szron zwarzył drzewa i łąki, a w duszy ból cierpienie i żal, żal za tą Polską, tą jedyną, z jej majem i jesienią, i nutą swojską oberka, kujawiaka, czy też mazurka, co w otwartym oknie karczmy na cały świat się rozlega."

Chopin wyczuwał intuitywnie przedwczesną śmierć. Zwierzał się z tym swoim przyjaciołom. Stworzył, może dla siebie, nieśmiertelny marsz pogrzebowy, grany na ostatniej drodze wielkich i prostaków tego świata.

Zmarł w Paryżu mając 39 lat życia 17 października 1849. Żyjąc na obczyźnie nosił stale na piersiach woreczek z grudką ziemi rodzimej, którą ofiarowali mu rodacy przed wyjazdem do Francji. Ziemię tą włożono mu do trumny.

Obecnie społeczeństwo polskie porusza sprawę przewiezienia prochów genialnego rodaka do swej ojczyzny z cmentarza Pere Lachaise.

Fryderyk Chopin zamknął w swej twórczości najwrażliwsze drgnienia duszy polskiej. Jego muzyka była pokrzepieniem w ciężkich dla narodu latach niewoli. Hitler bał się oddziaływania siły i wpływu muzyki szopenowskiej na ujarzmioną dumę narodu. Wydał zakaz grania utworów Chopena na terenie Gubernatorstwa. Muzyka Chopina krzepiła, wzmacniała i podnosiła na duchu mimo zakazu.

Usunięto i zniszczono piękny pomnik Chopina w Łazienkach, jedną z symbolicznych ozdób stolicy, dzieło W. Szymanowskiego. Lecz nieśmiertelny Chopin walczył w konspiracji. Na tajnych zebraniach, po piwnicach i przy zamkniętych drzwiach słuchano jego muzyki. Tej muzyki, w której wielki kompozytor zaklął swoją wierność i przywiązanie do kraju a przede wszystkim tęsknotę za utraconą ojczyzną.

Dlatego Chopin w czasie okupacji był taki bliski i tak rozumiany przez ujarzmiony naród.

Zwyciężył Chopin — jego muzyka, jego wielkość, patriotyzm i człowieczeństwo.

*

Henryk Jasiczek

SZUMIĄ SOSNY

Gdy myślisz żeś samotny, to odkrywasz siebie --
Rozmawiasz z kwiatami i ptakom rozumiesz,
Czy też gwiazdy witasz znajome na niebie,
Treść hymnu wyczuwasz w sosnowym poszumie.

Gdy tęsknotę wygrywasz, czy nastrój radosny,
Zamyślony uderzasz sercem o klawisze,
Za oknem tak samo wtórują ci sosny
Grają sosny Chopina, szumią coraz ciszej . . .

*

Muzyka wyraża najlepiej, po milczeniu, to, co jest niewyrażalne. *ALDOUS HUXLEY.*

Hutnik — bibliofil

Druga historia opowiada, w jaki to sposób jedna i druga książka została uratowana przed zagładą podczas okupacji niemieckiej, w jaki sposób dostała się przedtem do jego szafy, jak ją zdołał uchronić przed zbutwieniem pod dachem starej chałupy śląskiej, jak ją wydobyć spod jakiejś komody, gdzie zastępowała wyłamaną nogę, by na jej miejsce wsunąć cegłę, jak handlował się o nią, układał, dobijał targu, ba nawet przepijał litkupem wbrew swym zasadom, a w końcu jak ją niósł do domu z taką samą radością, jak gdyby „siedział na złotym koniu".

Jan Wantuła wstaje i podchodzi do szafy. Wydobywa grube tomiska i wdzięczne jakieś „elzewiry", miniaturowe książczyny mocno już pożółkłe i opasłe książyska, pokazuje gościowi, każe oglądać i podziwiać kształt czcionki, nazwę jakiegoś dalekiego miasta, w którym były wydrukowane, prosi żeby przeczytać jeden i drugi ustęp w języku Kochanowskiego i Skargi, zachwyci drzeworytami i sztychami, dotyka papieru i skórzanej okładki i raduje się zdumieniem gościa. Zwłaszcza jeżeli doszuka się u niego przynajmniej drobiny miłości do książki. Odnosi się wtedy wrażenie, że Jan Wantuła dzieli się swoim sercem.

Mało tego.

Oto wydobywa z drugiej szafy przeróżne książki z dedykacjami. Jest tam i Julian Ochorowicz i Bolesław Prus, jest Władysław Orkan i Maria Wysłouchowa i tylu jeszcze innych. Ze wszystkimi znał się osobiście, wszystkich gościł u siebie i czarował swoimi zbiorami.

Największą chyba radość przeżywa, gdy może pochwalić się swym Jurą G a y d z i c ą z Cisownicy. Mniejsza już o jego chłopski diariusz, pisany w okresie wojen napoleońskich, chociaż i to posiada już ogromną wartość z tego względu, iż ów „pismak" Jura Gaydzica, furmaniący po dalekim świecie, swój pamiętnik pisał wtedy, gdy w Polsce niejeden szlachcic kładł swój podpis trzema krzyżykami. Ciekawszy jego p i e r w s z y exlibris chłopski, na każdej jego książce ręcznie rysowany z taką umiejętnością, że znawcy exlibrisów podejrzewali, iż to drzeworyt odbity w drukarni. Furmaniąc więc po świecie, skupował książki i przywoził do domu. Poza tym spisywał swoje diariusze „dlo pamięci Narodu ludzkiego", a wszystko zdobił swoim exlibrisem. Działo się to między rokiem 1805 a 1840. Janowi Wantule udało się „wycyganić" jeden taki pamiętnik i teraz stanowi chyba najciekawszy unikat w jego bibliotece.

Zazwyczaj bywa, że taki zbieracz starych druków i bibliofil staje się dziwakiem, że swą szafę zamyka na siedem spustów, że w każdym, kto pragnie jego zbiory obejrzeć, dopatruje się chytrego rzezimieszka, że niechętnie pozwala wziąć w dłonie komuś obcemu, a nawet nieobcemu, jedną ze swoich książek, patrzy podejrzliwie na palce jego, drży z obawy, że gdy się odwróci, to ów gość książkę wsunie do kieszeni a potem zaprze się w żywe oczy, że jej nie miał w dłoni, że jej wcale nie widział! . . . A pożyczyć komu? Boże ochroń! . . .

Jan Wantuła jest szczodrobliwy.

Jan Wantuła nietylko, że kupuje i kupuje książki coraz nowsze, a potem je daruje różnym bibliotekom, jak to na przykład uczynił po obecnej wojnie, ofiarując bibliotece publicznej w Ustroniu znowu 300 książek, lecz raduje się szczerze, jeżeli może komuś wyświadczyć tę ogromną radość, że mu pożyczy jakiś rzadki okaz bibliofilski. Chociażby to nawet był „biały kruk" w dwóch tylko egzemplarzach, z których jeden znajduje się w bibliotece uniwersyteckiej, drugi u niego. Popatrzy tymi siwymi oczami w proszącego, oceni na poczekaniu je-

JAN BRODA

Z twórczości Gustawa Przeczka

Członek śląskiego Parnasu G. Przeczek po rewii „Słonecznej wolności" w tymże roku, z tym samym zespołem dzieci szkolnych wystawił nową rewię, robinsonadę śpiewno-taneczną p. t. „Poznajmy świat" (4 razy grana w Trzyńcu, 2 razy gościła w teatrze w Pol. Cieszynie) o głębokich walorach wychowawczych, uzasadniających nasze ludowe przysłowie: Wszędzie dobrze, a najlepiej w domu.

Treść: trzech chłopaków wyrusza na „podbój świata", chcąc naocznie poznać to o czym uczyli się na lekcjach geografii czy historii. Przyjeżdżają do Nowego Jorku, gdzie w obliczu niebotycznych gmachów i dotykalnego wprost nerwu wielko-życia są świadkami zabaw i tańców tych bussinesmenów — Spory skok, a gości ich naczelnik szczepu ekurzynów — Polak. — Wędrują dalej. Ruiny Hiroszimy wywołują na młodych wędrowcach refleksję niestałości wszelkich rzeczy na świecie. Wyspy hawajskie są symbolem wieczystej radości, miłości i dobroci. —

Tęsknota za domem rodzimym jest jednak mocniejsza i pokonuje wszelkie inne uczucia. Chłopcy syci wrażeń i przygód wracają z okrzykiem: „do pracy, do pracy, niech trud drogę naszą znaczy!" — Do tej prostej kanwy w haftowanych jest sporo motywów wychowawczych. Przede wszystkim zapoznanie się z obcymi krajami i ich ludem, którego życie odzwierciedla się najdobitniej w pieśni i tańcu narodowym czy ludowym. Chłopcy spotykają na tej włóczędze Polaków co nie tylko radość im sprawia, ale napawa dumą, że Polska nie jest w świecie kopciuszkowatym krajem. Ma ten nowy gatunek rewii szkolnej jeszcze wysokie walory artystyczne. Każda z jej scen rozgrywa się na tle odpowiedniej, ze smakiem dobranej i wykonanej malatury kulis scenicznych (zasługa art.-mal. Zabystrzana), zespołu orkiestralnego, doskonałego baletu i rzetelnej charakteryzacji. Z całości (pomijając słaby wiersz niektórych partii) przebija piękno prawda i smak. Przeczek nie sili się w tym wypadku o wyrobienie pozycji w hierarchii literackiej „Słoneczna wolność" i „Poznajmy świat" napisane są i dostosowane do poziomu sceny młodzieży szkolnej. Jako takie w rodzimej kulturze są wartościowym i cennym wkładem.

Trzecią pracą sceniczną to „Ondraszek", który pewnie niedługo zagości na naszych scenach i przypomni nam czasy zbójnickiej swobody.

„Ondraszek" został napisany przed dziesięciu laty i z małą przeróbką przesłana do konkursu łódzkiego.

Co pisze nam Autor o swej sztuce? „Mój „Ondraszek" nie jest zbójnikiem, jak go dotychczas przedstawiano, ale jest wykładnikiem buntu chłopa, rodzącego się w duszy uciemiężonego ludu, który domaga się słusznych swych praw. Głównym motywem sztuki jest walka o prawa i równość chłopa. „Ondraszek" jeszcze nie osięgnął celu, ponieważ chwila odpowiednia jeszcze nie dojrzała, ale zwycięstwo myśli chłopskiej znajduje określenie w słowach Dudziarza: „Jeszcze za wcześnie, ale - - Przyjdzie dzień, kiedy zmartwychwstanie ziemia moja, — wolna, słoneczna i sprawiedliwa. Nie będzie łez ani żalu. Widzę te dni rozśpiewane i piękne. Widzę nowych ludzi, szczęśliwych i lepszych."

Kulisy wykonane przez art. mal. Zabystrzana

Zdjęcia: Bardoń, Trzyniec

W Nowym Jorku

Na wyspie Hawaju

W Afryce

---

go wartość, nastroszy trochę swoje krzaczyste brwi i książkę pożyczy. I nigdy się jeszcze chyba nie zawiódł. Nie zawiódł się nawet wtedy, gdy podczas okupacji niemieckiej musiał swój księgozbiór rozparcelować potajemnie wśród swoich znajomych chłopów w Wiśle i Ustroniu. Przyszli niemieccy „uczeni" w mundurach Gestapa i domagali się jego biblioteki. Niczego nie znaleźli krom kilkudziesięciu książek powieściowych, skazanych na ofiarę. A gdzie reszta? Reszty nie było, bo to wszystko zawistne języki ludzkie naplotły, by się przypochlebić okupantom.

Dzisiaj stary Jan Wantuła o młodych oczach i o młodym sercu już nie pracuje w hucie. Pobiera skromną emeryturę i gospodarzy na swym poletku ustrońskim, pasie krowy, jak je pasał za chłopięcych lat, rozmawia z jabłoniami w swym ślicznym sadzie, martwi się, że jego syn, pastor Andrzej Wantuła, również bibliofil i erudyta, przebywa jeszcze gdzieś w dalekim świecie, nawracając pogan na wiarę chrześcijańską, a poza tym nakłada okulary na nos, rozwiera szafę z drukowanymi skarbami i zaczyna pisać rozprawy naukowe, przyczynki, przeróżne bibliofilskie essay, segreguje, uzupełnia, kompletuje wszystkie polskie druki luterańskie, ceniony i szanowany przez polski świat naukowy.

Takim pięknym człowiekiem jest Jan Wantuła w Ustroniu, spadkobierca Walentego Roździeńskiego z Roździenia i Jury Gaydzicy z Cisownicy.

O drewnianym kościółku na Praszywej

Jeżeli idziemy z Ligotki Kameralnej do pobliskich Dobracic, to po lewej ręce wznosi się ulubiona przez turystów góra Praszywa. Dochodzi ona do 843 m wysokości. Na niej, poniżej szczytu, został w roku 1640 zbudowany przez hrabiego Oppersdorfa niewielki kościółek drewniany pod wezwaniem św. Antoniego. Na temat jego powstania opowiadają górale turystom taką opowieść:

Pewnego razu hrabia Oppersdorf wyjechał z Frydku ze swą liczną służbą na polowanie w pobliskie góry beskidzkie. W odwiecznych borach żyły niedźwiedzie, jelenie, wilki, żbiki i rysie. Całymi dniami uganiała się myśliwska drużyna za rączymi jeleniami, wypatrywała śladów niedźwiedzich stóp, tropiła wilki, które pozostawiały po sobie ogryzione kości rozszarpanej zwierzyny.

Na zboczu Goduli zobaczył hrabia olbrzymiego jelenia o wspaniałych rosochatych rogach, jak dumnie z podniesioną głową kłusował wśród drzew, więc bez namysłu rzucił się za nim w pogoń. Po krótkiej chwili myśliwska drużyna została daleko w tyle, bo nikt nie miał tak rączego konia, jak hrabia. Jeleń przeszedł w galop. Ogromnymi susami przesadzał zwalone pnie drzew, z łatwością przeskakiwał wszystkie napotykane przeszkody i pędził tak szybko, że wiatr z pewnością by mu nie dorównał. Ale i hrabia pędził niezmordowanie naprzód. Klepał swego rączego konia po szyi, przynaglał dobrotliwie słowami, żeby tylko nie zgubić z oczu galopującego rogacza. Tak pędzili aż pod samą Praszywą.

Ale zbocze Praszywej stawało się coraz bardziej strome, koń zwalniał, aż w końcu stanął, bo nie potrafił się już wyżej wspinać. Hrabia zeskoczył z siodła, puścił konia wolno, a sam popędził za jeleniem, który także zwolnił biegu.

Przedzierał się przez gąszcza, mając każdej chwili broń gotową do strzału.

Takich wspaniałych rogów nawet na zamku cieszyńskim nie mieli; nie dziwota, że hrabia nie znał wytchnienia, żeby tylko zdobyć dla siebie ten wspaniały unikat.

Już słońce zachodziło i wieczór nadchodził, kiedy hrabia dopędził jelenia prawie na samym szczycie Praszywej. Jeleń, zmęczony pościgiem, przystanął na chwilę, jak gdyby chciał zaczerpnąć w płuca świeżego powietrza; wtedy hrabia przyklęknął na jedno kolano, wycelował w rogacza i wystrzelił. Huknął strzał, a jego odgłos echa leśne rozniosły daleko, szeroko.

Trafiony jeleń opadł na przednie nogi, zniżył głowę i swymi ogromnymi rogami rozrywał ziemię, a potem podniósł się ociężale, odwrócił za siebie, a kiedy zobaczył swego wroga-człowieka, ruszył na niego wściekłym galopem.

Huknął drugi strzał, hrabia jednak musiał spudłować, bo rogacz pędził dalej, jak huragan. Myśliwy zobaczył śmierć przed sobą. Rozwścieczony jeleń nadzieje go na rogi, albo roztratuje racicami. Na ponowne nabicie samopału miał hrabia za mało czasu. Dlatego zaczął uciekać w stronę niedalekiego olbrzymiego buka. Chciał się ukryć za jego grubucnym pniem. Ale jeleń był szybki jak wiatr. Ziemia drżała pod jego nogami, co tak pędził. Jeszcze kawałeczek, jeszcze dziesięć kroków, a hrabia będzie uratowany... Ale było za późno.

— Święty Antoni, ratuj — wykrzyknął rozpaczliwie myśliwy, potem się zachwiał na nogach, bo został z tyłu straszliwie uderzony rogami rozwścieczonego jelenia i zemdlał. Jeleń całą siłą swego rozpędu wbił rogi w drzewo, za którym chciał się schronić hrabia. Na nic nie pomogły wysiłki rogacza, rogów wszczepionych w potężny pień buka nie potrafił uwolnić. —

Noc już była, kiedy hrabia Oppersdorf oprzytomniał. Poznał zaraz, że cudem ocalał, bo dużo nie brakowało, żeby był rogiem przez brzuch przygwożdżony do drzewa.

Próbował się uwolnić z tego przymusowego więzienia, ale chociaż wytężał wszystkie swoje siły i chociaż próbował tysięcznych sposobów, nic nie zrobił. Za głęboko tkwiły rogi końcami w pniu buka, ażeby je jeden człowiek potrafił wyrwać.

Hrabia poznał, że jest zdanym na łaskę losu. Jeżeli pomoc nie nadejdzie, wtedy tu, wycieńczony głodem, zginie, jak ten rogacz z upływu krwi.

Czas mijał. Wlokły się ociężale minuty, jak ślimak przechodziły godziny, a noc trwała całe wieki. Pomoc nie nadchodziła.

Tak minęła noc, nowy dzień i noc następna.

Myśliwy był przy końcu swych sił. Spękanymi od gorączki wargami szeptał modlitwy, a w przerwach pomiędzy nimi bacznie nadsłuchiwał, czy z której strony do jego uszu nie dolecą głosy rogów myśliwskich, zwiastujące nadchodzącą pomoc. Każdy najsubtelniejszy szmer napełniał go nadzieją, że za chwilę jego cierpienia będą skończone, że go ludzie uratują. Ale wciąż nikt nie nadchodził.

Wtedy hrabia uczynił ślub:

— Jeżeli mnie uratujesz, Święty Antoni, jeżeli mi pomoc ześlesz, to tu w tym miejscu ci kościół wybuduję...

Dopiero w trzecim dniu pomoc nadeszła. Cała drużyna myśliwska, kiedy hrabia nie wracał, ruszyła na jego poszukiwanie. Gdzie jaki zagajnik przeszukano, do każdej wyrwy w ziemi zaglądnięto, nigdzie jednak nie było ani śladu. Dopiero, kiedy pod Praszywą schwytano konia hrabiego, wtedy zaczęto przeszukiwać całą górę. I znaleźli.

Wszyscy poszukujący byli święcie przekonani, że odnajdą tylko zwłoki hrabiego, bo myśleli, że gdyby hrabia żył, chociaż byłby nawet bardzo poraniony, to dałby o sobie znać graniem na rogu, który miał przy sobie. Dopiero teraz zrozumieli, że to było niemożliwścią, bo hrabia w żaden sposób nie potrafił wydobyć go zza swego pasa.

Uratowany szybko powrócił do swych sił i zdrowia. A na miejscu swej przygody kazał wybudować kościółek pod wezwaniem św. Antoniego, który tam stoi do dziś dnia.

Rokrocznie w połowie czerwca przy tym kościółku odbywają się tradycyjne odpusty, na które zjeżdżają się ludzie z bliskich i dalekich stron. A to jest ciekawe, że w każdy praszywski odpust pada deszcz i wszyscy ludzie zmokną. Z tego sobie jednak nikt nic nie robi, bo, jak każdy mówi, — człowiek nie jest z cukru, żeby się roztopił. A te odpusty na Praszywej będą się odbywały tak długo, jak długo tylko będzie tam istniał drewniany kościółek świętego Antoniego.

Józef Ondrusz.

Na śladach nieznanej przeszłości Cieszyna

ODKRYCIA Z OKRESU WCZESNOHISTORYCZNEGO NA ZAMKU CIESZYŃSKIM

CIESZYN (Polska). Dokonywane pod kierownictwem mgr. kietlińskiej, z ramienia Naczelnej Dyrekcji Muzeów i Ochrony Zabytków, badania archeologiczne na górze zamkowej w Cieszynie, aczkolwiek dotychczas ze względu na fragmentaryczność przeprowadzonych prac nie mogą dać zobrazowania całości obiektów, nie mniej jednak dostarczają już niezwykle ciekawego materiału do dalszych badań naukowych.

Na głębokości 3 m. pod ziemią natrafiono na oryginalną konstrukcję chatki, wykopanej w ziemi — ziemianki, pochodzącej prawdopodobnie z pierwszych wieków po Chrystusie.

Niemal codziennie natrafia się na przedmioty, których pochodzenie sięga okresu wczesnohistorycznego. Na miejscu pierwotnych zabudowań, które uległy zniszczeniu (pożar), wystawiono tu nowe budowle, których ścisłej daty powstania nie da się jeszcze na razie ustalić. Konstrukcje drewniane, które pochodzą z okresu najwcześniejszego składają się z belek i desek; wylepiane są gliną, pomieszaną ze słomą; mierzwą, która w obecnym stanie po wydobyciu przedstawia masę płatową, kruchą. Wśród znalezisk takich jak: noże, groty do strzał, przęśliki, dłutka, nożyce (żywo przypominające współczesne nożyce do strzyżenia owiec) szczególne zainteresowanie wzbudza odnalezienie na głębokości około 2 m pod ziemią śladów roślinności: wyrobów ceramicznych. Na miejscu badań natrafiono także na ślady żebrowania, będące fragmentem sztuki zdobnictwa gotyckiego z XIV wieku. (o)

CIEKAWOSTKI LITERACKIE

„FARAON" ZDOBYWA ZAGRANICĘ

Arcydzieło Bolesława Prusa „Faraon", przetłumaczony w czasie wojny po raz pierwszy na język niemiecki w Szwajcarii, zyskał tam wielkie powodzenie. Pierwszy nakład został rychło wyczerpany i obecnie — w setną rocznicę urodzin Prusa i w 50-lecie wydania „Faraona" — przygotowuje się drugi nakład. Również wydano w Szwajcarii tom nowel Prusa oraz „Placówkę.

Warto przypomnieć, że „Faraona", który ze wszystkich utworów Prusa zdobył największą popularność na terenie międzynarodowym, tłumaczono na 11 języków: rosyjski, czeski, chorwacki, angielski, francuski, włoski, holenderski, niemiecki, esperanto, węgierski i litewski.

*

MUZEUM LENINA W POLSCE

Państwo polskie wykupiło w Poroninie dom, gdzie w latach 1913—1914 mieszkał Włodzimierz Ilicz Lenin. Dom ten, którego urządzeniem zajmie się wojewódzki Wydział Kultury i Sztuki w Krakowie zamieniony zostanie na muzeum Lenina.

Szyndzioły
Dodatek »Głosu Ludu« poświęcony kulturze i sztuce.

NR 9
CZESKI CIESZYN
NIEDZIELA
30 LISTOPADA
1947

GUSTAW FIERLA

Sztuka ludowa na Śląsku Cieszyńskim

KILKA SŁÓW O DAWNYCH MEBLACH I SPRZĘCIE DOMOWYM

Podobnie jak inne tereny etnograficzne słowiańskie posiada i Śląsk Cieszyński **odrębne i charakterystyczne wytwory sztuki ludowej.** Twórczość ludowa niestety prawie zupełnie już znikła; wytwory ludowego artysty-rzemieślnika samouka, spotkać można obecnie już tylko w najbardziej odległych zakątkach naszego kraju. W starszych domach zamożniejszych rolników, w ubogich chatach góralskich, w komorach i na poddaszach kryją się resztki bogato, to znów skromnie zdobionych przedmiotów, wytworzonych ręką naszych dawnych twórców sztuki ludowej.

Meble i sprzęty ludowe podzielić można u nas na dwie grupy: w okolicach podgórskich spotyka się sprzęty i przedmioty prostsze, **zdobione ryzowaniem**, t. j. wycinaniem ozdób za pomocą noża — zaś w okolicach Cieszyna i Frysztatu pozostało więcej zabytków bogatszych, zdobionych przeważnie **ornamentem malowanym.**

W chatach góralskich ukrywają się po strychach **bukowe skrzynie wałaskie**, zdobione prostolinijnym ornamentem ryzowanym. Gdzieś na poddaszu poniewierają się pięknie zdobione **przęślice, cierlice** i inne przybory, niegdyś do obrobki lnu służące. — W izbie góralskiej znajdziemy do boku półki przybity **łyżnik** drewniany z misternie wyrzezanym wieszadełkiem — ale najpiękniejszym okazem sznycerstwa beskidzkiego, słynne **czerpaki beskidzkie**, z bogato rzeźbionym kornutem, prawie zupełnie już zaginęły. Jeszcze gdzieniegdzie tylko znalazłem **stół** czy **stołek** góralski z pomysłowo wyrzezanym oparciem, zawsze innego kształtu. Innych dawnych sprzętów zdobionych w chatach góralskich już się nie spotyka.

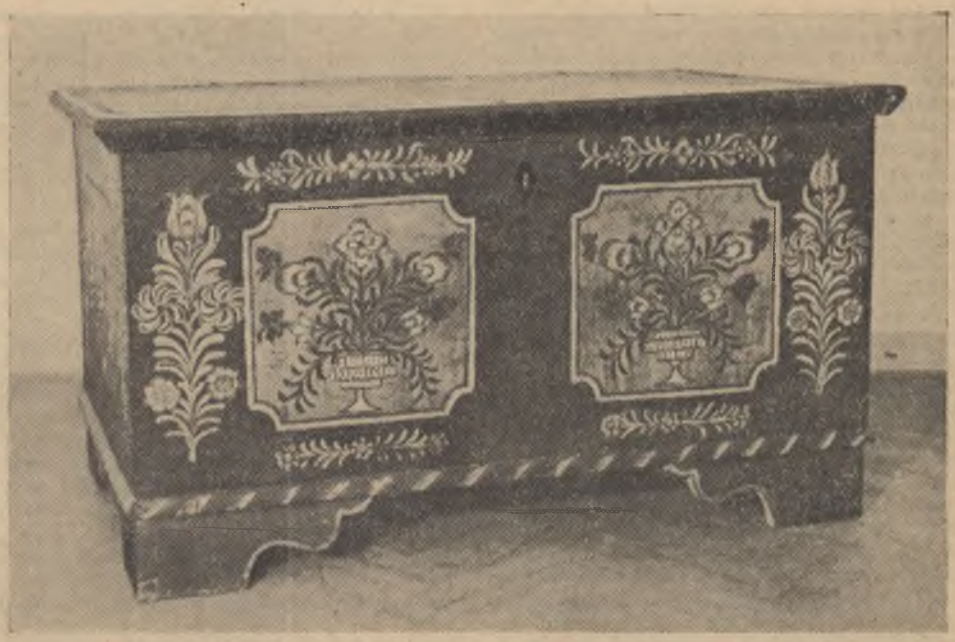

Malowana „trówła" śląska z roku 1864
(z dawnych zbiorów b. Muzeum Macierzy Szkolnej w Cz. Cieszynie).

Zdobione meble ludowe
(z dawnych zbiorów b. Muzeum Macierzy Szkolnej w Cz. Cieszynie).

Z **mebli malowanych** najczęściej spotykamy u nas jeszcze **malowane skrzynie ludowe t. zw. trówły.** Rzadziej już spotyka się **malowane szafy i łóżka**, a najrzadziej malowaniem zdobione **stoły, stołki i półki na misy, talerze, dzbanki i garnki.**

Ludowe meble śląskie malowano w rozmaity sposób. Na **trówłach** jest zawsze pokryta ornamentem ściana przednia, wieko i obydwie ściany boczne. Na przedniej ścianie skrzyni był albo jeden motyw większy lub dwa podobne po bokach zamku. Zdobione pole otoczone było albo obwódką malowaną różnego kształtu, albo też było zamknięte przybitą listewką zamkową. Mniej więcej symetryczny motyw kwiatowy wstawiony był w wazonik lub koszyk malowany o najrozmaitszych kształtach. Były też ozdoby w kształcie wieńca kwiatowego lub wiązanki kwiatów, związanych wstążką. Tło motywu kwiatowego było zwykle innego koloru, niż barwa skrzyni samej.

Na przedniej ścianie skrzyni umieszczano zwykle datę, czasem nazwisko lub tylko monogram właścicielki. Motywy na bocznych ścianach bywały zwykle inne, niż na ścianie przedniej. Ozdobą wieka był zwykle duży owalny wieniec kwiatowy z symetrycznym motywem bukietu w wazoniku. Brzegi wieka i dolnego brzegu skrzyni podkreślano odmiennym malowaniem. Skrzynia stała na ramie, której przednia deska była bogato wycięta. — Późniejsze skrzynie spoczywają na toczonych nogach. Wymiary skrzyń bywały różne; prawdopodobnie istniało kilka typów o stałych rozmiarach.

Bogate zdobnictwo skrzyń tłumaczy się tym, że był to główny, najstarszy, niekiedy jedyny sprzęt wyprawy panny młodej. Oprócz tych skrzyń, otrzymywanych jako wiano, istniały również mniejsze skrzynki malowane.

Szafy czyli t. zw. **olmaryje malowane** pojawiają się mniej więcej równolegle ze skrzyniami — najstarsza znana mi szafa nosi datę 1798, najstarsza zaś skrzynia w byłych zbiorach muzeum M. Szk. w Cz. Cieszynie pochodziła z roku 1766. Zdobnictwo naszych olmaryj było analogiczne do zdobnictwa trówel. Na drzwiczkach szaf jednoskrzydłowych był jeden motyw główny, zamknięty obramowaniem rozmaitego kształtu. Na szafach dwu-

LUDWIK BROŻEK

Kalendarze Cieszyńskie

Do książek, cieszących się dawniej wśród ludu szczególniejszą poczytnością, należały przede wszystkim kalendarze. Czytano je gorliwie przez rok cały, od pierwszej aż do ostatniej strony, aż z broszurowanej zwykle książki zostawały tylko strzępy. Z nowym rokiem kupowano nowy kalendarz i nie dbano już wcale o dawniejszy, tym bardziej, że przedstawiał się on zazwyczaj już bardzo licho. Stare kalendarze stawały się w ten sposób wielką rzadkością, trudną po paru latach do odnalezienia. Wydawano kalendarze wszędzie prawie, gdzie istniały drukarnie, one też należały obok książek religijnych do najwcześniejszych druków, o czym świadczy np. najstarszy kalendarz krakowski z r. 1474. Obok kalendarzy krakowskich, posiadających w Polsce najdawniejsze tradycje, spotyka się później kalendarze warszawskie, lwowskie, wileńskie, toruńskie i inne, a w ciągu wieku XIX pojawiają się również kalendarze cieszyńskie, znane także poza granicami Śląska. Kalendarzy śląskich na przestrzeni blisko stuletniej ukazało się takie mnóstwo, że orientacja w nich nie jest wcale łatwa, a niemało kłopotu w uporządkowaniu tego „gęszczu" powoduje także fakt, iż bardzo wiele z tych kalendarzy dochowało się tylko w fragmentach i szczątkach.

Pierwsza drukarnia cieszyńska powstała w r. 1806, lecz długo nie wydawała ona żadnych kalendarzy. O popularnej tej książce ludowej pomyślał dopiero Paweł Stalmach, wydawca i redaktor „Gwiazdki Cieszyńskiej", pierwszego pisma ludowego na Śląsku Cieszyńskim, założonego w r. 1848, a wydawanego początkowo p. t. „Tygodnik Cieszyński". Pierwszy „Kalendarz Cieszyński dla katolików i ewangelików" Stalmacha ukazał się z końcem r. 1856 na rok 1857. Była to skromna broszurka o 36 stronach, zawierająca obok kalendarium trochę innych wiadomości i informacji o targach, jarmarkach, opłacie stemplowej itd. Kalendarze na rok 1858 i następne były już obszerniejsze, liczyły po stron 60 (formatu 9.5×15.5 cm) i obok tradycyjnych, obowiązkowych niejako w kalendarzach działów astronomiczno-gospodarskich zawierały już także pewne działy rozrywkowe i pouczające. W kalendarzu na rok 1858 czytamy „Krótką historię Księstwa Cieszyńskiego i miasta Cieszyna" (s. 34—45), „Dziesięcioro przykazań dla rolnika, chcącego pełnić należycie swoje powołanie" i parę krótkich przypowieści i powiastek („Ojcze nasz" dłużnikiem, Pijak i skąpiec, Mądrość Najwyższego, Adam i Ewa, Sprawny poseł itp.)

Kalendarz wydawany przez Stalmacha był typowym rocznikiem ludowym, uzupełniającym czasopismo, książeczkę, w której było można znaleźć najważniejsze informacje z poszukiwaną przez lud prognostyką na czele. Ponieważ „Gwiazdka Cieszyńska" była pismem, które rozchodziło się także i poza Śląskiem, Stalmach i dla tych nieśląskich czytelników swoich zaczął wydawać kalendarz, noszący przedługi tytuł: „Kalendarz Polski podług kalendarza wieczystego ułożony, na południk krakowski wyrachowany." Numeracja poszczególnych roczników „Kal. Ciesz." i „Kal Pol." była jednakowa, czyli że kalendarze te powstały i wychodziły początkowo równocześnie. „Kal. Ciesz." drukowany był czcionką gotycką, „Kal. Pol." łacińską, lecz już w pierwszym obszerniejszym roczniku „Kal. Ciesz." (1858) podał Stalmach swym czytelnikom „abecadło polskie" w szacie graficznej łacińskiej i szwabaskiej, opowiadając się za tym pierwszym, „ażeby też i starsi, co się w szkole druku łacińskiego nie uczyli, mogli czytać książki polskie, tym drukiem drukowane". Drukowane były obydwa kalendarze od początku u K. Prochaski.

Po śmierci Stalmacha (†1891) wydawaniem „Kal. Ciesz.", od rocznika 35, zajęło się „Dziedzictwo błog. Jana Sarkandra dla ludu polskiego na Śląsku". Ostatni rocznik (57!) wyszedł na rok 1914. „Kal. Pol." miał życie krótsze i bardziej skomplikowane, jako że około r. 1875 powstał konkurencyjny „Kalendarz polski powszechny, rzymsko- i greckokatolicki, ewangelicki i żydowski, astronomiczny, gospodarski i domowy", powołany do życia przez niemieckiego księgarza cieszyńskiego, E. Feitzingera, który założył w Cieszynie drukarnię (przejętą później przez firmę Kutzer i sp.) i na książkach polskich dorabiał się majątku. Kalendarz jego utrzymał się dość długo: ostatni 34 rocznik ukazał się na rok 1908. Podcięło to byt Stalmachowego „Kal. Pol.", to też pozostał on tylko przy swoim „Kal. Ciesz.", który zamieniał się powoli w religijny kalendarz katolicki. Wspomniane „Dziedzictwo" próbowało rywalizować z Feitzingerem i zamierzało wydawać nadal także i „Kal. Pol.", przejęty od Stalmacha, lecz ostatecznie pozostało tylko przy „Kal. Ciesz.", któremu nadało od r. 1910 nową nazwę „Kalendarz Dziedzictwa". Ostatni rocznik tego kalendarza ukazał się na rok 1920.

Z chwilą, gdy „sytuacja kalendarzowa wyjaśniła się", to znaczy gdy „Kal. Ciesz." stał się kalendarzem katolickim, a „Kal. Pol." wydawnictwem dochodowym Feitzingera, zabrakło ewangelickiej ludności śląskiej kalendarza, któryby jej odpowiadał. Powstaje więc

Kalendarz
Cieszyński
na rok pański
1858
dla katolików i ewangelików.
W Cieszynie

nowy kalendarz, mianowicie „Kalendarz ewangelicki" (pierwszy na rok 1882), który wychodzi z przerwą wojenną (1940—1945) do dziś. Najstarszy to więc kalendarz, który z tamtych czasów przetrwał do czasów naszych. Sześćdziesiąt roczników (1—58: 1882—1939, 59—60: 1946—1947) to cała biblioteczka! Początkowo i ten kalendarz przedstawiał się bardzo ubogo. Po kalendarium szedł jakiś wiersz Jana Kubisza (najczęściej były to przekłady wierszy religijnych K. Geroka), następnie kazanie lub rozważania biblijne, drukowane obowiązkowo gotykiem, tak jak Dambrówka, Grzegorz z Żarnowca lub Rej, a potem parę krótkich artykulików o zdarzeniach w świecie i część informacyjno-praktyczna. Redaktorem pierwszych roczników tego kalendarza był ks. Franciszek Michejda. Znaczne urozmaicenie treści i powiększenie objętości „Kal. ewang.", nastąpiło dopiero w roku 1920. Ks. Fr. Michejda był także redaktorem dwu innych kalendarzy, wydawanych w Cieszynie przez T-wo Polityczno-ludowe od r. 1894. Pierwszy, to „Kalendarz górniczo-hutniczy" (1894—1903), drugi, którego wyszło 24 roczników, to „Powszechny Kalendarz ludowy" (1894—1918).

Prócz tych kalendarzy pojawiły się jeszcze inne. W latach 1875—1876 ukazały się w Cieszynie dwa roczniki „Kalendarza dla rolników

---

skrzydłowych mamy po jednym lub po dwa różne motywy na każdym skrzydle. Na szafach wypisano zwykle nazwisko właściciela lub właścicielki. Boczne ściany szaf zdobiono ornamentem geometrycznym. Szafy, podobnie jak i skrzynie, miewały niekiedy szuflady z osobną ozdobą malowaną. Co do koloru, to najczęściej spotyka się szafy i skrzynie niebieskie, rzadziej zielone lub brunatne.

Na rzadko już spotykanych **stołach malowanych** z zeszłego wieku widzimy symetryczne motywy na bocznych deskach i szufladzie. Najstarsze nasze stoły ludowe wykazują naśladownictwo form renesansowych; śladów malowania na nich nie zauważyłem. Podobnie rzadkością są malowaniem zdobione półki na talerze i dzbanki, gdzie motyw kwiatowy powtarza się w równych odstępach wzdłuż półki.

Prawdopodobnie dawne **ławy i stołki ludowe** (t. zw. **zydle**) również miały ozdoby malowane. Muzeum Miejskie w Cieszynie posiada **kołyskę** zdobioną malowaniem — na tutejszym terenie nie udało się jej spotkać. **Łóżko**, ozdobione bardzo prymitywnymi motywami malowanymi znalazłem w Milikowie.

Stolarze śląscy ozdabiali sprzęty ludowe przeważnie **motywami roślinnymi** — rzadsze są motywy zwierzęce, zwykle ptaki na gałązkach kwiatowych. Istnieją też ozdoby w kształcie owoców. Najrzadziej spotyka się u nas ozdoby, malowane w formie geometrycznej — te właśnie uważam za czysto ludowe prymitywy. Zestawienia barwne są na ogół spokojne.

Twórcy ornamentów ludowych nigdy nie powtarzali tego samego motywu, nawet gdy pracowali w tym samym materiale. Stąd **ogromne bogactwo form i barw** — wypowiadanie się tęsknoty za pięknem, które cechowało naszych przodków.

Wobec nieuniknionego zaniku twórczości ludowej, zaniku dawnych sposobów wytwarzania, ciągle jeszcze jest naszym obowiązkiem **zbieranie resztek wytworów artystów ludowych i gromadzenie ich w zbiorach** prywatnych czy publicznych, by uchronić najcenniejsze przynajmniej zabytki przed zupełną ich zagładą. Obowiązek ten dotyczy nie tylko zainteresowane jednostki fachowców, lecz również i ogół społeczeństwa polskiego na Śląsku.

Gustaw Fierla.

śląskich", w l. 1901—1903 dwa „Kalendarzyki ochrony zwierząt", ks. Stojałowski wydawał tu w latach 1892—1901 swoje kalendarze „Wieńca" i „Pszczółki" oraz „Niewiasty" (Bielsko 1903), Franciszek Friedel we Frysztacie wydawał kalendarze swoje (1903) i „Głos Ludu Śląskiego" (Poseł Ludowy), w l. 1910—1914 wychodził tu poważny kalendarz górniczy „Szczęść Boże" i „Kalendarz nauczycielski" Pol. T-wa Pedagogicznego na Śląsku, w tych samych latach Kożdoń wydawał „Śląski kalendarz ludowy", ideologicznie związany ze „Ślązakiem" itd. Były także kalendarze humorystyczne, takie jak „Cepów", „Tekli Klebetnicy" i in. Wszystkich kalendarzy, jakie wyszły w Cieszynie, niesposób tu wyliczyć, bo duża ich liczba przekracza ramy zwykłego artykułu.

Lista kalendarzy, rozchodzących się po Śląsku Cieszyńskim niekończy się na tym wcale, bo oprócz kalendarzy, które tutaj wydano, rozchodziły się tu jeszcze kalendarze, wydawane gdzieindziej. Popularnością cieszyły się tu już gdzieś od lat 90-tych liche kalendarze, wydawane w języku polskim przez Steinbrenera w Wimperku. Były to grube kalendarze „wszechświate", „uniwersalne", różne „Przyjaciele żołnierza", kalendarze Mariańskie, Św. Rodziny itd. Prócz tego także wiele kalendarzy małopolskich dochodziło do nas, znajdując tu chętnych nabywców. Ze Lwowa przychodził „Kalendarz Macierzy Polskiej", z Krakowa ulubiony kalendarz „Roli", patriotyczne kalendarze Kaspra Wojnara i „Kalendarz Robotniczy", wydawany przez redakcje socjalistycznych czasopism b. Galicji i Śląska Cieszyńskiego.

Po pierwszej wojnie światowej (1914—1918) z dawniejszych kalendarzy ostał się jedynie „Kal. ewang.", wychodzący bez przerwy dalej. Inne kalendarze przepadły i nawet pamięć o nich zaginęła, a jeśli gdzie przypadkowo przetrwał jaki strzęp z kalendarzy dawnych, to trudno było często dociec, co to za kalendarz i kiedy wydany, bo był tak „wyczytany", że zazwyczaj brakło mu już i początku i końca. Bujny okres poprzedni zakończył się, a rozpoczął się nowy, zapoczątkowany dużą serią kalendarzy, jakie w czasach niedoszłego plebiscytu wydała w Cieszynie księgarnia Kotuli, która parę polskich kalendarzy wydała już w l. 1917—1918. Na rok 1920 ukazały się w tej firmie kalendarze następujące: rodzinny, mały rodzinny, ludowy, powieściowy, wielki uniwersalny, ewangelicki, Przyjaciel Żołnierza i Ślązak. Kalendarze te, to jedna z wielu form propagandy ówczesnej, uprawianej przez obydwie strony, zainteresowane przyszłymi losami Śląska Cieszyńskiego. Po niedoszłym do skutku plebiscycie kończy się po stronie polskiej wydawanie kalendarzy. Dawne tradycje podtrzymywał jedynie „Kal. ewang.", a poza tym „potrzeby kalendarzowe" zaspakajały wydawnictwa krakowskie, katowickie i inne.

Żywy ruch wydawniczy w tej branży rozwinął się natomiast w latach powojennych po czeskiej stronie Śląska, gdzie po r. 1920 powstało kilka „ośrodków kalendarzowych". Jednym z nich (pierwszym), to Drukarnia Ludowa we Frysztacie (W. Sembol), która rozpoczęła w r. 1920 „Śląskim kalendarzem robotniczym", a w r. 1925 przystąpiła do wydawania „Kalendarza powieściowego", który różnił się od „Śl. kal rob." tylko okładką i kartą tytułową. Wydawnictwo to, czynne aż do wybuchu wojny, wznowiło swą działalność także i po wojnie, wydając kalendarze na rok 1946 i 1947.

Drugim ośrodkiem, to księgarnia Nowaka w Orłowej, która w l. 1920—1926 do wydawnictwa kalendarzy przystąpiła na wielką skalę, wydając ich rokrocznie po kilka, niektóre nawet jako wydawnictwa tomowe (np. Wielki ilustr. kal. rodz. na r. 1920, tom I — i ten sam kalendarz na ten sam rok, tom II). Długie, szumne i wiele obiecujące tytuły kalendarzy Nowaka zaczerpnięto częściowo z pomysłów Steinbrennera, stąd takie tytuły, jak: Ilustr. kal. uniwersalny, Ilustr. kal. Marianski czyli czciciel Marii, Nowoczesny, Wszechświatowy, Przyjaciel Żołnierza, Rolnik — Ogrodnik i Gospodarz itp. Wydawnictwo kalendarzy Nowaka, obliczone na szeroki rynek zbytu, m. in. na Polskę, nie wytrzymało konkurencji i upadło po wydaniu ostatniej serii, złożonej z sześciu różnych kalendarzy na rok 1926.

Trzecim ośrodkiem stał się Cz. Cieszyn, gdzie w okresie międzywojennym ukazało się szereg kalendarzy przeróżnych, takich jak „Związku Śląskich Katolików" (od r. 1924), „Naszego Ludu" (1926—1937) z ciągiem dalszym na rok 1938 pt. „Kalendarz Jepeusa", „Śląski Kalendarz Ludowy" (Prawa Ludu, 1931—1932), „Nasz kalendarz ewangelicki" (1933—1939) i inne, mniej lub więcej specjalne, fachowe czy zawodowe, które ukazywały się króciej od tamtych, lub tylko raz, nie zyskując zwolenników lub też funduszy na dalsze wydawanie.

Z niemieckich kalendarzy cieszyńskich znane są zaledwie dwa, wydawane przez Prochaskę. Pierwszy, to „Silesia-Kalender für das Herzogthum Schlesien, das benachbarte Mähren, Galizien u. Ungarn", wychodzący przez parę zaledwie lat od r. 1865 — drugi, jego ciąg dalszy, to również Prochaski „Familien-Kalender" (ostatni rocznik 33: 1920). Kalendarze te, przeznaczone głównie na eksport, jak wiele innych wydawnictw tego przedsiębiorstwa, rozchodziły się przeważnie poza Śląskiem.

Pierwszym czeskim kalendarzem cieszyńskim był „Kalendář Těšínský" B. Šimečka. Rocznik pierwszy tego kalendarza, wydawniczo związany z „Novinami Těšínskémi", wyszedł na rok 1897. Po wydaniu dziesięciu tomów, wydawnictwo przerwano i dopiero po r. 1920 wznowiono je, jako wydawnictwo „Matice Osv. Lid." (Slezská Ostrava). Kalendarze te, wydawane odtąd bez przerwy, także i w czasie okupacji, redagowane są umiejętnie i wyróżniają się graficznie. Współpracownikami tego kalendarza są pisarze i działacze ostrawscy.

Twórczość ludowa uczyniła kalendarz treścią m. i. dwóch przysłów: 1) „Kalyndorz, wielki łgorz — gdo w nim czyto, szelma bito"; 2) „Człowiek bez kalyndorza, to jak ksiądz bez brewiorza". Przysłowia te podkreślają znaczenie kalendarza i jego potrzebę. Kalendarz „łgo" czyli cygani, bo z tą pogodą, o której prorokuje, to różnie bywa — lecz także uczy być „szelmą bitą" czyli człowiekiem obrotnym. Przysłowie drugie podkreśla nieodzowność kalendarza w domu, zwłaszcza w czasach dawniejszych, kiedy był on jedyną prawie książką, z której czerpano różne wiadomości z zakresu astronomii, gospodarstwa, poradnictwa wszelkiego rodzaju itp.

Jeśli pominiemy 36-stronicowy „Kalendarz Ciesz." na rok 1857, którego zresztą nie udało się nam odszukać, a pozostaniemy przy pierwszym obszerniejszym nieco „Kal. Ciesz." na rok 1858 — to mówić możemy o **90-letnim jubileuszu kalendarzy cieszyńskich.** Tradycję tych kalendarzy przejął i dostosował do czasów dzisiejszych „Kalendarz Głosu Ludu", którego trzeci rocznik, na rok 1948, puszczamy obecnie w świat w nadziei, że podobnie jak tamte dawne, ulubione kalendarze, tak i ten nowy nasz kalendarz stanie się książką poczytną i pożyteczną. Oby mu towarzyszyło to samo przywiązanie i zaufanie, jakie mieli jego poprzednicy w przeszłości. Ludwik Brożek.

Reguły staropolskie

(wzięte z Kalendarza Cieszyńskiego na rok 1858.)

Dukat — to nie kwitek.
Miodek — to zapitek.
Bigos — to potrava.
Kulig — to zabawa.
Kiedy zbrojno — to już szablę.
Kiedy z miną — to już diablą.
Kiedy strojno — to już w złocie.
Gdy pracować — to już w pocie.
Bankietować — to już szumnie.
Sejmikować — to już tłumnie.
Kiedy spić się — to jak Bela.
Kiedy spoić — przyjaciela.
Gdy pomagać — to sowicie
Kiedy bić — to należycie.
Kiedy pościć — to na sucho.
Kiedy palnąć — to za ucho.
Gdy kto w biedzie — to zaradzić.
Gdy dać słowo — to nie zdradzić.
Stroić żarty — to niewinnie.
Przyjąć kogo — to gościnnie.
Kiedy gardzić — to podłością.
Kiedy mowić — to z szczerością.
Gdy kto oszust — to go łaj.
Gdy poczciwy — rękę daj.
Gdyż pokrzywdzom — to się mścij.
Gdyś obrażon — to się bij.
Kiedy palnąć — to przez łeb.
Kiedyś stchórzył — toś już kiep.
Gdy się bratać — to z równymi.
Gdy mieć litość — nad biednymi.
Gdy się modlić — to już szczerze.
Kiedy wytrwać — to w swej wierze.
Kiedy znosić — to wytrwale.
Kiedy kochać — to już stale.
Kiedy jeździć — to już sanną.
Kiedy szaleć — to za panną.
Kiedy ładna — romansować.
Gdy zalotna — pofiglować.
Gdy uczciwa — to polubić.
Gdy wzajemna — to poślubić.
Gdy rozsądna — to ją cenić!
Gdy za mądra — strzeż się żenić.
Sąsiadować — to spokojnie
Gdy obdarzać — to już hojnie.
Gdy docierać — to z obcesem.
Kiedy niszczyć — to z kretesem.
Gdy miłować — to wygody.
Gdy wyśmiewać — to już mody.
Kiedy hulać — to z drugimi.
Kiedy umrzeć — to w swej ziemi.

(**Przypisek dzisiejszy:** Kalendarzowe te reguły, wzięte z lamusu staroświecczyzny polskiej niepozbawione są swoistego humoru polskiego, a równocześnie są doskonałym przyczynkiem do scharakteryzowania narodowego typu polskiego. Temperament i sławne „zastaw się, a postaw się" wychodzą z tych „reguł" jak na dłoni. Obok wielu wad widoczne są także zalety charakteru polskiego, całość jednak, wywodząca się ze smutnej epoki Sasów, należy już bezpowrotnie do mentalności i traktować ją należy raczej jako wesołą ciekawoskę z przeszłości.)

GUSTAW MORCINEK

Nasza święta Barbara

W mitologii śląskiej skromne miejsce zajmują duchy górnicze, czyli — jak je Roździeński uczenie nazwał — „virunculi montani".

„Są też jacyś duchowie dziwni, którzy w ziemi
Pospolicie bywają więc między kruszcami.
Ci z górniki przy kruszcach jakby cech trzymają..."

Tak pisze o nich w swej książce p. t. „Officina ferraria" w roku 1612.

A więc jeżeli wierzyć Roździeńskiemu, to przede wszystkim był potężny duch Szarlej, przebywający w kopalniach srebra koło Bytomia. „I wszelkie szczęście górnicy przez długi czas mieli, póki z niejakim Szarlejem dzierżeli." Lecz że mu potem rozmaite przykrości wyrządzali, „wzbrzydzali się jego towarzystwem, karaktery pisali, krzyżyki do tego czynili", przeto duch Szarlej, „prędko mszcząc się despektu swojego" — zatopił im wszystkie kopalnie, będąc na tyle uczciwym, że górników poprzednio ostrzegł przed swoją zemstą. I w tym miejscu, gdzie dawniej były kopalnie, „zaraz wstała wielka woda, a stąd Szarlejem to jezioro zowią, w którym to czasem ryby miast kruszcu łowią".

Tak twierdzi Roździeński w swych rymach i wypada mu wierzyć chociażby już stąd, że nazwa Szarlej pozostała do dzisiaj.

Sens moralny z owego opowiadania taki, że nie dobrze czynić duchom ziemskim na „despekt". Były to bowiem duchy nie mogące przepomnieć doznanych uraz. Nawet taki cudzoziemski Kobalos, pochodzący gdzieś z Grecji, a zadomowiony w kopalniach śląskich, aczkolwiek „z ludźmi kuglował, wszakoż, acz w straszliwej postawie przychodził, przecię nigdy żadnemu nie szkodził". Tak długo, aż jakiś niepodarzony wesołek z braci górniczej „uczynił pośmiech" Kobalosowi, który za karę wesołkowi onemu „zaćmił wzrok i zawiódł go do błota, z którego niźli wylazł, miał dosyć kłopota. Potem go w wodzie maczał i po bagniech wodził tak, że więc i cały dzień — nie wiedząc gdzie — chodził." A potem jeszcze „w jasny dzień ciemnymi obłoki zaćmił drogę a zbudził deszcz i z gromem wielki".

Potem był jeszcze jakiś cudaczny duch, „który się z wielką szyją jak koń ukazował tak długo, aż nakoniec w swej szatańskiej złości zadusił w onym szybie górników dwanaści".

Roździeński wymienia jeszcze inny rodzaj duchów, pomagających kuźnikom w pracy. Były to tak zwane Duchowie Kuźniczni czyli Uboże, a jak na Śląsku Cieszyńskim ich nazywają — Bożatka. Owe Uboże czyli Bożatka były malutkimi duchami. „Przychodzili radzi do kuźnic w soboty. A gdy się uciszyli i spać szli kuźnicy, tedy oni kowali więc po całej nocy, a skoro kur zaśpiewał lub świtać miało, znikali i kowanie owo ustawało." Za to wszystko dostawały owe duszęta miskę jadła, którą kuźnicy u pieca stawiali w sobotę wieczorem.

Był potem jeszcze jakiś Freszel, którego szatan odarł ze skóry, były jeszcze jakieś latawce, lecz to miało mało co wspólnego ze stanem górniczym.

To wszystko było w roku 1612.

Lecz kiedy ja urosłem i stałem się już tak dużym, że mogłem pójść do pracy w kopalni, dowiedziałem się o Pusteckim. Pustecki — to ten sam duch, co Skarbnik, przezwany także ziemskim duchem. Jak wmawiali we mnie starzy górnicy, jest to duch bardzo porządny i dobrodajny, tylko trzeba mu zawsze „dobrorzeczyć", gdyż — jak twierdzili — bywa on bardzo „uprchliwy" i za byle krzywe słowo zaraz się gniewa i wali po gębie, lub zrzuca wagonik ze szyn, lub też spowoduje obwał w filarze. Na ludzkie życie bardzo nie nastaje, przeciwnie —usiłuje chronić górnika przed śmiercią. A więc puka w stropie lub w caliźnie, przechodzi czasem w milczeniu przez chodnik, stary, siwy, o długiej, białej brodzie, w mundurze sztygara, z czerwonym światłem w lampie, czasem też wprost powie: — Uciekejcie, chłopi, bo byuzie walić, jak sto diabłów!... — i wtedy wszyscy uciekali z przodka w którym istotnie potem waliło jak sto diabłów.

— Tylko to ci powiadam, synku — pouczał mnie stary, wąsaty dozorca o rudej czuprynie i o czerwonym nochalu — to ci powiadam, żebyś nigdy na dole nie gwizdał...

— Czemu, panie Machej?

— Hy, czemu? Bo przyjdzie Pustecki i do ci w pysk, aż ci zęby zadkym wylecą!... Bo on tego nie lubi, by mu pod nosem gwizdano. A pieronować możesz, ale bardzo nie, bo jak bardzo zapieronujesz, to też przyjdzie a maźnie cię kilofem przez pukiel, że bydziesz mioł dość!... Tóż se zapamiętej, ślimoku!...

Chodziłem przeto do kopalni przez trzy lata, nigdy nie gwizdałem, nigdy mocno nie pieronowałem i Pustecki za to nigdy mi się nie pokazał. Lecz inni widzieli go na własne oczy. Tak przynajmniej zapewniali kolegów pod szybem.

— Powiadóm wam, srogie chłopisko, z brodą jak u świętego Mikołaja, siwy, stary, z czerwonym światłem!... Na mnie strach piznął, lecz myślę sobie, to jest przecież porządny duch. Zdejmuję czopkę i powiadam: — Szczęść Boże, Panie Pustecki!... A on kiwnął głową i powiada grubym basem: — Szczęść Boże, Donociku!... No, jak tam fedrujecie?... Jo mu powiadam, że węgiel twardy, jak pieron, że nie chce puszczać, że na słoną wodę nie zarobimy. A on się jeny uśmiechnał pod tym biołym wąsem i klupnął kilofem o ścianę i wtedy tyle węgla się zwaliło, że mieliśmy co przez dwie szychty fedrować!...

A już cuda o nim opowiadano, gdy wszyscy górnicy zjechali pod ziemię i gdy rozeszli się do swych pokładów. Zanim jęto się pracy, siadali na rozjazdowych płytach przed kołowrotem u szczytu pochylni i opowiadali. „Przykręcone" światła w benzynowych lampach sączyły się w mroku i rysowały ludzkie twarze w kanciaste, twarde kontury. Naokoło była cisza, tylko ludzkie oddechy szeleściły w niej, jak zeschłe liście, a wypowiadane słowa były również twarde i kanciaste. Opowiadano sobie o wszystkim. I o tym, że Folwarcznego Zuzka będzie miała dziecko z inżynierem Rothem, że Kubience ocieliła się krowa, że w sejmie pobili się posłowie, że cukier znowu zdrożeje, że stary Donocik znowu się ożarł jak prosię i gonił z siekierą za babą swoją, że w pokładzie piętnastym węgiel jest kruchy i że dlatego panowie znowu obniżą zarobki, że w niedzielę będzie przedstawienie u Mokrosza i że młodzi amatorzy będą grali jakąś sztukę o świętej Barbarze. Oraz że duch Pustecki już dawno się nie pokazał i że niech mówi, co kto chce, lecz to jest jednak raz porządny duch!... Nie można nic złego o nim powiedzieć. I że się go trzymają figle. Bo oto temu kulawemu Mołdrzykowi włożył zdechłą mysz między dwie kromki chleba...

Potem grano u Mokrosza przy Suskim Lesie śliczne przedstawienie amatorskie o świętej Barbarze i wtedy wszyscy górnicy w mojej kopalni przez kilka dni opowiadali o niej niesłychane dziwy. I od nich dopiero dowiedziałem się, jaka to jest zacna patronka górników.

— Mówię ci, synku, jak będzie ci się ścigało, gdy już ci będzie trudno wytrzymać, westchnij do świętej Barborki! — pouczał mnie chudy Somerlik ze Sowińca. — Przyjdziesz do przodku, westchnij do świętej Barborki! Jedziesz z węglem, wciągasz wagonik z pochylni, westchnij se do niej nabożnie. Stajesz w windzie, zaczynasz pracę, westchnij do niej!... Ho! Ho!... Bo ja dobrze wiem!... Ona tam nic nie mówi, nie smyko się po kopalni, jak ten stary Pustecki, nie stuko kilofem w stropie czy w ścianie, nie wydziwia, tylko robi swoje...

— A co robi?

— Chodzi za każdym górnikiem i odganio śmierć... Bo musisz wiedzieć, że za każdym z nas, górników, smyko się śmierć!... A święto Barborka ją odganio od człowieka!... A idźże ty, psioduszo!... woła na nią i tak wciąż.

— Hm, to jest dobra święta!...

— Jako prawiem! Dobra!... A nic za to nie chce, tylko chce, żeby w jej dzień, to znaczy na 4 grudnia porządnie ją uczczono. Z muzyką, z paradą, w kościele, wszystko!...

Od tego czasu minęło wiele lat.

Te wszystkie postacie ze śląskiej mitologii, te wszystkie utopce, i jaroszki, i nocznice, i mory, i bożatka powoli wymierają, powoli postać Skarbnika czy Pusteckiego przechodzi już tylko w dalekie wspomnienie, zaprawione sceptycznym uśmiechem, a kult świętej Barbary nadal istnieje.

I jej postać wyblakła w ciągu lat, przemieniła się w jakiś odległy mit wypłowiały, już teraz nie chodzi za górnikiem, jak ongiś chadzała, lecz jej kult nadal pozostał. Zatarła się jej dziewczęca postać z męczeńską palmą, na tle szczerbatej wieży, przestano o niej śpiewać w „cechowni" przed prymitywnym ołtarzem nabożne inwokacje, już nie opowiadają sobie o niej górnicy, siedzący gromadą przed kołowrotem u szczytu pochylni, lecz mimo tego pozostała pamięć o niej u każdego górnika. Zdetronizowany Skarbnik czy Pustecki poszli między bajki dla dzieci, a święta Barbara nadal króluje i w kalendarzu i w święcie górniczym.

Kult jej zmienił się w tradycję, ze wszystkich zaś tradycyj ludzkich chyba najpiękniejszą jest owa szorstka, czasem aż rubaszna miłość górnika do owej świętej Dzieweczki sprzed tysiąca lat. Jej kult, sprawowany z namaszczeniem przez śląskiego górnika przypomina coś z owych kultów świętych, spotykanych u Włochów. Lecz tylko przypomina, bo w istocie swej jest tak bardzo odmienny od tamtych włoskich prymitywnych uczuć, częstokroć aż za prymitywnych, graniczących z niesmakiem.

Typowa u górnika śląskiego rubaszność typowa u niego duma górnicza, połączone z dyskretnie podcieniowanym kultem świętej Barbarki tworzą w sumie osobliwy obraz, który zdumiewa przybysza swym pewnego rodzaju egzotyzmem. Postronnego widza interesuje tylko ów ceremoniał w dniu 4 grudnia, on tylko zauważy górników ubranych paradnie, ich charakterystyczne świętowanie, nacechowane znowu ową rubasznością, prostotą w obejściu, połączoną z akcentowaniem owej odrębności stanowej — jeżeliby tak można powiedzieć — właściwej zawodowi górniczemu. Nie zauważy jednakże owego ukrytego, a tak bardzo tkliwego stosunku człowieka kopalni do swojej dziewczęcej Patronki. A przecież w tym leży urok owego święta górniczego.

Gustaw Morcinek.

Szyndzioły
Dodatek Głosu Ludu poświęcony kulturze i sztuce.
NR 10
CZESKI CIESZYN
ŚRODA 24 GRUDNIA
1947

GUSTAW PRZECZEK

Narodziny Chrystusa na śląskim Parnasie

W poezji średniowiecznej pierwsze miejsce zajmuje poezja religijna. Jest to normalny objaw, ponieważ w tych czasach głównie duchowieństwo stanowiło grupę ludzi wykształconych, którzy jedynie zajmowali się literaturą. Oczywiście, że najważniejszą troską duchowieństwa było oczyszczenie z grzechów duszy człowieczej i doprowadzenie jej do bram niebieskich. Dlatego też poezja ta była nauczająca i nawołująca do pokuty, do poprawnego i bogobojnego życia.

Nie znamy autorów tych pieśni. Nie wiemy, kto je pisał. Niektóre noszą cechy naśladownictwa i powtórki innych wierszy, co pozwala domyślać się, że korzystano z pewnych wzorów. Pierwowzorem tych wierszy były niewątpliwie doskonałe wiersze łacińskie, czego dowodem jest częste wierne naśladownictwo tak formy, jak czasem i myśli.

Głównymi motywami były: narodzenie Chrystusa, momenty o głębi religijnej z Jego życia aż do Jego zmartwychwstania, następnie życie Najświętszej Marii Panny, jej stosunek do Syna, oraz życie poszczególnych świętych.

W różnych okresach różne tematy nabierały specjalnego nasilenia, dlatego też literatura poszczególnych okresów różni się od siebie zasadniczo tematyką. Początkowo najliczniejsze pieśni postne były wyrazem średniowiecznej ascezy, która największych wartości upatrywała w cierpieniach i umartwieniach. Z pierwszym powiewem renesansu roztajała ascetyczna surowość serc ludzkich. Zwyciężyła Chrystusowa słodycz i dobro, odkrywając radość życia i jego piękno poza cierpieniami.

Od tej poezji tylko krok pozostał do pieśni opiewających Boże Narodzenie, do kolęd.

Kolędy zrodziły się pod koniec średniowiecza, nie doczekały się jednak w tym okresie pełnego rozkwitu.

W kolędach tych śpiewano, jak to przewidziany przez Izajasza, zwiastowany Marii przez Gabriela narodził się stworzyciel „wszelkiego stworzenia" w małej mieścinie Betleem. Treść tych kolęd jest prosta: wzywa wszystkich, by Bogu cześć oddali za to, że raczył przyjść na świat. To ubóstwo treści wynagradzają uczucia, które tchną z każdego słowa. Z każdej kolędy bije szczera i jasna radość, głęboka miłość ludzi prostych. W niewyszukanych wierszach rozbrzmiewa głęboka wdzięczność i podziw zarazem, że ten pan nad pany zechciał zejść na ziemię.

Późniejsze kolędy rozszerzają skalę uczuć budzących się w ludzkich sercach, pogłębiają ujęcie tematu i wprowadzają dużą różnorodność. Koloryt lokalny nadaje im wybitnie narodowe piętno. Kolędy te już omawiają wszechstronnie narodzenie Pana Jezusa.

Najpiękniejszą kolędą z tych czasów jest niewątpliwie Karpińskiego „Bóg się rodzi, moc truchleje". Jest to przepiękna pieśń, przemawiająca do nas mocą swego wyrazu i artyzmu przez krótkie a zwarte przeciwstawienia podkreślające niezwykłość zdarzenia, gdy Bóg się rodził, a moc truchlała, ogień krzepł, blask ciemniał, a słowo ciałem się stało...

Poezja religijna, nie tylko że w późniejszych czasach nie zanikła, ale rozrosła się ilościowo i jakościowo. W nowej poezji opiewającej Boże Narodzenie znajdują swój świeży wyraz motywy dawnych kolęd. Nie tracą więc swego znaczenia, ale zachowują swą pełną wartość inspirując współczesnych do twórczego wysiłku.

Nawet najwybitniejsi poeci polscy głęboko odczuwali łączność swej twórczości z bezimienną pieśnią gminną. To była, jak ją Mickiewicz nazywa, owa „arka przymierza". Utwory wigilijne wielkich poetów posiadają właśnie dużo cech tej arki, która przymierzem łączy literaturę z ludem. I tak Mickiewicz, który szczerze pragnie, by jego książki zabłądziły pod chłopską strzechę, najgórniejszy a zarazem najchmurniejszy swój utwór, Dziady cz. III, rzuca na tło wigilii Bożego Narodzenia. Grozie improwizacji przeciwstawia łagodny chór aniołów śpiewających „Anioł pasterzom mówił" nad księdzem Piotrem.

Tak samo i w duszy Słowackiego prosta kolęda przychodząca do niego wspomnieniem dworku krzemienieckiego w chwilach nostalgii w dalekich krajach na obczyźnie przetwarza się w głębokie przeżycie, które znajduje wyraz w licznych fragmentach swych poezyj, np. jasna kolęda z „Złotej Czaszki".

I współcześni poeci nie zapominają o kolędzie. Można by tu dużo przytoczyć przykładów.

Zwróćmy jednak szczególniejszą uwagę na naszą rodzimą literaturę śląską, a zwłaszcza literaturę Śląska Cieszyńskiego.

Jednym z zupełnie pierwszych, który mając świeżo w uchu melodie organ kościelnych wyśpiewywał sobie przy swym warsztacie tkackim swe wdzięczne pieśni religijne, najliczniejsze „Pieśni pasterskie o Narodzeniu Pańskim", — jest jabłonkowianin Adam Sikora.

Wspomniane już jego „Pieśni pasterskie o Narodzeniu Pańskim" składają się z kilkudziesięciu pieśni, mniej lub więcej oryginalnych, które łączy wiążąca się treść w pewną liryczno-epiczną całość o narodzeniu się Dzieciątka Jezus. Zaczyna od stworzenia świata, poprzez grzech pierwszego człowieka — aż do zwiastowania przyjścia Mesjasza, który ma wykupić grzesznych ludzi od wiecznego potępienia.

„By nie zginęła wiecznie dusza wasza,
Obiecuje wam Bóg dać Mesjasza,
Który się z czystej dziewicy narodzi
I z rozgniewanym Bogiem pogodzi.
Już obietnice one się spełniają,
Już się też złote godziny zbliżają,
Już pozdrowienie przyjęła Maria,
Już zakwitnęła prześliczna lilia."

Treść następujących po sobie pieśni zgadza się ściśle z treścią biblijną.

„Już Najświętsza Maria do Betleem przybyła,
Żeby nam o północy Zbawiciela powiła;
Już Józef święty w stajence pościółkę Mu gotuje
Ze słomy i trochę siana, bo mu pierzyn brakuje."
A potem:
„Wszystkie wojska anielskie w tym największym porządku
Gotują się na ukłon niebieskiemu Dzieciątku;"...
— — —
„Anioł Pański zstępuje na betleemską dolinę...
Pastuszkowie z ochotą, wziąwszy ze sobą dary...
śpieszą obdarować Dzieciątko."

Radość bije z prostych wierszy, wesele, wdzięczność i ta miłość serca gołębiego, co nie zna fałszu ani obłudy.

Czasem zdaje się nam, że Betleem nie jest tak daleko w obcych krajach, ale tutaj, w pięknych Beskidach. I ci pastuszkowie jakoś dziwnie przypominają nam pastuszków beskidzkich, co na szałasie gdzieś na Girowej, Kozubowej czy Baraniej swe owieczki paśli.

I wszystko się z nim cieszy, cały świat się śmieje tą najszczerszą radością i najpełniejszym szczęściem, by zastygnąć wiecznie przed żłóbkiem w niemej prośbie.

„Upraszamy o zdrowie
Tak, jako pastuszkowie
O błogosławieństwo Boże,
O jarzyny i o zboże,
Żeby nam w to lato
Pożegnał bogato.
I zachował od szkody
Od wszystkiej złej przygody,
Od moru, głodu i wojny,
Użyczył nam czas spokojny
Byśmy w naszym kraju
Mogli żyć jak w raju."

W innej pieśni godowej p. t. „Przyjdźcie chrześcijańskie narody" z r. 1866, nie tylko ludzie śpieszą pokłonić się do żłóbka Dzieciątka Jezus, ale wszystkie ptaki i zwierzęta. I one doznają cudu przyjścia na świat Zbawiciela.

Pierwszym natchnionym pieśniarzem śląskim jest Jan Kubisz, który w swej twórczości próbował wyższych lotów. Nie znajdujemy tu jednak utworów na temat Bożego Narodzenia, chociaż w jego twórczości nie brak wierszy o tematyce religijnej, które większością jednak nakierowywuje na nutę narodową, np. w wierszu „Nie mogliście jednej godziny czuć ze mną?" W jego wierszach religijnych najmocniej rozbrzemiewa męka Chrystusa, a nie ma wcale słonecznej radości Bożego Narodzenia. Jest tylko męka Chrystusa zestawiona z męką ludu jako harmonijna całość.

Te same pierwiastki znajdujemy w poezji Pawła Kubisza. Będą tu mocne akordy buntu ciemiężonego chłopa, będzie walka, rzadziej męka, będzie żywiołowa wesołość nie z zadowolenia płynąca, ale dla zagłuszenia bolesnej reminiscencji bezskutecznej walki o prawo człowieka, będzie życie ludu szorstkie bez retuszu („W Gutach jest muzyka"), brak tu jednak zupełnie ciepła i blasku gwiazdki zwiastującej przyjście na świat Zbawiciela.

Twórczość Fierli ma charakter więcej miękki. Rozszumiały się w niej potoki górskie, rozdudrały smreki. W tematach religijnych wiersze swe zbytnio „rozkolędziołkował". Jego Chrystus nie przychodzi jako Dzieciątko Jezus, nie rodzi się w stajence (poza utworami przeznaczonymi dla młodzieży, a drukowanymi przeważnie w „Naszym Pisemku"), ale przychodzi jako Jezus nauczający, jako Jezus-cud dokonany z pominięciem cudu samego przyjścia na świat jako niemowlęcia.

„Tobie kolęduje Beskid
a rzępi głosami,
a zwóni zwónkami,
a gro organami —
Tobie, Paniejezusie, gróni beskidzkich najlepszy wachtorzu,
Tobie, Paniejezusku, gróni beskidzkich odwieczny gazdo i gospodorzu...

Nie wydał jeszcze Śląsk swego pieśniarza, któryby w mocnych słowach wyśpiewał kolędę będącą wyrazem uczuć ludu śląskiego w obliczu Bożego Narodzenia w nastrojach tak mrocznej chaty górala beskidzkiego jak ciasnej izby hutniczej czy górniczej.

Gustaw Przeczek.

PAWEŁ KUBISZ

Legenda Wydziedziczonych

Fragment z aktu I-ego.

(Scena przedstawia obszerną komnatę myśliwską na zamku frydeckim z roku 1715. Ściany komnaty przybrane są bogato w trofea myśliwskie. Na dużym stole kilka świec w lichtarzach, jedna z tych świec pali się. Niedaleko stołu, zastawionego m. in. gąsiorami wina i puharami, jakby po prawie odbytej hucznej uczcie, w wygodnym dużym fotelu, w pozycji półleżącej, spoczywa Król Tyran (hrabia Prażma). Opodal fotelu na dużej niedźwiedziej skórze, z rękami założonymi za głowę, śpi giermek. W każdym kącie komnaty zwisa ciężka, sukienna kotara. Do komnaty prowadzi troje drzwi: z lewego, prawego i środkowego skrzydła zamku. Jedno z dwóch wielkich okien komnaty jest zupełnie otwarte. Przez otwarte okno widać na niebie dwa złote rogi księżyca. Przez okno wieje do komnaty lekki poświst wiatru wraz z rzadkim ujadaniem chartów.)

SCENA PIERWSZA

(Do komnaty wchodzi powolnym i majestatycznym krokiem Nemezys. W długiej przewiewnej szacie, w sandałach na bosych nogach, zatrzymuje się przed fotelem Króla-Tyrana. Nagle świst wiatru z lekka porusza jej szatę.)

NEMEZYS

Idę drogą dziejbę siać,
Od rzepiska w marchwi nać —
Z dworskich gumien w jęk czworaków,
Od poddasza do baraków...
Od człowieka do człowieka,
Dolę krwawą dalej szczekać!
... Wszystko tutaj — krew z rapiera,
Wyzysk, sława, poniewiera —
Wojna, pomór, szubienica...
Pan kapitał... na grób świeca...
I dyktator i niewola,
Posprzątana z miast i pola!
— — — — — — — —
... Rodziłam się z Panem Bogiem
W ziemi... w niebie... i pod progiem,

Hr. Prażma

I na tronie i w więzieniu!
Nazywam się bunt i trąd,
Noc kracząca, piekło, swąd —
I sąd Boży na obroży...
W iskier płochych bzykam snop,
Znaczę dziejby swojej trop —
Wyśpiewuję historię!

KRÓL-TYRAN (hrabia Prażma)

(Lekko przeciąga się w fotelu i niedbale macha ręką)

Sokoły na łowy... i trąbki i granie —
Od nocy do nocy hulanka, hulanka!
Do syta mam jadła w bogactwie me spanie,
I żony grafiny i dziewka kochanka!
I giermki, dworzany i błazny królewskie —
I katów w zapasie na każde skinienie!
...Od złota me palce w pierścieniach zgrubiałe —
...Panuję i rządzę — — — zabijam westchnienie!

NEMEZYS

(Wskazując ręką na Króla-Tyrana)

Ja wam monarchom, ja wam cesarzom
Korony zrzucę i trony zgruchocę!
Losy nierychłe, losy co karzą
W bramy przywołam, drzwi wyszamocę!
...Po polskich krajach... kości bieleją — — —
Ze słów rozpaczy dmuchną płomienie!
Krzywdę zasiałam straszną nadzieją,
Rewolucji mam na czole wieniec!

KRÓL-TYRAN (hrabia Prażma)

Zabiję, zabiję!...
Kto tu bunt sroży?

NEMEZYS

Niczyje, niczyje —
Losy ci wróżę!

KRÓL-TYRAN (hrabia Prażma)

W mgle się rozpływa,
Groźbą mi kiwa!
Kto... ona?

NEMEZYS

(Wyciąga z swej powłóczystej szaty księgę i gęsie pióro)

Patrz!
W księgę wpisuję historię!

KRÓL-TYRAN (hrabia Prażma)

(Ze strachem)

Błędy, czyje?

NEMEZYS

Takich mocarzy jak ty!

KRÓL-TYRAN (hrabia Prażma)

Straszą straszydła czy sny?

NEMEZYS

(Z trzaskiem zamyka księgę i chowa ją w swej powłóczystej szacie)

Noc opętana
Z trzaskiem do rana,
Zbudzi cię zbudzi —
Łachu królewski,
Pod brzask niebieski!

(Po chwili z pełnym akcentem w głosie)

Pięści zacisłe — grzbiety obwisłe,
Męka wgryziona i na ból słona —
...Ten tłum to ludzie, życie zakisłe —
Wydziedziczeni... gromada ona!
Z waszych folwarków, z waszych gorzelni -
Łzy na kołacze białe mielone
Kielich goryczy nalano w pełni,
Ludzki winograd w krople czerwone!

(Nemezys odchodzi, Król-Tyran rzuca się gniewnie na swym fotelu i wydaje z siebie niezrozumiałe okrzyki zgrozy. Ze środkowych drzwi wbiega do komnaty Błazen Królewski, ubrany w strój aksamitny, głowę ma przystrojoną w kołpak z dzwonkami)

BŁAZEN KRÓLEWSKI

Cóż to... król nie śpi? Słyszałem wołanie,
Coraz obfitsze krzyki nas dochodzą!
(Giermek budzi się, dźwiga głowę i patrzy na rozmawiających rozszerzonymi z zadziwienia oczyma)

KRÓL-TYRAN (hrabia Prażma)

Widma tu błądzą. zemsty dzikiej taniec —
Noce ponure śmiech upiorów rodzą!

BŁAZEN KRÓLEWSKI

Twoje sumienie gryzie cię... truje!
To twoje rządy upiorem w gościnie!
Jakaś godzina klęskę ci gotuje...
Twój lud żółć pije... ty kąpiesz się w winie!

KRÓL-TYRAN (hrabia Prażma)

(Z oburzeniem)

Azali ciebie błaźnie, gminny parchu,
Posłać na szafot i katy zawołać?
Jam król... tyś ścierwo — powróz na twym karku,
Twoją obrazę zażegnać podoła!

(BŁAZEN zaczyna przechadzać się niespokojnie po komnacie, podpierając swój podbródek ręką. Przez okno komnaty dolatuje wyraźnie skandowana pieśń trubadura przy akompaniamencie harfy)

Przy pańskim dworze
Rządzą hajducy,
Plecy w pokorze
Ćwiczone nucę!
Pańszczyzna rządzi,
Bity chłop kona —
Cesarz, car sądzi,
O krwi czerwona!
Hań przy Wrocławiu
Polskie książęta —
Już dziś niemieckie,
Chowią szczenięta—
— — — — — — — — — — —

Był tam w Nysie był Mikołaj,
Z ludem spisek — Piast książęcy!
Stare dzieje z burzy wołaj
Z dni zabitych buntu więcej!
Pruskie pany, cuoze pany —
Sądzą, sądzą Mikołaja —
Słup piastowski już złamany,
Krzyżak dławi w śląskich krajach!

(Pieśń milknie BŁAZEN przystaje, patrzy w ziemię)

Kat

BŁAZEN KRÓLEWSKI

Posiedzieli, uradzili ci w kapturach,
Tam na sądzie, w nyskiej sali w ciężkich murach...
Młotkiem w stoły odstukali groźnie, głucho —
Na poparcie słów germańskich polską juchą!
Chrystus trząsł się skamieniały, kiej to słyszał -
Palcem żgał mu pod nos krnąbrnie pruski pyszał — — —
Wyrok prawił... Boga wołał dookoła,
Słowa ciapał metalowe, gnótł pot z czoła:
„Tyś z piastowskiej krwi rodzony,
Mikołaju drugi, nyski —
Wyrok czytam ci przed zgonem" — — —

KRÓL-TYRAN (hrabia Prażma)

(Przerywa wywody BŁAZNA i krzyczy:)

Czyjeż to prawo?... pod moim pałacem,
Rokosze śpiewać, lamenty zawodzić?
Już jutro rankiem dziesięć chłopów stracę —
Ziemię gryść pyskiem! Z gnoju ziemia rodzi!
To ty mój błaźnie lud tak rozzuchwalasz,
W kpinę ubierasz króle i cesarze...
Twój wymiot gębny imperia kala —
Ty chcesz podpalić świat buntem w pożarze!
Jakąś ojczyznę przeciw nam zbudować,
I polskie państwo z naszych krajów tworzyć!
I tam z tym ludem i władzą przodować,
Zamiast przed nami na klęczkach się korzyć!
Berlin i Wiedeń... Piotrogród.. Urale,
Wasi królowie — inne mosty palę!

BŁAZEN KRÓLEWSKI

(Z pogardliwą obelgą w głosie)

Jak majestat każe...
Kata zawołam i na gnot złożę głowę!

KRÓL-TYRAN (hrabia Prażma)

(Szyderczo)

Gotów mówić „w ofierze"!

BŁAZEN KRÓLEWSKI

Wszelką rzekłem prawdę — a nic jej połowę!

GUSTAW FIERLA

Kościoły drewniane na Śląsku Cieszyńskim

Wśród zabytków dawnego naszego budownictwa drewnianego pierwsze miejsce zajmują drewniane kościoły jako **bardzo cenne budowle zabytkowe.**

Dawne nasze kościoły drewniane wykazują wielkie bogactwo form w sposobach wykonania oraz **duże wartości pod względem artystycznym,** wytworność kształtu i wybitne swojskie cechy stylowe. Zachowały one pewną **odrębność i swoiste piękno.** W większości wypadków jest to praca naszych dawnych wiejskich cieśli. Pewne wspólne cechy, wynikające z tradycyjnej **słowiańskiej konstrukcji zrębowej** sięgają bardzo dawnych czasów. Widać tu wprawdzie pewne analogie z budownictwem murowanym i wpływ ciesiołki miejskiej, bardzo wcześnie u nas wykształconej — jednakże większość zabytków budownictwa drewnianego wykazuje wyraźną **odrębność stylową,** wykształconą może na pradawnych słowiańskich gontynach pogańskich.

W swym typie zbliżone są śląskie kościółki drewniane do kościółków na innych ziemiach słowiańskich, w szczególności do kościółków w Małopolsce zachodniej i na Górnym Śląsku.

Nasze dawne drewniane chaty śląskie, a nawet dawne domy mieszczańskie odznaczały się równie piękną architekturą (np. dawne drewniane domy z podsieniami w Jabłonkowie). Ich szczegóły architektoniczne przypominają nam części składowe kościołów drewnianych.

Najstarsze kościoły drewniane u nas pochodzą z 16 wieku, ale jeszcze w wiekach 17 i 18, podobnie jak na Górnym Śląsku, budowano u nas kościoły przeważnie z drzewa. Drzewo było przez długie wieki przeważającym materiałem budowlanym; było go u nas pod dostatkiem, to też i w miastach najstarsze kościoły były początkowo niemal wyłącznie drewniane (np. w Jabłonkowie).

Najdawniejszymi drewnianymi kościołami na Śląsku Ciesz. są: zbudowany w r. 1552 w Kamienicy przy Bielsku i w r. 1563 w Gutach; z nowszych: zbudowany w r. 1777 w Kończycach W., a jednym z najnowszych jest kościółek w Gruszowie, zbudowany w r. 1813.

Kościółki drewniane budowano zwykle w skromnych rozmiarach, za to starano się je ozdobić i upiększyć tak po stronie zewnętrznej jak i wewnątrz.

*

Kościółek drewniany składa się z **nawy, prezbiterium** oraz **wieży.**

Rozróżniamy **kilka typów kościołów drewnianych;** różnią się one kształtem ogólnym, formą wieży, specjalnie jej dachu, kształtem sobót i innych części budowli.

Najczęściej budowano kościół drewniany na **planie kwadratu** lub zbliżonego do niego **prostokąta;** prezbiterium było nieco węższe, zakończone prostokątnie albo trójbocznie. Mniejsze kościółki zbudowane są na planie jednego tylko prostokąta (np. Gruszów).

Konstrukcja kościoła jest **zrębowa („na zrąb");** podobna do zrębu chaty, tylko że belki zwykle nieco staranniej są ociosane. Dębowa **przycieś** (najniższa część zrębu) leży na **dębowych kłodach.** Ściany zbudowane z jodłowego lub świerkowego drzewa wyjątkowo tylko były modrzewiowe. W zdumienie wprawiają nas belki swą grubością, a zachowały się do dzisiejszych czasów często w zupełnie zdrowym stanie.

Kościół okryty jest **dużą strzechą,** spadającą niemal do ziemi; chroni ona ściany kościoła przed deszczem i śniegiem. Nad nawą dach jest wyższy, nad prezbiterium niższy; jest on dwuspadowy nad prostokątną budową, a kończy się wielospadowo przy wielobocznym zakończeniu budowli (np. Kamienica, Międzyrzecze G.). Stromy dach przechodzi ku dołowi w łagodnie wygięty **okap,** który chroni najwyższe belki ścian przed opadami atmosferycznymi. Niskie, pochyłe strzechy, okrążające kościół w połowie wysokości ściany, oparte na graniastych słupach z „zastrzałami", tworzą długie **podcienia zwane sobotami.** Dawały one schronienie dla zebranych w razie niepogody w czasie uroczystości kościelnych.

Zakrystia — zwykle murowana i sklepiona — dostawiona była zazwyczaj do północnej ściany prezbiterium.

Wieża była najpiękniejszą częścią kościoła drewnianego. Nie związana konstrukcyjnie z kościołem stanowiła z nim organiczną całość. Budowano ją **„na słup".** Cztery olbrzymie tramy dębowe pochylone ku sobie stawiano w górę; wiązano je poprzecznymi belkami za pomocą kołkowania. Wieża miała kształt graniastosłupa o podstawie kwadratowej (np. Sto-

Kościół w Marklowicach

KRÓL-TYRAN (hrabia Prażma)
(Ze złością)
Bezczelna twoja mowa!

BŁAZEN KRÓLEWSKI
(Spokojnie)
Wolno i tobie na słowa!

KRÓL-TYRAN (hrabia Prażma)
(Z powziętą decyzją)
Giermku, wołaj kata,
Giermku, wołaj straże!
W włosienniczą szatę —
Błazna przywdziać każę!

(Niezdecydowany giermek powoli opuszcza komnatę)

BŁAZEN KRÓLEWSKI
(Do odchodzącego giermka)
Pośpiesz się... wykonać rozkaz Tyrana
Bo dobrym byłem błaznem swego pana!
(Po chwili do siebie)
Za wierną służbę życiem będę płacił —
... Życie to liść, który wiatr pognał... stracił!

KAT
(Wchodzi do komnaty w czarnym habicie, na rękach ma długie białe rękawice — w lewej ręce trzyma topór. Zwraca się twarzą do Króla-Tyrana)
Majestacie, mistrz kat do posługi...

KRÓL-TYRAN (hrabia Prażma)
(Wskazując ręką na stojącego nieruchomo Błazna)
Tego mi bierzcie — zgładzić na gnocie,
... Dziś o północy — dzień dlań za długi!
... — — — Kołpak mu zrzucić!

(Kat podchodzi do Błazna i zrzuca mu z głowy kołpak)

Z włosia w kapocie — — —
Niech na śmierć idzie, chamski burzyciel!
... Moje komnaty ten błazen strojny,
Jak gad tu wpełznął w syte wyżycie —
Chciał władzy gminu i z tronem wojny!

KAT
(KAT wbija jednym końcem ostrza swój topór w podłogę komnaty. Następnie podchodzi do Błazna, zakłada jego ręce w tył, wyciąga z habitu powróz i mocno je krępuje. Później podnosi topór i mówi)
Takim jest już zwyczajem
Abyś słowo ostatnie wyrzekał!

BŁAZEN KRÓLEWSKI
Nie mam się za co kajać,
Chodźmy, kiedy kat nagli i czeka!

(KAT popychając lekko Błazna, wychodzi z nim z komnaty, nagle Król-Tyran upada z fotelu na ziemię i mdleje. Z przeciwnych drzwi wchodzi do komnaty Nemezys)

NEMEZYS
Mara... jawa... sny, zdarzenia,
Rąbie topór po korzeniach —
Z rąbanego drzewa — — — w trumnę,
Ktoś tam spocznie w proch podzwonnie.
... Pługi orzą z bladą zorzą,
Łany, łany... dzikie łany:
Psiska warczą nad obroża
Z karkiem zgiętym, obszarpanym!
I księżyca dwa sztylety
Bodą ziemię rdzawym blaskiem..
Zimna jesień... drzew szkielety
Wichrem dymią, nędzy wrzaskiem.

(Nemezys znika)

Koniec sceny pierwszej.

Paweł Kubisz

Drewniany kościółek w Gutach

nawa, Olbrachcice) lub czworobocznego ostrosłupa ściętego. Większa część dawnych wież miała u góry t. zw. **piąterko**. Było ono obite pionowymi deskami, których dolną część wystającą wycinano w piękny rysunek, robiący z daleka wrażenie delikatnej koronki. W razie braku piąterka wieża była wprost zakończona dachem.

Dachy wieży (hełmy) wykazują albo kształt **ostrosłupa** albo kształt **bani**. Hełmy baniaste wykazują różne typy. Albo są złożone z pojedyńczej kopuły albo z kopuły zdwojonej; z kopuły z latarnią (np. W. Kończyce, Siedliszcze) lub z kopuły uwieńczonej dwoma latarniami jedna nad drugą. Banie dachów miały początkowo małe rozmiary (Guty, Kisielów). Na szczycie dachu nawy, rzadziej nad prezbiterium stoi na niektórych kościołach mała wieżyczka, zwana **sygnaturką**, z małym dzwonkiem wewnątrz. Jej delikatna konstrukcja wystrzela w górę jako stożek lub bania.

Do pokrywania dachów i ścian kościołów drewnianych używano **gontów** cz. **szyndziołów**, którymi pobijano również ściany wieży. W czasach późniejszych pokrywano ściany kościoła i wieży pionowymi deskami. Gonty jako materiał pokrywający nadają kościółkowi przyjemną miękkość linij a z latami nabierają pięknej różnorodności barw łączących się harmonijnie z otaczającym kościół krajobrazem. A grupy wspaniałych starych lip ujmują całość kościółka w zielony wieniec i chronią go przed wichrami i burzami.

*

Wejdźmy teraz do **wnętrza** takiego kościółka drewnianego.

W niewielu wypadkach zachowały się do dzisiejszych czasów **pierwotne wnętrza stylowe**, wypełnione dawnym stylowym sprzętem.

Wnętrze kościoła jest stosunkowo niskie. **Ściany wewnętrzne** tworzyły dawniej gładko ociosane potężne belki (np. Nydek) — później pobijano je heblowanymi deskami. Zwykłe klepisko zastępowało niegdyś **podłogę** — lub posadzka z kamiennych płyt; dziś podłoga ułożona jest z desek. **Powała** dawniejsza i późniejsze sklepienie były z desek przybitych od dołu. **Odrzwia i okna** złożone były z prostych słupów. **Drzwi** zbite były z grubych desek, osadzone na zawiasach z ozdobnymi okuciami. **Chór** stał na rzeźbionych słupach, podobnie **pawlacze**. Listwy były bogato wyrzynane w ludowe motywy zdobnicze — zaś ozdobą belek były ryzowane róże lub gwiazdy w kole i inne motywy geometryczne. Zachowały się gdzieniegdzie piękne **malowidła ścienne**, wykonane zwykle szablonami — i powała bywała bogato malowana.

Z **urządzenia** dawnego wnętrza kościółka drewnianego zachowały się gdzieniegdzie dawne **ołtarze**, wykonane ręką miejscowego majstra stolarskiego. **Obrazy ołtarzowe** były to dzieła dawnej sztuki cechowej: dzieła malarstwa deskowego z wieków średnich. Większa część obrazów istniejących pochodzi jednak z czasów późniejszych (18 w.). Części dawnych ołtarzy gotyckich widzieć można tylko w zbiorach muzealnych. Dawne **ławki dębowe** pochodzące również z tamtych czasów. (Jedne z najstarszych i najcenniejszych są w Międzyrzeczu G.) Czasem i **ambona** jest robotą, pochodzącą z ręki wiejskiego majstra. **Chrzcielnica** zrobiona była w najdawniejszych czasach zwykle z jednej dużej kłody drzewa. W zakrystji stały też **starożytne szafy**, w których przechowywano cenne ornaty. Szafy te miały również stylowe okucia, przenoszone często z dawniejszego urządzenia na nowe. Do starych zabytków kościelnych należą także drewniane świeczniki.

*

Cmentarz wraz z kościółkiem otoczony był w dawnych czasach silnym **parkanem z daszkiem gontowym** (np. Siedliszcze) — lub murem kamiennym. Groby cmentarne dziś przeważnie bez nagrobków — tylko nad grobami miejscowej szlachty bywały drewniane epitafia, których resztki znajdujemy czasem wewnątrz kościoła lub w zbiorach muzealnych.

Tak wyglądały mniej więcej dawne nasze kościółki drewniane; wszystko tam było **proste ale swojskie**, pełne poezji i wdzięku.

Kościółki te, niestety, **ulegają powoli zniszczeniu** — z powodu braku zainteresowania ogółu społeczeństwa dla zabytków rodzimego naszego budownictwa, mimo że zasługują one na podziw dla dużych wartości artystycznych, dla bogactwa w pomysłach i wykonaniu. Niewiele ich już pozostało w pierwotnym stanie. Oszpecono je, pokrywając dachy blachą lub papą zamiast gontów; wywołuje to przykre wrażenie (np. Zamarski), a zatraca się wartość artystyczno zabytkowa.

Nie wolno niszczyć wartościowych zabytków; trzeba przeciwdziałać barbarzyństwu — należy zawczasu zawiadamiać władze konserwatorskie o wypadkach niszczenia tak nielicznych już naszych budowli drewnianych o wartości zabytkowej.

W niektórych wypadkach przeniesiono stary kościółek drewniany ze wsi do parku miejskiego! Jakkolwiek nie można uważać takiego rozwiązania sprawy za szczęśliwe, to jednak chroni ono często zabytek przed grożącą mu na dawnym miejscu zupełną zagładą.

Kościół w Kamienicy przy Bielsku

Trzy nowe tomy pisarzy chłopskich

Nakładem ruchliwego wydawnictwa Oddziału Wiejskiego Zawodowego Związku Literatów Polskich wydane zostały w ostatnim czasie w pięknej formie graficznej dalsze trzy tomy pisarzy chłopskich. Są to poezje. I tak znany tatrzański poeta gwarowy Stanisław Nędza Kubiniec wydał w tym wydawnictwie swą próbę epopei góralskiej — poemat pod tytułem „Janosik". Pułkownik partyzantki chłopskiej Stanisław Skoneczny opublikował tom swych poezji „Wierni ziemi" — zaś Jan Bolesław Ożóg — „Jej Wielki Wóz".

Nowy słownik polsko-czeski

W tych dniach znane wydawnictwo praskie „Unia Graficzna" wydała nowy obszerny polsko-czeski słownik. Słownik ten opracował zasłużony dla sprawy porozumienia polsko-czeskiego prof. Bohumil Vydra. Pierwszy tom słownika, który obecnie wyszedł, posiada przeszło 800 stron druku. W krótkim czasie ma wyjść w opracowaniu tego samego autora druga część czesko-polska tego samego dzieła. Najwyższy czas, że przystąpiono do publikacji takiego wydawnictwa skoro — jak wiadomo, wszelkie dotychczasowe słowniki polsko-czeskie są już tak przestarzałe, że słusznie należy je wszystkie odesłać do jakiegoś papierniczego młyna.

JÓZEF ONDRUSZ

Podarzóne Jasełka

Kónieczny sie nazywoł, a Francek mu było na miano. W dziedzinie, kaj mieszkoł (nie zdradzym, jak sie nazywała), mioł u wszystkich wielki mir. Bo jakby też ni! Słóżbe robił przy kolei i jako konduktor jeździł z pociągym z Cieszyna do Frydku i nazod. Roboty tam prowie niejwiyncyj nimioł, bo se jyny szpacyrowoł po wagónach i szczykoł ludzióm kartki, a kiedy już dojyżdżali do Cieszyna, to wołoł we swoich wagónach głośno. jak anioł w sóndny dziyń:

— Do Jabłónkowa, do Bogumina przesiodać!

Gwóli tego kónduktorstwa szanowała go wszystka dziedzińsko starszyzna, ale młodziyż, kiero w tym szczykaniu kartek żodnych dziwów nie widziała, musiała go szanować gwóli czegosik inszego. Tyn Francek Kónieczny kiejsik za młodzioka kupa razy odgrywoł na scynie. O tym wszyscy wiedzieli. Ón sóm zaś mówił, a to sie wóm ani nie chwolił, że aktorskóm żyłke mo w małym palcu i żeby se pichnół i niejednego aktora z miasta. Tóż też nic dziwnego, że sie żodne przedstawiyni bez Francka Koniecznego nie odbyło. Ón groł niejlepszy i niejpiekniejszy.

Bez Francka Kónieczego nie odbyłyby sie isto ani jasełka, kiere w godni świynta młodziyż zagrała w dziedzinie. Pachołcy z dziywczackami se to przedstawiyni umówili już kiejsik w październiku, poszli do paterka, żeby im wygónili jaki szumne jasełka a potym wio z pytokym do starego Kónieczego, żeby se też wybroł jakóm role.

Nie odmówił. Po dłógich zbywkach zgodził sie na archanioła Gabryjela Młodzi go chcieli mieć Herodym, lebo Świyntym Jozefym, ale Francek im powiedzioł, że sie na rolach nie znajóm i zbyte. Tyn Gabryjel musi umieć grać, musi umieć pieknie śpiywac i musi być silny, aby móg Jezuska z całym żłóbkym porwać ze scyny i uciyc śnim aż kansik bezma do Egiptu. A Francek był jedyn jedyny, co to wszystko poradził. —

W drugi świynto sie odbyły ty jasełka. W Robotniczym była sala nabito ludziami, to oto nima byle co.

Dwa zwónki już odrzympoliły.

Ludzie na sali sie już naprzód cudujóm i z podziwu ręce skłodajóm nad tym wszystkim, co za chwile uwidzóm.

Za scynóm wszyscy jasełkorze majóm gorónczke. Świynty Jozef miele przed Herodym swojóm role, czy też choć czego nie zapómnioł. Śmierć chodzi po scynie, przez kurtyne zazyzuje na sale i cieszy sie w duchu, kiedy tam ludzie ręce skłodajóm i palcami pokazujóm na nie, upłakany Francik Pyrtkulin, dzisiejszy Jezusek, gryzie kąsek piernika i wkółko plecie swoj mamie (tej oprowdziwej!), że sie boi i że od ni nigdzi nie pujdzie ani na krok. Wół z Osłym stanęli w kącie, żeby im kiery nie popuczył jejich papiyrowych łbów, a kole nich chodzóm wojocy z pikami i głoskajóm sie po dłógich poprzyklejanych brodach.

A Francek Kónieczny, tyn jasełkowy archanioł Gabryjel, tyn dzisiejszy zwiastun „wesołej nowiny" siedzi w kącie obstawiony niepotrzebnymi kulisami i chrapie, jakby drzewo rzazoł. Na przedstawiyni przyszeł prosto ze słóżby, utropiony, niewyspany, bo wczora do północy mieli prube, tóż też nic dziwnego, że go śpik zmordowoł. Ustrojóny już je, skrzydła mu już też przywiązali, „na nute" też se już doł w szynku, bo go tam Panna Maryja widziała, tóż cóż by se na chwileczke nimóg zdrzymnóć. Jyny że mu światło biło do oczy, tóż se wraził na głowe swojóm, tu z tego padołu ziymskiego pochodzącóm kolejarskóm kape, i śpi.

Za niedłógo odrzympolił trzeci zwónek, za scynóm ucichło, czyrwióne płachty kurtyny uciykły na boki i na sali zgasło światło.

Ludzie zaniemówili. Pootwiyrali gęby i kryncóm głowami nad tymi wszystkimi szumnościami. Dziepro za chwile sie im języki porozwiązowały:

— Jejkukandy, nale wiycie, toć tam szumności!...

— Parcie, parcie jyny, jak to ty nasze chwanty pieknie zmajstrowały..

— Nale, nale, kieryżby pómyśloł!...

Do Jabłónkowa, do Bogumina przesiadać!

Jasełkorze zaczyni grać.

— Szymónie, spisz?

— Toć spiym! — mówi głośno — dyć sie tak nie śpiychej, mamlasie! — mówi cicho — czyś zapómnioł, że nóm Kónieczny mówił, że czym dłókszy bedymy spać, tym lepszy!? Dyć jyny par, jak sie ludzie nimogóm spamiyntać, czy to sóm na przedstawiyniu, czy już w samym niebie u Pónbóczka.

Teraz na scyne wparzył wylynkany Kuba i zaczón przestrasznie wrzeszczeć:

— Bracia, parcie jyny, jak niebo goreje, szak sie coś dziwnego w Betlejymie dzieje!...

— Jezusiczku nejmilejszy, cóż sie też tam mógło stać?... — zapiszczoł przeraźliwie oszurgany Wojtek i rznół krziwakym o deski.

— Tyś jest ale piernicko trómba — przyrzóndzo mu cicho Szymón — wiysz, że mómy nie mówić, jyny gęby otwyrać i stoć tak wylynkani... A jak nie umisz przydować, to nie przydowej, mów jyny to, co mosz w roli, rozumisz! Dyć sie Jezusek dziepro narodzi, a ty trómbo milijónsko, już go spóminosz!...

Wojtek pokorn'e spuścił głowe.

— Jejkukandy, cóż to idzie ku nóm, parcie, parcie!... — wrzaskli wroz wylynkani pastyrze, praśli na kolana, ręce poskłodali jak przy ojczynaszu i czakajóm.

— Taki oblask jakisi straszny idzie ku nóm!... — przydoł kierysi od siebie, bo im Kónieczny prawił na ostatni prubie, że każdy może też od siebie dodać cosik do roli, żeby to jyny miało nogi i ręce.

— Jakby ogiyń, jakby słońce!...

— Jakby w Trzyńcu zielazo spuszczali!... — zapiszczoł zaś Wojtek, kiery w cywilu jest zwykłym Jurkym Sztwiyrtnioniowym.

— Tyś je ale oprowdziwy pastyrz, mamlasie jedyn! — szkubnół go za potargane galaty Szymón — dzisz go, w Trzyńcu mu spuszczajóm! Tu mosz Betlejym, trómbo jedna, a nie żodyn Trzyniec! Raczy dzierż dziub, a nie odzywej sie!

— Aniołowie! — wrzasknół Kuba — Gabryjel niejświyntszy idzie!...

— Akurat, Gabryjel idzie!...

— Dyć wóm to naoprowde jest Gabryjel!...

Za scynóm zrobił sie horuch:

— Gabryjel, Gabryjel, Kónieczny, Francek, Kónieczny, kajście sóm!? ...Kónieczny, odezwejcie sie, hróma!... — gónióm wszyscy za scynóm i chladajóm archanioła.

A na scynie pastyrze mówióm dokoła, że sóm niejświyntszy Gabryjel idzie, a Kónieczego, jak nie było, tak nie było

Dziepro po godnej chwili naszła go Panna Maryjka za kulisami. Społ jak zabity.

— Francek, hónym już lećcie! — wrzasknół mu do ucha Świynty Jozef.

Kónieczny skoczył rownymi nogami, poprawił na głowe swojóm kolejarskóm kape i wlecioł na scyne jak wiater:

— Do Jabłónkowa, do Bogumina przesiodaać!

Lokrystaboga! Pastyrze wyjóm jak nieboski stworzynia, ludzie na sali sie niedziw kulajóm od śmiychu.

— Toć pierón, ón se myśloł, że je we słóżbie!...

Ale Kónieczny sie zaroz spamiyntoł, ciepnół za kulisy tóm nieanielskóm kape i słodkim głosym spuścił:

„Dzisio w Betlejym, dzisio w Betlejym
wiesioło nowina —
Panna Marvja, Panna Maryja
porodziła Syna..."

Ani go mocka nie było słychać. Ludzie zapómnieli o jasełkach i niedziw beczóm, co tak sie sakramyncko śmiejóm tymu przesiodaniu. A pastyrze ryczóm z uciechy i pieróm klubakami o deski.

Dość dłógo to trwało, niż sie sala uciszyła.

Potym archanioł Gabryjel z namaszczyniym zwiastował pastyrzóm radosnóm nowine, że sie Jezusek narodzili w Betlejymie i żeby tam zarozinko powandrowali sie mu pokłónić.

Pastyrze jyny głowami kiwali, bo ich jeszcze śmiych puczył, pochodzili po scynie, potrzaskali krzywakami i poszli na wander do Betlejym.

Tak sie skóńczył piyrszy akt

Kónieczny siedzioł potym struty za scynóm, że mu dioboł poświycił se popić i spać przed przedstawiynim. A pastyrze sie śmioli i mówili, że taki kumedyje downo już w dziedzinie nie było.

Jezusek chcioł uciyc ze żłóbka . . .

Za chwile przyleciała śmierć ze siekiyróm

Jesełkorze sie gotujóm do drugigo aktu.

Panna Maryja hólko Pyrtkulinej Francika, co w żłóbku nimoże usiedzieć, jyny chce uciyc ku mamie za scyne. Dziepro jak mu sama Pyrtkula porządnie wpoliła, legnół se w żłóbku na brzuchu i tak sie rozbeczoł, że aż wszystkich lutość brała.

Akt drugi.

Na przodku scyny stoi żłóbek z upłakanym Jezuskym, przy nim siedzi Panna Maryja, a za nióm stoi Swiynty Jozef, niedaleko leżóm Wół z Osłym, a aniołowie ze strutym niejświyntszym Gabryjelym śpiywajóm, aż uciecha biere:

„... Glooryjaaa, gloooryjaaa, gloooryjaaa, Inekselzisdeeeło...“

Musiało sie Jezuskowi podobać to śpiywani, bo popłakowoł przez nos, ale inszej kumedyje nie robił. Kiej sie ale śpiywani skóńczyło, a na scyne przycupkali pastyrze, stała sie sumeryja.

Jezusek chcioł uciyc ze żłóbka, ale Świynty Jozef go chycił za ucho, przygroził mu i zwrzeszczoł strasznie przed pastyrzami, że to aż nie było piekne.

— Kaj je mamaaaaa?... huuuuu... jo chcym iść ku mamieeeee!... — rozwrzeszczoł sie Jezusek.

— Bydziesz cicho, ty lagramyncki snoplu! — wrzasknół Świynty Josef.

— Dyć jo je, Jezusiczku, twojóm mamóm!... — hólko rozwrzeszczańca Panna Maryja.

— Tyś nima moja mamaaaaa, tyś je Wefka Barteczkuleeeee, wiyyyyysz! ... huuuuu ... mamaaaaa!...

Ucichnół dziepro, kiej sóm archanioł Gabryjel poszeł za scyne i przykludził diobła kiery mo w trzecim akcie porwać Heroda do piekła. Tyn zazwónił łańcuchami, przewrócił kozła i zawył takim piekielnym głosem, że ucichli i pastyrze, co sie jeszcze po teraz ukradkym śmioli.

Ludziom sie strasznie tyn drugi akt podoboł, jyny paterek prawili, że w Betlejym przeca diobła nie było, ale Kónieczny machnół rękóm i powiedzioł, że z tego sie nie strzylo.

Akt trzeci sie odegrowo u Heroda.

Na pośrodku scyny stoi trón, na nim siedzi Heród, a dokoła niego stojóm wojocy. Wojocy majóm na sobie zbroje ze strzybnego papiyru, jyny tyn jejich oficyr — Setnik — mo z prowdziwej blachy. Tynu se też tyn Setnik nos dźwigo. I nad Herodym krzywi wargami, bo mo oprowdziwy hełm z blachy, a Heród jyny koróne ze złotego papiyru

Heród skoczył z trónu i wrzeszczy do potarganio, a wojocy sie mu kłaniajóm aż do ziymi i ukrodkami zyrkajóm na ludzi na sale.

Heród czako na trzech móndrych królów. Jak już mioł dość tego czakanio, powyganioł wojoków precz, żeby w calutki ziymi pozabijali wszystki małe dziecka do dwóch roków.

Zustoł sóm. Rozmyślo nad sobóm, nad móndrymi królami ze wschodu i nać tym małym królym, co sie oto mioł bezma narodzić.

Potym sie pocichu otwarły dwiyrze na scyne. Do trónowej sali wlazła Śmierć z papiyrowóm kosóm. Heród gębe rozewrzył jak stodolne wrota, jąkoł sie jak mały synek, kierego mama strzepli na złodziejce, cofoł sie ku dwiyrzóm, żeby jako zwioć.

Śmierć mu zaskoczyła drogę i prawi:

— Tuś je, Herodzie, parszywcu szkaredny, niemoreśniku niemoreśny, za krew, co leje sie teraz po twoi ziymi, za żywoty niemowlóntek niewinnych, za wszystki twoi grzychy głowe ci kosóm upajtnym!

Prasnół Heród na kolana i do pytanio:

— Nie pytej — mówi Śmierć — nic ci już nie pómoże! — a potym sie kosóm zagnała i pajt!

Nale lobościkandy! Papiyrowo kosa zahaczyła sie o kulis i odleciała od kosiska, a Śmierć samym jyny kosiskym przejechała Herodowi nad głowóm.

Heród sie przewrócił i charczy:

— Umiyróm... umiyróm...

— Fiks, co teraz?... — zastarała sie Śmierć, potym sie spamiyntała, przyskoczyła do Heroda i wrzeszczy:

— Dyć mi ty, Herodzie, nie ucieknie sz! — i poleciała za scyne.

Heród sie teraz dziepro połapoł, że jeszcze nie zustoł zabity, tóż stanół ze ziymie i czako.

Za chwile przyleciała Śmierć ze siykiyróm.

— ... za żywoty niemowlóntek niewinnych, za wszystki twoi grzychy głowe ci kosóm... ech, siykiyróm utnym!

I szas!

Heród sie przewrócił i charczy:

— Umiyróm... umiyróm... jużech umrzył!...

Śmierć pozbiyrała swojóm urwanóm kose i siykiyre, rękóm pokiwała ludziom na sali i poszła precz.

Teraz na scyne wpod dioboł. Pogónił, poprzewracoł kozła, z Heroda dusze wytrzepoł i uciyk do piekła.

To już był koniec Jasełek.

Potym sie ludzie pomału rozchodzili do chałup.

Jeszcze dłógo w noc było słychać po dziedzinie śmiychy i wywrzaskowania:

— Do Jabłónkowa, do Bogumina przesiodaaać!....

Podarzóne to były jasełka. —

Józef Ondrusz.

CIEKAWOSTKI LITERACKIE

Stalmach . . . i Bezrucz, czyli traktat o znaczkach pocztowych

Organ czeskich filatelistów, który wychodzi już drugi rok w Bernie pod nazwą „Filatelistické listy“, wydrukował w 22 numerze z dnia 22 listopada br. dość oryginalną wiadomość, którą przedrukowujemy in extenso:

„Dnia 9 listopada br., miał wyjść z druku pamiątkowy znaczek pocztowy pod nazwą „Sto lat polskiej książki na Cieszyńskim“. Na znaczku tym miał być uwidoczniony portret notariusza Cienciały i ewangelickiego pastora (??? — przyp. mój), z widokiem na wieżę piastowską w Cieszynie oraz podana data 1847—1947 w głębi tła. Obaj ci mężowie przynieśli przed stu laty, ściśle dnia 23 sierpnia 1847 pierwsze polskie książki z Krakowa do Cieszyna. Okoliczność, że taki znaczek byłby dla nas przypominał setną rocznice polonizacji Cieszyńskiego (tak się to nazywa w uniwersalnym słowniku pewnych szowinistów czeskich! — przyp. mój) skłoniła chyba miarodajne urzędy polskie do wydania zakazu emisji tego znaczka. Stało się tak bezwątpienia w ramach umowy czesko-polskiej. Opublikujemy jeden z dwóch projektów niewydanego znaczka.“

Z jakiego źródła redakcja „Filatelistických listů“ zaczerpnęła swą wiadomość, którą podlano szowinistyczną mazią o „stuletniej polonizacji Cieszyńskiego“ nie trudno się domyślić — w każdym wypadku wiadomość ta nie pochodzi z Ministerstwa Poczt i Telegrafów w Warszawie, które musiałoby coś o tym wiedzieć.

Natomiast byłoby bardzo na czasie, aby redakcja „Filatelistických listů“ poinformowała swych czytelników o wypadku z prawdziwego zdarzenia — a mianowicie: — dlaczego nie został wydany tak grzmiąco zapowiadany przez pewną prasę czeską... czeski znaczek pocztowy ku czci Piotra Bezrucza, który miał być dany do obiegu nie 9 listopada br., lecz już 15 września br., to jest w 80-lecie urodzin autora owych „Slezských písní“! Ponieważ pismo bernieńskie zapowiada także późniejsze opublikowanie jednego z dwóch projektów niewydanego znaczka polskiego, żywimy niekłamaną nadzieję, że będzie lepiej, kiedy to samo pismo zamieści projekt niewydanego znaczka bezruczowskiego — bo te dwa rzekomo polskie projekty dość nieoczekiwanie i raptownie wylęgły się jedynie w głowie redaktorów „Filatelistických listů“.

*

KSIĄŻKA AKADEMII NAUK ZSRR O MIKOŁAJU KOPERNIKU

Jako wydawnictwo Akademii Nauk ZSRR ukazała się w Związku Radzieckim praca pt. „Mikołaj Kopernik“ obejmująca zbiór artykułów o wielkim astronomie polskim. Książkę otwiera szkic biograficzny o Koperniku, zamyka zaś dzieło pt. „O obrocie ciał niebieskich“.

Jakich autorów zamieszczono

na liście Syndykatu Pisarzy Czeskich?

W ostatnim czasie sporządził Syndykat Pisarzy Czeskich w Pradze listę tych autorów czeskich, których dzieła mają zostać przełożone na język polski. Lista ta ma być spisem książek poleconych. Trochę nas jednak dziwi, że na liście tej znalazły się nazwiska i tych autorów, którzy brali udział, już po zakończeniu wojny, w demonstracyjnym wieczorze jaki urządzono sobie w gmachu „Slavii“ w Czeskim Cieszynie. Pamiętamy, że wtedy żaden z obecnych pisarzy czeskich nie powstydził się towarzystwa b. redaktora „Naszego Ślązaka“ p. Smyczka z Jabłonkowa. Czytaliśmy także dość zadziwiające wypowiedzi pewnych pisarzy na łamach pewnej prasy czeskiej itd., itd.

A nagle te same nazwiska spostrzegamy na wspomnianej już liście i to dzieje się nawet bez koniecznego i poprzedniego wyjaśnienia! Więc albo trzeba tu uniewinnić tych autorów, których wtedy posłano demonstrować do Cz. Cieszyna, albo też przyjąć fakt dokonany, że na „dwoje babka wróżyła“! gl.

Adolf Fierla poetą 2. korpusu?

...I znowu jedna wiadomość o orłowskim poecie Adolfie Fierli. Bo z polskiej literackiej prasy zagranicznej dowiadujemy się, że Adolf Fierla stał się już poetą 2 Korpusu. Oto, Jan Bielatowicz wydał w Rzymie antologię poetycką (czwartą z rzędu!) p. t. „Przypływ. Poeci 2 Korpusu" w rozmiarach 152 stron. Antologia ta poświęcona jest (powtarzamy za autorem recenzji) siedmiu poetom, którzy zjawili się w II Korpusie po zakończeniu działań wojennych: pięciu z niewoli niemieckiej (służyli w wojsku niemieckim — przyp. mój), jeden z Francji, jeden z Algieru. Tych siedmiu poetów, to Stanisław Czernik, redaktor przedwojennej „Okolicy Poetów" i herold „autentyzmu"; Adolf Fierla, śląski poeta gwarowy; Bronisław Przyłuski, Józefa Radzymińska, Kazimierz Sowiński, Tadeusz Sulkowski, Wiktor Trościanko. Każdy z nich reprezentowany jest obszernym wyborem — od sześciu do szesnastu wierszy, pozwalających wcale dobrze zorientować się w rodzaju jego talentu, tematyce i możliwościach. Każdego z nich też przedstawia Bielatowicz czytelnikowi staranną i taktowną notatką biograficzną i bibliograficzną."

Adolf Fierla nie zamierza powrócić na Śląsk, gdyż zagranicą powołuje się na to, że jeśli chodzi o literatów i artystów polskich w Czechosłowacji, to skazani oni są na bardzo ciężkie warunki, nie posiadają nawet swej własnej niezależnej organizacji zawodowej itd.

Inny poeta, o którym wspomniano w tej czwartej antologii — Stanisław Czernik, bawi już w Polsce od kilku miesięcy. ek.

*

Nowe czeskie filmy

PRAGA (IP). Jeszcze w ostatnich tygodniach br. praskie premierowe kina wyświetlać będą trzy nowe czeskie filmy. Będzie to „Przeczucie", obraz psychologiczny, opracowany pod reżyserią O. Vavry podług powieści Marii Pujmanównej. Drugim filmem będzie artystycznie wykonany film rysunkowy „Szpaliczek" Trnki, obrazujący w sześciu częściach rok czeskiego ludu w jego zwyczajach i pieśniach. Jako trzeci nowy film wyświetlany będzie optymistyczny film reżysera Wassermanna p. t. „Trzej przyjaciele" (Tři kamarádi).

W styczniu wprowadzony będzie na ekrany kin praskich wielki romantyczno-fantastyczny film reżysera J. Slavička „Podobizna", dla którego motywy czerpał z noweli N. W. Gogola. Dalej wyświetlany będzie dalszy film opracowany na tle wielkiego miasta „Aż powrócisz", którego reżyserię prowadził W. Krška. W lutym na afiszu będzie dramat wiejski reżysera Fr. Čapka „Muzykana" według scenariusza J. Š. Kubína oraz komedia reżysera Marcina Friča „Pocałunek ze stadionu", zaś w marcu film reżysera O. Vavry „Krakatit", opracowany podług powieści fantastycznej Karola Čapka pod tym samym tytułem.

*

B Y Ł . . .

Był deszcz, co pył wytwarzał i proch zamiast błota,
Był król, co więcej kochał poddanych od złota,
Był dziad, którego kochał szczerze możny hrabia,
Był kupiec, który nigdy grosza nie zarabiał,
Był mąż, który nie zdradził nigdy swojej żony,
Był człek, który z wszystkiego był zadowolony,
Był kot, co po spiżarniach nigdy nie łasował,
Był polityk, co nigdy nie skłamał ni słowa,
Był kominiarz, co nigdy osmolony nie był,
Był magnat, co rozumiał biedaków potrzeby,
Był spekulant, co nigdy niczym nie handlował,
Był zięć, którego własna kochała teściowa,
Był Niemiec niepodobny całkiem do potwora,
Był chłop, co nigdy nie siał, nie młócił, nie orał,
Był zakonnik, co nigdy nie mówił pacierzy,
Lecz nie było głupiego, co w to wszystko by wierzył!

Katowicko-opawskie wieczory

W ostatnim czasie literaci katowiccy zaprosili do siebie regionalnych literatów z Opawy, Prościejowa i Mor. Ostrawy, urządzając tam dla nich kilka publicznych występów. Wzamian za to zaproszono kilku literatów katowickich na występ literacki w Opawie. Żaden z rzeczywistych pisarzy śląskich (polskich) nie brał udziału w tych imprezach z wyjątkiem redaktora pisma „Odra" W. Szewczyka. Imprezy te cechował charakter osobisto-adoracyjny a nie zbliżeniowo-kulturalny. -juw.

GUSTAW MORCINEK

duma nad wyjazdem Literatów Śląskich z odwiedzinami do Śląskich Literatów Czeskich.
Widzą że Śląsk to Berno, Kraków i... kpiny lecz nie chcą widzieć na Śląsku Karwinę.

Jan Bolesław Ożóg.

Kolęda przy maleńkiej

Oj luli kolędzie, —
płacz nasz: liść, złoty liść. —
Wiatr, wiatr, — śnieg, śnieg, łabędzie,
żal, łza — mirtowa kiść.

W saneczkach maleńki
Jezusek woził sny,
na saneczkach spodenki
rozerwał, — płacze, drży.

U okien się wróci
i tę kolędę nam
sam święty Szczepan zrzuci
w różowość śnieżnych bram.

Na stole jak wpółśnie
wełnianym kotek — dzień.
W kolędzie zachwyt uśnie,
jedliczko, modny leń.

Zawoła nas potem
na piórko gwiazdy śnieg:
Zielono-bladym złotem
niech żegna nieba brzeg.

*

Z tomu poezji „Jej wielki wóz, który prawie ukazał się nakładem Oddziału Wiejskiego Związku Zaw. Literatów Polskich.

ATAK NA TUWIMA I OFENSYWA PISARZY EMIGRACYJNYCH

Jak wiadomo, część pisarzy polskich odmówiła powrotu do Polski. Pisarze ci pozostając w różnych ośrodkach zagranicznych, prowadzą na łamach tam wydawanych pism nieraz dosyć ostrą nagonkę przeciwko pisarzom, którzy powrócili z emigracji do Polski. Nowym takim atakiem jest artykuł Zygmunta Nowakowskiego, opublikowany na łamach jednego z ostatnich numerów londyńskich „Wiadomości" p. t. „Polskie kwiatki Tuwima". Tuwim, który i u nas jest znany ze swego pięknego wiersza „Śląsk śpiewa" — doczekał się bury ze strony Nowakowskiego za artykuł jaki zamieścił na łamach warszawskiej „Rzeczpospolitej" z okazji 30-lecia Rewolucji Październikowej. Nowakowski dopatrzył się w takim artykule „przymusu" i „lizuństwa". Ten sam autor beształ Tuwima pisze, że ten poeta, który tak wysoko i podniebnie kiedyś latał, rzucił teraz swą lutnię w zarzygany bruk ulicy. Czy podobny atak jest usprawiedliwiony i pod względem formy i treści, nie trudno odpowiedzieć, skoro dodamy, że w ostatnim czasie polscy pisarze emigracyjni zaczęli wytaczać na przedpola swej bitwy ciężkie kolumbryny i prowadzą rzęsisty obstrzał. Zaczęto mnożyć polskie pisma literackie na emigracji. Same londyńskie „Wiadomości" zwiększyły i poszerzyły swój format o więcej jak 100%. Zaczęto w Rzymie nowe polskie wydawnictwo literackie p. t. „Kultura". Jeszcze nawet pierwszy numer „Kultury" nie zdołał się rozejść po świecie — a już w Londynie przystąpiono do wydawania nowego tygodnika polskiego (36 stron druku każdy numer) pod tytułem „Nowe Powieści". W „Nowych Powieściach" wystąpili ze swymi powieściami Ferdynand Goetel, Sergiusz Piasecki i Jerzy Pietrkiewicz. -ab.-

„ROK 1848 NA ŚLĄSKU"

Wojewódzka Rada Kultury w Katowicach ogłasza konkurs na zbiór inscenizacji lub sztukę sceniczną dla świetlic o tematyce „Rok 1848 na Śląsku".

Prace zaopatrzone godłem nadsyłać należy do dnia 15 lutego 48 r. na adres biura Wojew. Rady Kultury w Katowicach ul. Warszawska 37.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w dn. 1. III. 1948 r.

Przewidywane nagrody: I. nagroda — zł. 50.000, II. nagroda — zł. 30.000, III. nagroda — zł. 20.000.

„Polskie" wydawnictwa „Kola moravských spisovatelů"

Pisarze czescy wywodzący się z ziemi morawsko-śląskiej grupują się w swej samodzielnej organizacji pod nazwą „Kolo moravských spisovatelů". Organizacja ta dysponuje także swą olbrzymią spółdzielnią wydawniczą. Pięknym dorobkiem tej spółdzielni „Kola" będzie wydanie szereg przekładów polskich. Jeszcze w tym roku nakładem „Kola" wyjdzie w języku czeskim „Ład serca" J. Andrzejewskiego. Z początkiem przyszłego roku to same wydawnictwo wypuści na rynek czeski przekład powieści Hanny Malewskiej „Żelazna Korona" i książkę Jana Wiktora „Ożywcze Krynice" pod czeskim tytułem „Uhorz"

Prezesem „Kola moravských spisovatelů" jest znany pisarz z Mor. Ostrawy — Wojciech Martinek — dyrektorem zaś spółdzielni wybitny i energiczny pisarz, autor szeregu powieści — Vaclav Prokůpek. -ab.